

*Drzewo Jantarowe 12.*



# SFINKS

Zeszyt 25.

STYCZEŃ, 1910.

Cena zeszytu rb. 1,25.

## Treść Zeszytu I (25), Styczeń 1910 r.

	<i>Str.</i>
WŁ. BUKOWIŃSKI . . . . .	<i>Epokowe wydawnictwo</i> . . . . . 1
WACŁAW SIEROSZEWSKI . . . . .	<i>Jak liść jesienny, powieść</i> . . . . . 8
IGNACY MATUSZEWSKI . . . . .	<i>Weyszenhoff i „Laury“ Wyspiań-</i> <i>skiego</i> . . . . . 43
JADWIGA MARCINOWSKA . . . . .	<i>Genezareth</i> . . . . . 98
WACŁAW WOLSKI . . . . .	<i>Baśń księżycy na morzu</i> . . . . . 103
Dr. ERNEST ŁUNIŃSKI . . . . .	<i>Spisek Smagłowskiego a książę</i> <i>Reichstadtu</i> . . . . . 105
GUSTAW DANIŁOWSKI . . . . .	<i>Pamiętka, nowela</i> . . . . . 119
SAVITRI . . . . .	<i>Brunhilda, dramat</i> . . . . . 130

### PRZEGLĄDY i SPRAWOZDANIA:

IGNACY MATUSZEWSKI . . . . .	<i>Wiek XIX</i> . . . . . 143
KAROL APPEL . . . . .	<i>Bossuet i Fénelon</i> . . . . . 145
J. KLECZYŃSKI . . . . .	<i>VI Doroczna</i> . . . . . 150
	<i>Konkurs poetycki „Sfinksa“</i> . . . 155
	<i>Nowe książki</i> . . . . . 156
	<i>Ogłoszenia.</i>

### DODATKI ARTYSTYCZNE:

Portret WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO według portretu Pan-	
kiewicza.	
Portret KSIĘCIA REICHSTADTU . . . . .	104

### RYSUNKI i WINIETY:

APOL. KĘDZIERSKIEGO . . . . .	129
E. MEJROWEJ inicjały . . . . .	1, 105
Z. PLEWIŃSKIEJ . . . . .	8, 42, 98, 102, 158
FRAN. SIEDLECKIEGO . . . . .	7, 97, 119, 130, 143
AN. TABIŃSKIEGO . . . . .	103
Litografia barwna na okładce według rysunku	
J. REMBOWSKIEGO.	

Papier z fabryki C. A. Moesa.

Kliske wykonano w zakładzie fotochemigraficznym Wierzbickiego i S-ki.

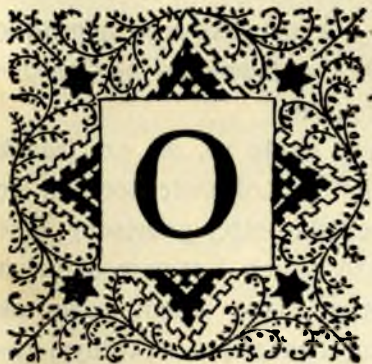


Wacław Sieroszewski

Bibl. Publ. m.st. W-wy  
Wymiana W-wy  
Wymiana



### Epokowe wydawnictwo.



Od paru miesięcy na półkach księgarskich w Warszawie, Krakowie i miastach innych zobaczyć można cztery obszernie, po 500, 600 i więcej stronie dużego formatu liczące tomy, odbite w szarej, skromnej okładce w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, a poprzedzone „tomem wstępnym“ o 672 stronach tego samego formatu, wydłoczonym w Drukarni „Czasu“.

Tytuł tego dzieła, które—jeżeli uszło dotychczas uwagi zawsze czujnych naszych pism codziennych i zawsze aktualnych tygodników—to zapewne przeważnie dlatego, że pierwsze w tych smutnych czasach zajęły się głównie naj-

Sfinks.

nowszemi produkcjami „wykwintnego” Momusa i „niezrównanej” operetki, drugie zaś—odtworzeniem „chwili bieżącej” i działem tak dobrze procentujących reklam ilustrowanych—tytuł tego dzieła—powtarzam — brzmi tylko: „Pamiętniki Generała Prądzyńskiego”.

Opracował je i wydał z benedyktyńską iście sumiennością Bronisław Gembarzewski, a tomem wstępnym p. t. „Geneza powstania listopadowego” poprzedził i przechowywanego ze czcią w archiwum rodzinnem rękopisu „Pamiętników”, oraz środków na ich wydanie dostarczył człowiek w czasach dzisiejszych wogóle, a wśród arystokracji naszej w szczególności dosyć niezwykle—hr. J. Moszyński, przeznaczając czysty dochód z tego epokowego naprawdę dla dziejów naszych w wieku XIX wydawnictwa na Ochronkę Sióstr Miłosierdzia w Łobzowie.

Cena dzieła całego wynosi około rb. 20, czy jednak Ochronka „Sióstr Miłosierdzia” w Łobzowie doczeka się z tego źródła pożądanego dochodu—niżej podpisany śmie wątpić, jeżeli zwłaszcza zawsze czujna i zawsze aktualna prasa nasza zachowa w dalszym ciągu o tem dziele tak jednomyślne i godne—jeżeli nie uznania, to w każdym razie podziwu — milezenie.

„Pamiętniki Generała Prądzyńskiego” — czy wiecie, czytelnicy, co to znaczy?

To najszczegółowszy obraz krytyczny wiekopomnego zmagania się dwóch narodów bratnich, dwóch cywilizacji i światów w r. 1830 i 1831, skreślony przez jednego z najgłówniejszych strategików europejskich wieku XIX, generała dywizji i kwatermistrza generalnego armji polskiej



w r. 1831, o którym nawet generał i pisarz wojskowy rosyjski Pazyrewskij w swem głośnem dziele p. t. „Wojna polsko-rosyjska 1831 roku“ powtarza niejednokrotnie, że był to najzdolniejszy działacz wojskowy w kampanji roku 1831, że odznaczał się rozległym i gruntownym wykształceniem, umysłem twórczym, świetnością i śmiałością przezornych, często genialnych pomysłów strategicznych, w których był niewyczerpany.

A Ryszard Spazier w swej „Historji powstania narodu polskiego w r. 1830“, wydanej w Paryżu w r. 1833, a więc bezpośrednio niemal po tej walce gigantycznej, mówi wprost, że ten „poetycki geniusz wojenny“ napróżno przedstawiał plany jak najwyborniejsze, paraliżowane w zarodku przez nieudolność lub zazdrość wodzów naczelnych. „Prądyński — mówi on — był może w każdym względzie największym wojennym geniuszem swego czasu“, a zdanie to, jak stwierdza zasłużony prawdziwie wydawca „Pamiętników“, Bronisław Gembarzewski, było głosem większości towarzyszy broni Prądyńskiego, którzy na czyny jego i niespełnione — nie z własnej winy — zamiary i pomysły genialne mieli sposobność patrzeć zblizka.

Pogląd ten zresztą na zdumiewające wprost zdolności strategiczne Prądyńskiego utrzymał się do czasów ostatnich. Znakomity historyk Władysław Smoleński pisze o nim w części II swych „Dziejów narodu polskiego“: „Ignacy Prądyński (urodzony w r. 1792) odbył kampanję r. 1812 przy Generale Henryku Dąbrowskim; za Królestwa należał do wszystkich związków tajemnych i odsiadywał długie więzienie. Nizki, o twarzy nabrzęklej i ordynarnej,

odznaczał się wysokiem wykształceniem wojskowem, bystrością poglądu i obfitością pomysłów. Miał opinię genialnego teoretyka, pozbawionego zdolności praktycznych. Sam o sobie mówił, że czuje się być zdolnym do ułożenia planu bitwy dla armji statysięcznej, lecz nie potrafi rozkazywać stu żołnierzom. Podczas powstania posunięty został z podpułkownika na generała i kwatermistrza armji. („Dzieje narodu polskiego“, część II, Kraków 1898, str. 263).

Ową opinię o braku zdolności praktycznych należy jednak sprostować. W jedynej bitwie, w której dane było wystąpić Prądzyńskiemu w charakterze wodza większego korpusu, a mianowicie 10 kwietnia pod Iganiami w pobliżu Siedlec, odniósł on świetne zwycięstwo nad przeważającymi siłami rosyjskimi, dając dowody zdumiewającej przytomności umysłu, poświęcenia, energii i bohaterstwa. Co zaś do owego zdania o stu żołnierzach, to brzmiało ono w innej wersji trochę inaczej: „Wojskiem potężnem, choćby statysięcznem, zdolnym się czując dowodzić, lecz ani tysiącem żołnierzy niekarnych dowodzićbym nie chciał“ (str. XXXIX „Życia Generała Ignacego Prądzyńskiego“, którem wydawca poprzedza jego „Pamiętniki“).

Ale Prądzyński był nie tylko znakomitym strategikiem i wodzem, był zarazem człowiekiem szlachetnym i dobrym, a przytem skromnym niezwykle. O „Pamiętnikach“ swoich mówi n. p.: „Nie mam weale zarozumiałości pisać historję, ale tylko moje wspomnienia, pragnąc,

ażby one były materiałem z niejaką wartością dla przyszłego historyka, ażby jak najwięcej światła rzuciły na powstanie nasze i prawdziwe przyczyny upadku jego“.

Że „Pamiętniki“ te istotnie „niejaką“ wartość posiadają, że one dopomogą niemało do odtworzenia i zrozumienia doniosłych zdarzeń ówczesnych—o tem nikt z nas chyba nie wątpi. Dosyć przypomnieć to zainteresowanie niezwykle, jakie wywołał wydany przed kilku laty treściwy i pobieżny „Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1831“, napisany przez Prądzyńskiego dla cesarza Mikołaja, bezpośrednio po wojnie r. 1831, gdy autor nie posiadał jeszcze pod ręką materiałów potrzebnych i pozostawał w warunkach arcy-niepomyślnych dla pracy badawczej i pisarskiej.

Wydane obecnie dzieło ukazuje się w druku po raz pierwszy z wyjątkiem drobnego urywku p. t. „Bitwa pod Ostrołęką“, ogłoszonego, jak zaznacza wydawca, w nr. 221 „Kurjera Poznańskiego“ z r. 1880. Właścicielem rękopisu jest hr. Jerzy Moszyński, z którego ojcem, Piotrem Moszyńskim, łączyły Generała Prądzyńskiego stosunki najprzyjaźniejsze.

Ignacy Prądzyński, powierzając przed śmiercią hr. P. Moszyńskiemu wszystkie pisma swoje, włożył na niego obowiązek niedopuszczenia przedwczesnego wydania pism, tyczących się wypadków roku 1831.

Ale od śmierci wielkiego strategika upłynęło lat blisko sześćdziesiąt (zmarł 4 sierpnia r. 1850 na wyspie Helgolandzie, dokąd wyjechał w lipcu z Krakowa; przedtem aż do r. 1843 mieszkał w Przepiórowie w Sandomier-



skiem, w którym spędził blisko lat dziesięć). Wyjechał dla poratowania zdrowia, zrujnowanego więzieniem i niewolą, trudami wojennymi i zgryzotami, a znalazł śmierć przedwczesną w pięćdziesiątym dziewiątym roku pięknego, choć smutnego żywota.

Słusznie zupełnie hr. Jerzy Moszyński, syn i spadkobierca ś. p. Piotra Moszyńskiego, uważa, iż chwila obecna, gdy na mogiłach wodzów naszych i działaczy politycznych z r. 1831 oddawna porosła już trawa, jest odpowiednią zupełnie do wydania pamiętników Prądyńskiego, tego, jak się wyraża w tomie wstępnym, najważniejszego dokumentu porozbiorowej naszej historii. Że wspaniałe to wydawnictwo służyć będzie prawdzie bezstronnej, że stanie się drogowskazem, a nie błędnym ognikiem dalszego rozwoju narodowego, o tem również wątpić niepodobna.

Zaznaczyć jednak tu muszę, że dla narodu naszego przytoczony przez hr. Moszyńskiego w całości „List papieża Grzegorza XVI z dnia 9 czerwca 1832 r. do biskupów polskich“ takim jedynym drogowskazem przyszłości, prowadzącej do sprawiedliwej (!), chrześcijańskiej zgody narodów słowiańskich“, jak chce autor w zakończeniu tomu wstępnego, nie był nigdy — i — wbrew jego pragnieniom — nigdy nim zostać nie może.

W stosunku do tego smutnej bardzo pamięci dokumentu naród nasz zajął odrazu stanowisko, które tak świetnie uwydatnił we wspaniałej scenie „Kordjana“ — Juliusz Słowacki. I ze stanowiska tego już nie zejdzie.

„Świat wam nie odda, idąc wstecz, — możnaby powtórzyć z Asnykiem — zniknionych mar szeregu. Nie zdoła ogień ani miecz powstrzymać myśli w biegu... Wy nie cofniecie życia fal! Nie skargi nie pomogą... Bezsilne gniewy, próżny żal! Świat pójdzie swoją drogą“.

Smutne to może dla garści Mohikanów ostatnich, ale konieczne, Panie Hrabio!

Różniąc się jednak z hr. Jerzym Moszyńskim pod niejednym względem, nie możemy nie podkreślić jego zasługi, że wielkie dzieło Prądzyńskiego przechował i kosztem dużym, niezwykle starannie, z planami i mapami bitw głównych wydał. Zastępując tę dzieli z nim znakomity znawca owej epoki, świetny historyk i malarz wojska polskiego Bronisław Gembarzewski, który z niemałym trudem dzieło całe do druku przygotował, przedmową i uwagami uzupełnił.

Nie uważając tych paru słów za ocenę epokowego wydawnictwa, o którym w „Sfinksie“ pomówimy znacznie obszerniej, pragnąłem dziś tylko przypomnieć komu należy, że o takich rzeczach, chociaż to nie kabaret i nie operetka, pisać u nas jednak — wypada!

WL. BUKOWIŃSKI.





# JAK LIŚĆ JESIENNY

POWIEŚĆ\*)

przez

WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO.

I.

Jako delegat Akademji Nauk, miał Michał Różycki prawo do bezpłatnego przejazdu na parowcach Floty Ochotniczej i nawet... pierwszą klasą. Czarny kadłub jednego ze statków Floty kotłował się właśnie w porcie opodal od brzegu, poza tłumem różnobarwnych i różnokształtnych okrętów Wschodu i Zachodu.

Oparty o kamienną balustradę bulwaru, stał Różycki pochylony naprzód i patrzył w tę stronę. Był to czło-

---

\*) Przedruki, nieuprawnione przez autora, wzbronione. Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone.

wiek niepierwszej już młodości, brzydki, niepozorny, z nosem jak ogórek, z konopnym, kozim zarostem dokoła ust szerokich, śmiesznych jak dziób wrony. Wielka głowa w wytartym korkowym hełmie niewiele wystawała ponad balustradę, czarny surdat fatalnie marszczył się na wątlej, jakby skulonej figurce, a krzywiznę małych nóżek źle maskowały szerokie spodnie nieokreślonego koloru, zdradzające mnogie przygody i czujną troskę właściciela o ich całość.

Jedyną ozdobą tej więcej niż skromnej postaci, tego oblicza o cerze jednostajnej i zatartych rysach — były oczy turkusowe, przepięknej dziecięcej barwy, nieskończenie dobre i marzące.

Jedynym znakiem, zdradzającym coś w rodzaju niesmiałych artystycznych skłonności, była sutka kokarda szafirowego w białe groszki krawata, zawiązana z fantazją pod szerokim, wywiniętym kołnierzem białej, miękkiej koszuli.

Z kanciastej, ogorzałej twarzy Różyckiego biła w tej chwili cicha radość wypoczywającego pracownika, świeciła beztroska i rozleniwienie... Podróż swoją zakończył, zobowiązania spełnił, większość kolekcji odesłał... Resztę wiozł ze sobą, prawie nie — kilka niedużych pak... Słowem — był wolny, miał kilka tygodni „własnych“, niezależnych od marszruty i bagażu, i mógł ich użyć, jak chciał, według swego wzdymiszę i upodobania. Miał do wyboru drogę lądową lub morską, i rozumie się, że wybrał morską, gdyż żywił w głębi duszy ostrożną nadzieję, iż uda mu się tym razem zawadzić o Indje, ów cud ziemi, ów sen wieków, o którym nie przestawał marzyć od dzieciństwa, ku któremu nie przestawał dążyć przez całe swoje włóczęgowskie życie, pełne przygód i mozołu...

Dziś ziszczenie marzeń było blizkie: miał nareszcie „okazję“ i trochę zaoszczędzonych pieniędzy.

Już mu stawały w oczach niebotyczne, wielopiętrowe lasy, gdzie na ciemnych kolumnadach palm wieszają się arkady pnączy, gdzie na niedościgłej wysokości polatują z dzikim wrzaskiem roje papug barwnych, jak wschodnie mozaiki, gdzie żyją napowietrzne plemiona wędrownych małp, nigdy nie dotykających stopą swą ziemi, gdzie drzewią ukryte w gęstwi cyklopiczne świątynie, spowite rzeźbioną płataniną skłębionych roślin, płazów, ptaków i zwierząt, na wzór tamtejszych paszcz... Gdzie króluje posępny Sziwa, gdzie wspaniałomyślny, szeszodry, rycerski Wisznu sieje wokół radość walki i życia, gdzie światowładny Brahma przedzierzgnął się po tysiącleciach rozmyślań w eichego, skupionego Buddę... Tam w małych chatach, podobnych do ptasich gniazd, mieszka lud ciemny w jaskrawych strojach, który pierwszy dźwignął na barkach swych bóle ludzkiej świadomości... Tam obok siebie rodują się i targają duszami śmiertelników asceza, sięgająca cuda, i dochodzące do obłądu rozpasanie rozkoszy,—nocują w tych samych krążgankach błogosławieni, wyschli na kość „joggowie“ i płomienne, wdzięczne bajadery...

Różycki ścigał to wszystko wzrokiem wyobraźni i jak zwykle był daleko od swego otoczenia... Jego oczy ślizgały się w zamyśleniu po brudnozielonych falach portu, zmaconych ruchem statków, łuszczących się niespokojnie i ćmiących co chwila brudnymi kłakami porzuconych przez parowce dymów... Pstre chmary płaskich łodzi rozmaitego kształtu i wielkości, niby stada kaczek na żerowisku, pluskały się i kręciły frasobliwie na ostojach dokoła ciemnych, wyniosłych okrętów, między rzędami czerwonych beczy kotwicznych, jarzących się w słońca, jak rzucone na lazar krwawe talipany. Małe holowce, pękate i ruchliwe, jak bąki, syząc, gwizdząc, parując, błyskając mosiądzem swych maszyn, wlokły za sobą na długich cumach

niemrawe, ciężarne barki, podobne do cielsk pojmanyh morsów albo wielorybów...

Wzrok Różyckiego mijał to wszystko obojętnie, jak dokuczliwe, dobrze znane widowisko, i zatrzymywał się dłużej jedynie na ciężkim, posępnym kadłubie czarnego „Ochotnika“, odrzynającym się twardo i odstręczającym na perłowym błękitcie już otwartego pomorza. Obok, jakby dla kontrastu, białała śmigła, lotna, wydłużona, jasna, jak chmurka wiosenna, obła, jak sople lodu — sylwetka francuskiego parowca „Armanda“, jednego z lepszych szybko-biegaczy Towarzystwa „Mercre de France“.

Statek szykował się właśnie do drogi.

Szczelnie zbity rój kolorowych łodzi i smolnych sampanów oblegał go, tulił się natarczywie do jego smukłych, podebranych boków... Na łodziach stopy pak, zwoje lin, piramidy barytek, góry czarnego węgla. Na niskich galarach płynęły ku parowcowi całe ogrody zielonych warzyw, kupy malachitowych arbułów, piramidy melonów brudno-żółtych, jak trawiony mosiądz. Gdzieindziej złociły się pagórki słonecznych pomidorów lub siność wątrobianych „bakłażanów“ kłóciła się z błękitem wody. Obok lśniły pomarańcze, cytryny, rude tykwy. Różowa łuna biła od zasp jabłkowych; blade opalizowały winogrona zielonawe lub ciemne, jak śliwy węgierskie. Rzędy rdzawych bananów szczyrzyły nad burtami swe krzywe, aksamitne kły.

Szmaragdowa fala morza biegła za łodziami, tańczyła dokoła nich, łamała i motała na swych rozedrganych przegubach barwne plamy ich odbić.

A z góry wysokiej burty „Armanda“ szara winda parowca, niby żerująca na błotnisku żóraw, co chwila zapuszczała swój dziób w tę chybotliwą, dropiatą zgraję i wyławiała z niej to beczkę, to wiązanek pudeł, to kilka

koszów, to niezgrabny obwisły wańtuch żaglowy. Na pokładzie statku, na piętrach jego pomostów, na blankach boków, na dziobie i rufie, na zwodzonych schodach, nawet na rejach masztów mrowili się ludzie, podobni zdala do małych owadów...

Ponad tem na zrębie najwyższego pomostu na windogach białe smukłe brzuchy łodzi ratunkowych, a jeszcze wyżej na ukos ku niebu strzelały dwa grube białosnieżne kominy, niby dwa końce skrzydeł posmycznego, gotowego do biegu łabędzia. Z jednego z nich sączyła się ledwie dostrzegalna smażka sinawego dyma...

— Napewno jutro odchodzi! — pomyślał Różycki i znowu przeniósł oczy na samotny, nieruchomy i bezładny kadtub „Ochotnika“.

Po raz może dziesiąty dokonał skrupulatnego przeglądu swoich kapitałów, westchnął i powiedział sobie:

— Nie z tego! Cóż robić! Trzeba będzie pójść do biura Floty Ochotniczej i dowiedzieć się, kiedy to jej statek raczy łaskawie wyruszyć!

We wspomnieniach przesunął mu się szereg dni na statku brudnym, zakurzonym, w towarzystwie ludzi dobrze mu znanych, sennych, znudzonych, nieciekawych; przypominały mu się biurokratyczne table-d'hôte'y pod przewodnictwem nadętego kapitana; wieczne rozmowy o odznaczeniach, awansach, pensjach, dodatkach... Otrząsnął się, jak od bryzgnięcia zimnej słoty, skrzywił, ale mimo to oderwał od balustrady portu i zmieszał z kołującym na ulicy tłumem.

Ruch i gwar cizby porwał go natychmiast i zalał jak bełch morski. Dudniły płyty granitowe pod uderzeniem kopyt, huczał bruk, stukały koła pojazdów, tapotały tysiące obutych i bosych nóg; wozy ciężko ładowne jęczały jak żywe; jak żywa drżała w głębokich łożyskach ziemia bolesnem i niecierpliwem drżeniem; na towarowych bary-

czach ochały głuchym basem składy, przyjmując zrzucane do nich skrzynie i brzemiegi... A poprzez wszystko przebijano się na gęstych ładowniach nieustannie, przenikliwe ćwierkanie łańcuchów, ślizgających się po bokach potężnych wind. Coraz to ciężł powietrze, niby smagnięcie batem, ryk syreny paroweowej lub ostre gwizdnięcie z sygnałównki.

Rzeka ciał, ledwie przyodzianych w zbrukane, czarno-niebieskie szmaty, przewalała się u balustrady portu, kłębiła się i rozłamywała u przystani, aby, rozbiwszy się na setki strumieni, płynąc po długich, bujających się kładkach na statki z kuframi, worami, pudłami, pakłakami. Inne potoki człowieczego mrowia, również objazzone, sanęły z powrotem z okrętów na ziemię i ginęły wraz ze swemi noszami w szeroko otwartych gardzielach składów.

Ludzie jęczeli, dyszeli, charkotali, kłęli... Wyglądali jak potwory bez głów, gdyż lica niktęły im w cieniu niesionych ciężarów. Widać było jedynie żyłaste ramiona, pięście, paluchy, pazury, wyprężone łędźwie i bary oliwkowe, czarno-aksamitne, bronzowe, to obnażające się, to pogrążające miarowo w morzu łachmanów, niby błyski światła żywego na mętnym, burzliwym potoku. Pachniało smołą, morszczyną, naftą i tranem, potem, złem pożywieniem i nędzą. Czasem przesawał się wśród pracujących krajowców Europejczyk we flanelowym kostjumie, biały jak kłak piany, spokojny jak kra lodu. Czasem z rozpręktých odmętów ludzkich wynurzała się poważna, szafirowo-jedwabna postać chińskiego kupca, albo, rozmawiając, przechodzili gentlemani w czarnych surdutach i cylindrach, z tekami pod pachą i cygarami w zębach.

Opodal w gajach palm, platanów i magnolji wznosiły się ciężkie, ciemne fasady pałaców, spowite w bluszez, w pnaęze różane, w girlandy kwiecia. Przed niemi z rzeźbionych cystern biły w górę z miłym szmerem chłodne fontanny.



Rozłożyste krzesła, fotele i szeslongi, stojące w głębokich podecieniach, nęciły do spoczynku. Dalej lśniły się dyskretnie w bladym zmroku rączki i okucia masywnych podwoi. Wielkie kwadraty lustrzanych okien patrzyły z góry tajemniczo zimnemi szybami na robotnicze mrowisko, na ruchliwy port, na zwarty szlak szkat, dżonek, ładug, tkwiący u brzegu; na korowody srebrnych obłoków, wśród których szło, lejąc powódź pieszczotliwego światła, łagodne słońce jesienne.

Dalej połyskiwał lazur bezkresny otwartego morza, a na nim białały tu i owdzie żagle rybacze, zjawiwały się lub nikły widmowo, zwracając się to bokiem, to licem do lądu.

Różycki poszedł leniwo wzdłuż ulicy, mimo skwera z klombami kwitnących chryzantem, gdzie na ławkach siedziały chińskie niańki w szerokich, szafirowych szarawarach, z nóżkami małemi, jak kozie kopytka, gawędząc i spluwając przez czernione zęby. Tłuste europejskie „baby“ bawiły się obok na ciepłym żwirze.

Różycki zatrzymał się na skrzyżowaniu ulic i czekał, aż wspaniały „policeman“ angielski—pilon ładu i porządku—rosły pars w ciemnym turbanie wstrzymał ruchem pałeczki podwójnej potok ludzi, wozów, toczący się środkiem ulicy, i przepuścił idących w poprzek przechodniów oraz czekające pojazdy.



## II.

W biurze Floty chciano wmówić w Różyckiego, że żadnego statku niema. Dopiero stanowcze twierdzenie

tegoż, że widział parowiec na własne oczy, zastanowiło urzędników i jeden z nich przypomniał sobie, że istotnie „coś” jest.

— Niech pan przyjdzie jutro...

— A czy panowie choć w przybliżeniu nie mogą określić, kiedy odejdzie?

— Nie... nie określić nie możemy! To zależy od rozkazów, jakie nadejdą... Może wyruszyć jutro, a może i za miesiąc... Kto to może wiedzieć!...

— Za miesiąc! Ależ jutro odchodzi „Armand”, muszę więc wiedzieć...

Wzruszenie ramion i zagadkowe, zimne jak szturchnięcie pięścią spojrzenie. Różycki znał dobrze to spojrzenie, wiedział, że po niem łatwo następuje brutalna, grabjańska, bezmyślna awantura.

Wyszedł wściekły i, aby sobie ulżyć, trzasnął mocno drzwiami.

Od tego nie się wszakże nie zmieniło. Tu w Szanghaju nie miał co robić. Zwiedził wszystko, co zwiedza każdy szanujący się podróżnik: świątynie, muzea, pagodę Luń-Fo, chińską dzielnicę we dnie i w nocy; widział zbliżka chińskie wesele, chiński pogrzeb, chińskie restauracje, palarnie opjumu, słyszał chińskie śpiewaczki, był w teatrze na jakimś dramato-balecie, obejrzał „Miasto Noenych rozkoszy” i pływające „Ogrody Słonecznego Blasku”, i zawieszane w klatkach na murach więzień głowy bokserów...

Miał dość tego wszystkiego i uważał, że, siedząc tu dłużej, traciłby darmo czas i pieniądze.

Coraz ponętniej wyływała przed nim sylwetka francuskiego parowca. Wmawiał więc w siebie, że czas to nawet więcej niż pieniądze, bo życie raz nam дано... I znowu obliczał skrupulatnie swoje kapitały...

— Nie nie przybyło — rozmyślał ze szczyptą humoru — ale gdyby tak... trzecią klasą? Przecież japońska trzecia klasa jest weale przyzwoita... Przypuszczam, że u bogatych Francuzów jest lepsza, ba, pewny nawet tego jestem. I tam coś może kapnie z widzianych dokoła „Armanda“ rozkoszy... Doprawdy złoty interes! Trzecia klasa na orjentalnym parowcu!.. Jakaś wyższa egzotyka... Doprawdy! Jędę, co tu długo myśleć! Biegnę zaraz do banku, aby podjąć natychmiast resztki mej niedawnej świetności..

Rychło znalazł się przed wspaniałym pałacem ze złotym napisem na froncie, wstąpił po szerokich schodach na górę i stanął nie bez tajemnej trwogi przed sędziami swej wartości zamiennej. Nieustraszony wobec nieznanym puszcz, okrutnym drapieżców, dzikich ludów, czuł zabobonny nieledwie lęk i wstyd w tych pałacach, gdzie panowały według niego grzech i przemoc. Podejrzliwe badania jego osoby, niezrozumiałe pomruki urzędników, wypisujących cyrografy na stronicach olbrzymich ksiąg, do reszty wytrąciły go z równowagi. Nadomiar okazało się, jak zawsze w takich wypadkach, że dokumenty... nie w zupełnym porządku...

— Więc co?.. Więc doprawdy nie dostanę zaraz pieniędzy?... „Armand“ jutro odchodzi!

— Czy może pan przedstawić kogo, ktoby znał pana osobiście? zapytał surowy głos z za kratki.

— Znał osobiście?...—powtórzył Różycki—chyba nie... Skąd mogą mnie tu znać?!

Rozejrzał się beznadziejnie po sali wielkiej jak świątynia, pełnej modlitewnie szepejących angliczowanych panów i otyłych lichwiarzy chińskich. Szukał przyjaznego, choćby współczującego spojrzenia. Ale wzywał nadaremno. Wzrok zrozpaczony trafiał wszędzie na twarze obojętne, na spojrzenia szpiegowskie, w najlepszym zaś razie na... grube,

białe filary z polerowanego kamienia, tonące kapitelami w egipskim mroku wysokiego stropu.

Ale wszystko ma swe granice. Cierpliwość i nieśmiałość Różyckiego wyczerpały się również; fala krwi zalała mu zwolna cienką szyję, kanciastą twarz, zaróżowiła odstające uszy, zwiastując zbliżającą się burzę.

— Nie, nie znam nikogo, ale o pieniądze zaraz proszę — wybuchnął głośno z determinacją.

— W takim razie... podpis konsula!

— Ależ konsulat już zamknięty, a „Armand“ odchodzi jutro... jutro rano! Wiem już, co to znaczy „podpis konsula“! Niech mi panowie nie robią niepotrzebnych trudności. Upewniam panów, że ja jestem ja... Muszę dziś wieczorem kupić bilet i oddać bagaż!.. Proszę mi zaraz oddać moje pieniądze!

Uśmiech uprzejmy, ale stanowczy i fałszywy, wzruszenie ramion na jotę ledwie grzeczniejsze, niż w biurze Floty Ochotniczej.

Różycki czuje, że krew mu z powrotem zbiega do serca, podejrzewa, że palnie za chwilę jakieś niepoprawne głupstwo, więc przezornie, nie patrząc na nikogo, cofa się ku drzwiom...

Na nieszczęście nie mógł sobie nawet ulżyć trzaśnięciem, gdyż śliczne dębowe podwoje, rzeźbione w cudne liście, kwiaty i małpy, zawieszane na miedzianych okuciach nie zrównanej roboty były niezmiernie ciężkie i obracały się powoli.

Nęcące widziadło białego, posuwistego „Armanda“ bladło, nikło; zastąpiła go żałobna, pastelnicza sylwetka „ochotniczego“ parowca...

Zato na dole księżących schodów, nie gorszych niż wielkie schody w pałacu dożów, cnota Różyckiego została nagrodzona, gdyż spotkał się oko w oko z hrabią Fioretim, znajomym table-d'hôte'owym z Japończy.

— Co za szczęście! Może pan tu zna kogo?

— Owszem, znam dyrektora!

— Mała rzecz! W takim razie wracamy. Niech mię pan przedstawi dyrektorowi.

Różycki opowiada pośpiesznie całą sprawę, Fioretti z właściwą sobie uprzejmością zgadza się ją załatwić.

Dyrektor gorąco ściska rękę nowego znajomego.

— Tak, istotnie! Małe nieporozumienie... Ale to we własnym interesie panów—zwraca się z czarującym uśmiechem do Różyckiego.

— Bardzo dziękuję!... We własnym interesie spóźniębym się na „Armanda“—mruczy Różycki.

— Niedawno mieliśmy wypadek, że podjął u nas samę zupełnie kto inny... Tu, panie, Wschód...

Zerka od niechcienia na wyszarzane ubranie podróżnika.

— Pasto robi się u was w Szanghaju!—próbuję przerwać Fioretti fachowe wynurzenia bankiera, ale ten ciągnie dalej z wielkim zapałem:

— Zgłosił się jegomość bardzo przyzwoity, mówiący doskonale po francusku... Pokazuje mi weksel: żyra, podpis, wszystko jak należy...

Tymczasem w głębi „świątyni“ na ołtarzach stolików i biurek urzędnicy odprawiają misterja z książeczką czekową Różyckiego. Nareszcie kasjer główny rozkazuje miniarzom chińskim wypłacić szczęśliwcowi należną samę. Różycki uradowany, jakby ją dostał w podarunku, biegnie we wskazaną stronę. Tam za tęgą ladą dębową siedzi aż trzech Chińczyków. Każdy w szarej kurmie jedwabnej z szerokimi i długimi rękawami, w czarnej mysee jedwabnej z guziekiem na czubku. Gruby, siedzący pośrodku, nie zwraca na nie uwagi i trzyma płaski nos i swoje okulary atkwione w olbrzymiej księdze; wodzi po niej brudnym palcem, mruczy, emoka, a drugą ręką wprawnie stuka gałeczkami

misternie rzeźbionej deski rachunkowej. Z prawej jego strony stoi smukły jak dziewica, wytworny jak paż średnio-wieczny licznik-odbiorca. Z nieopisaną zręcznością chwytą pieniądze botticellowskimi palcami, waży chwilkę w powietrzu, potem z brzękiem rzuca na nefrytową podstawkę... Ruchy ma lekkie, wniebowzięte, wyraz twarzy skupiony. Złote i srebrne krążki padają z miarowym, dzwoniecznym rozjękiem, szerząc boski dreszcz w majestatycznej, modlitewnej ciszy badynka.

Przez ten nieomylny cedzik przechodzi co dzień cały dopływ bankowej monety.

Po lewej stronie grubego dostojnika równie piękny i wysmakły młodzieniec—płatnik wydaje polecane samy; podsawa je cicho, kaszając, ostrożnie z ledwie dostrzegalnym uśmiezkiem w spojrzeniu.

Bies skusił Różyckiego, że zmaćcił „nabożeństwo“, że zrobił rzecz brzydką, rzecz grubjańską, która zapewne długo przetrwa w ustnych podaniach instytucji. Przeczytał głośno napis na podsuniętych mu rulonach, rozwinął je i zaczął z brzękiem, jak sam bankowy licznik, rzucić na twardą ladę swoje „fanty“. Ironja znikła z wążkich warg i jeszcze węższych oczek chińskiego anioła, popatrzał zdumiony, otwarłszy szeroko grube powieki... Jego zwierzchnik również podniósł nos i skierował na śmiałka sobie okulary. W głębinach biurowych ucichły szelesty papierów; nawet dyrektor przerwał na chwilę rozmowę z hrabią Fiorettem.

Skandal, niebywały skandal i to wobec milionów!

Różycki brnął rozpaczliwie do końca.

— Ha, trudno: jak Wschód, to Wschód — rzekł ze sztucznym uśmiechem, podchodząc do hrabiego. Fioretti był stanowczo zawstydzony postępowaniem swego protegowanego.

Wyszli mimo to razem, gdyż miał go za uczonego dziwaka.

— Już mi raz w Seulu wsunięto ze słodkim uśmiechem zamiast drobnej monety na drogę worek pobielenych blaszek... Ile miałem z tego powodu przykrości, nie uwierzy pan... W Tientsinie znowu w czasie zajmującej rozmowy dostałem rulon haniebnie oberzniętych lań'iów... W Hakodate agent tego samego banku, gdym zażądał wypłaty w rublach, potrącił mi podwójne ażio, tak, że mój rubel po szczęściu miesiącach pobytu w kasach banku zamienił się niespodzianie w ośmdziesiąt kop.—skarżył się Różycki.

— Gdzie pan teraz był? Co pan w tym czasie porabiał?—przerwał dyplomatycznie Fioretti.

— Byłem w środkowych Chinach na Jan-tse... Zwiedzałem wsie chińskie... Chiński wieśniak, to doprawdy całym nowym, nieznanym Europie osobnikiem: filozof, obywatel, artysta, a jednocześnie wyrachowany, przezorny gospodarz.

— A wieśniaczki?

— Nie wiem. Widziałem je tylko zdaleka.

— Wie pan, przekonałem się, że niema jak Japonki! Zwiedziłem pół świata, poznałem setki kobiet rozmaitej barwy i kształtu... Ocenę ich urody uczyniłem nieledwie swoim celem i powołaniem... Otóż Japonki przewyższają wszystko, co wydał świat w tym rodzaju. Na tych wyspach ciepłych, wilgotnych, ogrzewanych niby olbrzymia oranżerja od spodu wewnętrznym ogniem wulkanów, wśród kwiatów i cudownej zieleni, urodziły się istoty przedziwne, świeże i wonne, delikatne i czułe, jakby utkane z płateczków tamtejszych złocieni lub peonii, hodowanych w cieniu namiotów... Tęsknię do nich i ze smutkiem myślę, że ich już nie ujrzę...

— Dlaczego?

— Muszę wracać!

Zarumienił się zlekka, wyprostował i zadumanym wzrokiem filozofa pogonił w błękitną dal morza.

Różycki pożegnał go, gdyż musiał spieszyć do hotelu, aby spakować rzeczy i odesłać je do kantora „Mercure de France“.

Najmniej kłopotu miał z pakami kolekcji, zostawionymi w składzie towarzystwa „The Osaka Shosen Kaisha“, które przywiozło je z Hańkou.

Zarządzający biurem, ubrany w wytworne szare kimono, powitał go, przysiadając i wciągając głęboko w siebie powietrze, wysłuchał poleceń i zapewnił, że rzeczy natychmiast wyśle do wskazanego miejsca.

— Tylko musi tam pan być osobiście, gdyż my nie bierzemy na siebie odpowiedzialności... za ciąg dalszy!.. ostrzegam znacząco.

— To się rozumie! Znam przecie trochę i Europę!

Po drodze wpadł Różycki raz jeszcze do innego biura „Konan Kisen Kaisha“, aby uściśnąć rękę znanego pana K. Kobale, który tyle mu rzeczy ułatwił i tak serdecznie opiekował się nim w podróży po rozlewnej Jań-tse.

— Kiedyż zobaczymy się znowu?

— Nie wiem. Pewnie nigdy!

— Nie chcę słyszeć o tem! Czyżby mój kraj nie podobał się panu? — pytał z odrobiną kokieteryj Japończyk.

— Ależ przeciwnie, lecz... przyszłość nasza nie od nas zależy.

— Życzę rychłego wyzwolenia pańskiej ojczyzny!

— Dziękuję!

Różycki czuł się szczerze wzruszonym. Cadowna kraina kwiatów, rycerzy i kobiet wyłoniła się na chwilę przed nim z lazurowych głębin Oceanu. Żegnał się z nią w myślach na długo, może na zawsze.

Hotelarz, Żyd gwałtem udający Niemca, widząc, że klient jego spieszy się bardzo, potrzebował zrobić w rachunku dużo dotkliwych omyłek. Na szczęście, nauczone doświadczeniem Różycki, zapisywał wszystko



skrupulatnie, sprostował więc bezzwłocznie omyłki i zwrócił rachunek.

Hotelarz łypnął oczami i znikł... Niema go długo. Daremnie Różycki dzwoni, chodzi niecierpliwie i pociera zaróżowione uszy... Zbiega wreszcie na dół do kantora.

— Rachunek, albo idę zaraz na policję!

To skutkuje; pojawia się poprawiony rachunek. Hotelarz klania się nisko, grzeczny i zadowolony. W łamanym rosyjskim języku przyznaje się, że jest z Kiszyniowa...

Zmęczony, spotniały z kapeluszem w ręku i rozwianym włosom znalazł się Różycki nareszcie na podwórzu Francuskiego Towarzystwa. Tak przynajmniej głośił szyld na bramie. Wązki zaulek, z obu stron żółto malowane mury bez okien i drzwi. Daremnie wszakże szukał Różycki jakiego objaśniającego napisu, lecącej strzały, albo wymownej ręki z wyciągniętym palcem. Nie nigdzie nie znalazł. Szedł więc dalej na oślep, wprost przed siebie, z ufnością w szczęśliwą gwiazdę starego włóczęgi. Przez sztachetową fartkę w murze dostał się niespodzianie do ślicznego ogrodu. Palmy wachlarzowate, draceny, opodał siwozielone łapczaste araukarje, poza niemi łuskawe pnie ciemnych kryptomerji japońskich, srebrne jesiony i klony rdzawe—wszystko bardzo wytwornie zmieszane...

Po zwirowatej ścieżce, mimo kwietnika ślicznych rozwianych złocieni, wiodła droga na schodki kamienne, gdzie wielkie skłębione jaszczury kaktusów wyciągały groźnie swe żądła z porfirowych waz.

Co za przepych, co za kultura! Bądź co bądź czuć Europę... Nie byle co!

Na olbrzymim, głębokim ganku pełno kwiatów. Wytworne fotele plecione i krzesła biegunowe zapraszają do spoczynku znudzonych oczekiwaniem interesantów. Miljonierzy z „Mereure“ nie żałują widocznie zabiegów!.. A jakie biuro wytworne! Różycki, zupełnie pogodzony z losem,

zajrzał skromnie przez uchylone drzwi. Przed ślicznem, długim, stojącym pośrodku biurkiem siedział ze schyloną głową mężczyzna i pisał. Różycki chrząka, ale mężczyzna nie zwraca na niego uwagi.

— Przepraszam, chciałbym zdać rzeczy kupić bilet na „Armanda“—mówi wówczas najlepszą w języku francuzką.

Mężczyzna podnosi gwałtownie głowę, ramieniem zalewa mu wygoloną twarz, oczy błyskają. Posłyszawszy imię „Armanda“, zrywa się. Co za niezwykła uprzejmość! Znać rasę rycerską!

Pan biegnie szybko ku gościowi, woła coś po francusku, właściwie... syczy niezrozumiale.

— Co za dziwne obyczaj kolonjalne? — rozważa stropiony Różycki, nie rozumiejąc ani słowa.—Czyżby się gniewał?... Ale za co?

Pochwytuje niektóre wyrazy i domyśla się ze zdumieniem, że elegancki pan klnie... Widocznie coś tu zbroił przeciw obyczajom, pierwszy raz jest we francuskich kolonjach. Czekając spokojnie końca z pogodą doświadczonych podróżników... Przecież się wyjaśni. Elegancki pan, groźny, zaperzony staje z piórem w ręku przed przybyszem. Salwy francuskich wyrazów sypią się dalej... Różycki słucha potulnie, ale ma tego już dosyć. Szyja i twarz czerwienią mu się z lekka. Francuz milknie, mierzą się oczyma, poczem nieznajomy, wysłuchawszy zapytania Różyckiego w tej samej kunsztownej francusko-angielskiej mowie, wybucha śmiechem.

— Ah, pardon! Pan nie umie po francusku. Niech djabli biorą! Przecież pan już dziś dwunasty! — wygłasza bardzo mierną angielszczyzną.

— Yes, Armand...

— Tak właśnie Armand! — podchwytuje z szubienicz-

nym humorem, kiwa na gościa piórem, wyprowadza go za drzwi i pokazuje przybitą na nich kartę:

„Monsieur de G\*, consul général“.

— Aha, bardzo przepraszam! A gdzie „Mercure“?

Konsul pokazuje na fartkę i zautek, poczem robi nagły ruch dłonią na dół.

— Rozumiem, w piwnicy! Istotnie był tam jakiś otwór — mruczy Różycki.

Kłania się, jak umie najprzejmiej, i odchodzi. W fartce spotyka gromadkę ludzi.

— Oho! tuzin konsula powiększy się znacznie! — mówi sobie, ale nie robi żadnych zabiegów w celu uratowania go.

— Dlaczego nie dają napisu? — moralizuje.

Sam znajduje wkrótce wskazany otwór i wstępuje do katakumby. Dobrze trafił: jest nareszcie napis i obwieszcza, że tutaj biuro. Ale drzwi zamknięte. Wraca więc w zautek i rozgląda się bezradnie na prawo i lewo. Za fartką tymczasem słyszy niemożliwą wrzawę, nad którą góruje grzmiący głos konsula. Po chwili wylatają stamtąd figury panów z kapeluszami w ręku i mocno wzburzonymi twarzami. Spoglądają żałośnie na Różyckiego.

— „Mercure“?

— Oui, oui! Tutaj! Ale zamknięte...

Smętna gromadka dąży razem ku bramie i długą chwilę gapi się, zadarłszy brody na uroczysty napis szyldu:

Mercure de France

Towarzystwo żeglugi i przewozu towarów.

O tak, „Mercure de France“! Bogate musi być towarzystwo.

W tej chwili Różycki spostrzega kulisów, niosących jego paki z „Osaka Shosen-Kaisha“.

— Tam do licha! Tęgo brakowało. Cóż ci Japończycy myślą, że my Europejczycy latamy na skrzydłach... Niech djabli biorą azjatyckie porządki!...



## III.

Nareszcie siadł Różycki na ławie łodzi parowej, która miała odstawić jadących na „Armanda“, i uspokoił się. Bagaż oddał, bilet wykupił... Pomacał go raz jeszcze w kieszeni, zdjął kapelusz, wytarł spotniałe czoło i rozejrzał się.

Pasażerów pełniutko!

Tuż obok niego, boczkciem na siedzeniu tkwił długi jak ljana i jak ljana zielony osobnik. Chwili nie usiadł spokojnie, kręcił się, zerkał z ukosa na Różyckiego, zapisującego swoje wrażenia, zaglądał ciekawie do jego notesu.

— Il Germano? — spytał wreszcie.

— No, Polacco!

— Aaa!

Zaczął natychmiast coś szybko opowiadać niemożliwym „pigginem“. Różycki notes zamknął i słuchał cierpliwie, wypatrując jednocześnie swoich skrzyń wśród zwalą bagażowego.

Nie dostrzegał ich i niepokój ogarniał go ponownie. Niedarmo wczoraj nie chciano ich przyjmować, twierdząc, że zapóźno!... Za kwandrans statek odchodzi! Wstał i szukał wzrokiem kogo, by się zapytać. Wtem ujrzał, że

wiozą nowy wózek ładunku. Odczytał stempel na jednej z pak: „Wu-chau“. Tak, to była jego własność!

W tejże chwili pierwsze z brzegu pądło, a potem drugie leci na dno łodzi, pchnięte twardym batem marynarza.

— Ostrożnie!... Tam porcelana!... — woła z przerażeniem na cały głos Różycki.

Wszyscy zwracają ku niemu głowy prócz majików, którzy w ten sam sposób ekspedują dalszy ciąg rzeczy.

Nim przecisnął się ku nim, było po wszystkim.

Spoceni marynarze kiwali uprzejmie głowami na jego uwagi:

— Oui!... Oui!... Bezwątpienia wstrząśnienie było cokolwiek za mocne.

Uśmiechają się dobrodusznie i odchodzą po nowe ciężary, nie prosząc jednak tym razem „pour boire“.

Tymczasem miejsce Różyckiego na ławce zostało zajęte.

Siadły na niem jakieś dwie panie, strojne i pachnące. Jedna z nich w czarnym kapeluszu z czerwonym piórkami spotyka się oczami z Różyckim i próbuje go pocieszyć.

— Eci!... To tylko tak strasznie wygląda. Jeżeli dobrze upakowane, nie im nie będzie! — mówi poprawną angielszczyzną. Wiem to, gdyż mąż mój był okrętowym agentem.

Różycki spogląda z roztargnieniem na jej twarz ładną, ale smutną, na jej ubranie zbyt gustowne dla trzeciej klasy i, uchylając kapelusza, mówi grzecznie:

— Ależ nie! Nie nie szkodzi!

— Tak, tak! Na wodzie inaczej niż na kamieniach. Woda ugina się pod ciężarem — dodaje jej towarzyszka z niemieckim akcentem. Rude włosy, twarz piegowata, szeroki nos, grube spękane usta, duże ręce w jasno-żół-

tych rękawiczkach, czarna modna spódnica „cloche“, czerwona bluzka jedwabna, wyłożona tu i owdzie z za paska.

Różykiemu wydaje się, że już widział gdzieś tę twarz, że ją zna... Sili się wydobyć ją z śmietnika wspomnień i przytakuje jej bezmyślnie.

— Tak! Tak!... Zapewne...

Jednocześnie zerka na piękność, która już odwróciła głowę i z bolesnym skrzywieniem ust atkwiła czarne oczy gdzieś daleko w miasto.

Zmieszany wyciąga zegarek.

— Już dawno minął termin odjazdu, ogłoszony w rozkładzie! — zwraca się do rudej sąsiadki.

— Niech się pan nie niepoko! Nieprędka jeszcze... Nieprędzej jak za dwie godziny!

— A obiad? Myślałem, że dostaniemy go na statku! Teraz chyba nie zdążyłbym już pójść do restauracji?

— O tak! Teraz wsiąść niebezpiecznie. Może odejść. Oni tak zawsze robią, zawsze się spóźniają, żeby zaoszczędzić sobie nasz obiad... Ale nigdy nie wiadomo, czy nie ruszą...

— Ludzie są oszuści. Im bogatsi, tym gorsi! — mówi dama z czerwonym piórkiem i zapalą papierosa.

— Yes! — potwierdza człowiek-liana i również wyciąga egzotyczną cygaretkę na ogromnej słonce. Następnie uchyla elegancko wyniszczoną „panamę“ przed „czerwonym piórkiem“ i prosi o ogień.

Na schodnicy ukazali się spóźnieni pasażerowie pierwszej i drugiej klasy. Wszyscy ustępują im z drogi, kłaniają się uniżenie, zaglądają zabiegliwie w oczy... A oni płyną w obłokach kufrów, pudełek, walizek, w otoczeniu postugaczy i tragarzy, poważni, spokojni, pewni, że świat stworzony jest dla nich i że oni dźwigają go na swych ramionach. Panie w jasnych sukniach, w cieniu jaskrawo kolorowych parasolek wyglądają jak cudne nie-

ziemskie stwory, niedostępne dla błota życia i jego mąk. Jakże daleko czuje się od nich tym razem Różycki, a przecie brakuje mu do biletu, no i... do Indji, zaledwie kilkudziesięciu fantów!

Nakoniec rozlega się dzwonek, a potem krótki rozkaz leci ze środka statku. Sapnęła maszyna, drgnęła podłoga łodzi. Rozdzierający ryk syreny głaszy wszystko. Ściągają schodnicę. Śruba burzy wodę to z jednej, to z drugiej strony... Naładowany po brzegi parostatek odrywa się od pomostu, zawraca, sunie... Pierwsza i druga klasa machają pracowicie kapeluszymi i chusteczkami. Odpowiadają im na przystani. Trzeciej klasy nikt nie żegna i ona też nikogo. Tylko jakaś dziewczyna biednie odziana, z chusteczką przy oczach pochyliła się pierśią i twarzą na kamienny grzbiet balustrady.

Stateczek płynie wązkim przesmykiem wśród słończonych okrętów i dzonek. Ciemniej dokoła spracowane kadłuby, obszyte sitowiem i bambusówką, wznoszą się do góry śpiczaste, kręte dzioby, niby trąby bajecznych słoni, sterują wysoko piętrowe rufy z rudłami jak bramy, z rękojęściami jak starożytne tarany.

Dziwaczne maszyny pływacze, naśladowujące delfiny, rekiny, czy morsy... Czasem błysnie wśród nich wytwor-na dżonka mandaryńska, lśniąca od złoconych rzeźb na wystających dęgach, z posrebrzaną łuską na chyłach podebranych boków, z rubinowemi oczami, z żółtozielonemi pletwami. Czasem wynarży się ciężka nawa wojenna z miedzianemi armatami, przywiązanemi do burt bambusowem powróstem, cała purpurowa i niebieska ze smoczą paszczą i srogimi ślepiami na przedzie... Ale większość stoi cicho na drżących cumach, wyblakła, poszarzała, nosząca ślady niezliczonych morskich mozołów, szram, blizn, przepuklin naprędcę załatanych lub zatłakanych smolną osmyczyną. Olbrzymie obozowisko wypo-

czywających włóczęgów wodnych, pachnących mułem, tranem, żywcią... Zjadliwe tumany zżarły im barwy, ciosy fal poszezerbiły krawędzie, teńnienia cyklonów i bezlitośne słońce zwrotnikowe wycalaowały wszelką gładkość, słona śniedz pordzawiła żelazne i bronzowe okucia, sadz małżów i porostów gęsto omszyła wydęte poddenia. Nurzają się ocieźale; czarno-siny wart dokoła nich bełkoce, a ponad nimi mgli się nieprzejrany las strzelistych, iglicowych masztów, osnuty pajęczyną lin, drabin sznurowych, skrętów żaglowych i rej. Ten las przedziwnie przejrzysty i koronkowy biegł szlakiem niskiego przylądka i urywał się nagle z końcem ziemi, odsłaniając niezmacony błękit oceanu.

Słabły zwolna portowe zapachy. Gorzki, zastały zaduch zatoki rozpuszczał się w świeżych, stonych, przestwornych powiewach. Piersi podróżnych wciągały je z rozkoszą.

Wtem uciekła maszyna, powiało z boku ciepło wygrzanego słońcem kolosa, nad głowami przyjezdnych zabielały w błękitach brzuchy łodzi ratunkowych, i parostateczek stuknął cicho o biały bok „Armanda”.

Różanice dam z klas uprzywilejowanych wstępuje na górę po wązkich schodkach, kołysanych przyptywem fal... Migają koronkowe obszycia spódnic wszystkich możliwych kolorów. Za paniami kroczą panowie wysoocy i nizocy, grabi i wysmakli, zręczni i niezgrabni... Grzebią się jak kraby po lśniącem boku statku na rozhuśtanej drabinie... Za nimi ich kuferki...

Przychodzi wreszcie kolej na klasy poślednie. I one puszczejają przodem swoje kobiety, ale ich „dessous” nie przedstawiają malowniczego widoku. Czują to pewnie niewiasty, gdyż przesuwają się szybko, ogarniając zręcznie spódnicę. Jedyne jakaś prosta kobiecina, owinięta w wyszarzaną chustkę, nie dba weale o widzów, ostroż-



nie stąpa po schodkach stoniowatemi nogami, trzyma się mocno oburącz za sznur poręczy i pozwala swawolnemu wiatrowi igrać dowolnie z jej grubą kiecką. Nakoniec wstępują na górę i mężczyźni trzeciej klasy, wloką swoje kuferki. Co prawda, nie jest to rzecz łatwa na wąziutkim i chybotliwym trapie; można i łatwo spaść, i dobytek utopić, ale... idących ośmiela widok marynarzy i posługaczy okrętowych, którzy spokojnie przyglądają się z góry ich wysiłkom. Spotniali i zdyszani są wreszcie u szczytu i wstępują w długi koryta, z, gdzie za szeregiem zawartych drzwi kryją się czyste, wygodne kajuty.

Stająca w czepeczku i białym fartuszką podejrzliwie siedzi za nimi, a lokaj w czarnym fraku woła:

— Dalej, dalej! Trzecia klasa dalej!

Różycki mężnie dźwigał swoją starą, ciężką, wyładowaną papierami walizę. Nie chciał pozostać w tyle i nie pozwalał sobie nawet bardzo sapać.

— Ho, ho! Jeszcze nie jest tak źle ze mną — myśli z przyjemnością.

Powodzenie rozzuchwala go do tego stopnia, że nawet chwyta za jedno ucho kosza Angielki z czerwonym piórkiem, która śmiertelnie blada ze znużenia stanęła i oparła się ręką o ścianę. Kobieta dziko spogląda na niego i broni swego mienia.

— Niech pani pozwoli... pomogę...

— Tak, tak!.. Trzeba się śpieszyć... Zajmą lepsze miejsce!..

— Ale ja... sama...

Znowu chwyta za ucho kosza, który dźwiga do spótki z towarzyszką, lecz po kilku krokach znowu staje bez tchu.

Z tyłu podróżni popychają je i gderzą na powolność. Różycki ponownie próbuje odebrać Angielce jej ciężar.

— Zajmą lepsze miejsca!.. — powtarza rozpaczliwie jej ruda przyjaciółka. — Wie pan co, niech pan tu z Kate popiłnuje rzeczy, a ja pobiegnę naprzód, zajmę miejsca... Tu już można stać, tu trzecia klasa...

Istotnie już przekroczyli żelazną kratę, oddzielającą tylną — uprzywilejowaną część statku od jego przodu. Sznur wędrowców, obciążonych bagażem, spływa po małych schodkach na pokład dolny i ginie w labiryncie zwalonych na kupy skrzyń, koszów, beczek, między namotami lin, zwojami łańcuchów i żelaztwa. A wszędzie, gdzie pozostał choć mały wolny kątek, sterczą już ręce i nogi ludzkie, wyglądają głowy i twarze, przeważnie czarne, żółte, oraz miedziane. Z otwartych luków okrętowego spodu bije nieznośne gorąco i zaduch. Winda pracuje jeszcze nad nimi; jeszcze kołyszą się nad głowami przechoźniów ciężary, ujęte w żelazne szpony, i z głuchym łoskotem spadają w ciemną studnię pokładową.

Długi komanik podróżnych dawno się wyczerpał, a Różycki wciąż czekał wiaz ze swą damą, potrącany niegrzecznie przez pracujących marynarzy i spóźnionych gości. Dama z piórkiem skromnie mileżała i patrzyła w bok, w dal na mgławce miasto, roziskrzone na brzegu ogniami tysiąca palących się w słońcu okien.

Różycki ostrożnie przygląda się jej z pod oka i czuje się coraz gorzej...

— Trzeba jej coś powiedzieć, ale co?..

Na szczęście wraca „ruda“ już bez zarzutki, kapełusza i parasolki. Woła zdaleka:

— Chodźcie! Chodźcie!

Kate i Różycki chwytają za uszy kosz i niosą popiesznie. Ruda prowadzi. Przeciskają się wąziutką, najeżoną gwoździami szczeliną, między górami skrzyń, poznaczonych cyframi. Okrążają luk towarowy i zatrzymują się nad ciemną przepaścią, w głębi której majaczą

brudne, wilgotne schody. Różyckiego uderza niezdolność, a dobrze znany odór. Staje, zagląda i wącha.

— Co to?.. Obora?..

— Chodź pan, chodź!..—woła wesoło „ruda“ gdzieś z dołu.

— To tutaj!

— Nie może być... Tutaj przecie... krowy!

— Ależ tutaj!.. Jeszcze niżej, pod krowami!.. — odpowiada ze śmiechem.

Radzi nieradzi ześlizgują się lękliwie po ociekających gnojem schodach. Kate potoczyła się i o mało nie spadła; szczęściem Różycki w samą porę nadstawił jej ramiona. Chwilkę pobyla w jego objęciach, ciepła i pachnąca, poczem zostawiwszy kosz na boskiej opiece, umknęła na dół do kajuty. Różycki pozostał na pochyłości z koszem na kolanach, a tymczasem już ktoś z góry kopnął kosz nogami i klął na czem świat stoi. Nareszcie „ruda“ pośpieszyła mu z pomocą i stoczyli się oboje wraz z koszem na sam spód.

Różycki rozejrzał się. Pośrodku dużej i niskiej kajuty stało kilka stołów z prostymi ławami dookoła. Wszystko: ściany, sufit i podłoga było powleczone obrzydliwym, woskowo-żółtym pokostem. Istna nora miodowa... Podłoga zaśmiecona, lepka od błota. Słabe światło ledwie przedzierało się przez mętne, jakby oślepte iluminatory, nieprzecierane od wieków, ze śladami fał przebytych huraganów. Tuż obok schodów niby przepierzenie mieścił się również żółty, odrapany bufet. Na nim stało parę szklanek z resztkami piwa, czerniała kupka popiołu, białe niedopałki papierosów i okruchy jabła. Przy nim sterczał sługa z obrzękłą, wygoloną twarzą—brudny, wyświechtany, ohydny jak ścierka, którą trzymał w ręku. Przyglądał się z pod oka Różykiemu i jego towarzyszkom—drapieżnym, krytycznym wzrokiem starego wygi.

Obejrzał ich pakunki, ich ubiór i twarze, poczem znowu zagłębił się w wycieranie jakichś naczyń.

Różycki zatrzymał się, niepewny i zdamiony.

— Czego pan stanął? To tutaj! zachęcała go rado-  
włosa.

— Niech pan postawi kosz w kajucie, naprawo, tam,  
gdzie mój kapelusz... Tutaj my będziemy... Tu damski prze-  
dział, a tam dalej pański przedział... Rozbieraj się, Kate.  
Czego stoisz?..

— Dziękuję panu—rzekła Kate obojętnie, nie patrząc  
na Różyckiego.

— Niech pan pamięta, że my tu... Kiedy panu co  
będzie trzeba... to niech pan przyjdzie! dodała ruda, wy-  
suwając za nim głowę na korytarzyk.

Zły i rozczarowany Różycki poszedł na drugi koniec  
jadalni, gdzie znalazł taki sam mały korytarzyzek i czte-  
ry wejścia, wiodące do czterech przeciwległych sobie  
kajat.

Wstrętne, ciemne dziury, tego samego, co i „salon“  
żółtego koloru. W każdej trzy rzędy przyz piętami nad  
sobą.

Wszystkie miejsca zajęte, zewsząd wyglądają wrogie  
twarze i wyczekujące spojrzenia. Zostało jedno wolne,  
najgorsze, pod samym sufitem, koło drzwi i w pobliżu  
wentylatora.

Z trudnością wdrapał się Różycki na to bocianie gnia-  
zdo i wciągnął za sobą walizkę.

Nie, stanowczo, ta trzecia klasa ma swoje złe strony!

Rozpiął paski, rozłożył pled i kołdrę. Dziesiątki cie-  
kawych, podejrzliwych oczu śledziło go. Więc scho-  
wał się copperszej w swej norze, wyciągnął jak mógł naj-  
płaśniej, szczęśliwy, że ma nareszcie swój kącik. Wpraw-  
dzie żelazna belka wisiała tak nisko nad jego głową, że  
literalnie dotykał jej nosem, wprawdzie pryca była wązka

jak trumna, twarda jak skała i cuchnęła starym smalcem, ale nikt go tu nie widział, a za to on przez odsunięte drzwi mógł stąd wybornie obserwować cały świat żółto-woskowej jadalni.

Wyjął notes i zaczął notować. Było jednak strasznie duszno i gorąco. Więc zrzucił wierzchnie ubranie, zdjął buty, rozpiął kołnierz koszuli... I wtedy zauważył, że nie jest jednak sam, że z pryczy naprzeciwko śledzą go czarne, świecące oczy. Tam leżał bokiem jegomość w czarnym ubraniu i z czarnym zarostem.

— Co za bandyta!.. — pomyślał Różycki i nogi pod siebie podeignął.

Aby zająć się czemś, zaczął Różycki przeglądać pozostałych pasażerów. Poniżej naprzeciw umieścił się człowiek - ljana, dalej jakiś piegowaty jak pstrąg i włochaty jak Ainos osobnik, który zdążył już zrzucić nawet bieliznę i wypoczywał w okazałej, nieczem nie przykrytej nagości.

Po nieznośnym zapachu opjum poznał Różycki, że tuż pod nim zakwaterowali się Chińczycy. Cicho szwargotali ze sobą, pykając fajeczkami, ale skoro „bandyta“ zwiesił głowę i przyjrzał im się chwilę, amilkli niezwłocznie i palić przestali.

Parowiec drgał chwilami od głuchych uderzeń ciężarów, zrzucanych na jego spód; maszyna hurgotała i syczała, gdzieś zgrzytały łańcuchy, ale statek wciąż nie ruszał się, wciąż skrzypiała na pomoście winda i wciąż podływały łodzie.

Wszystko słychać było wybornie przez otwarte, okrągłe okienka kajut, t. zw. iluminatory.

Nareszcie nastąpiła dłuższa cisza, zakończona okropnym wyciem syreny.

— Aha, ruszamy!..

Różycki wdział szybko buty i wybiegł na pokład.

Kiedy statek podnosi kotwicę i, barząc morze, na-

wraca w mglistą bezkresną dal, ląd stały nabiera szczególnego powabu.

Gęsty, czarny dym wali z kominów i długo wisi w blade-niebieskiej przepaści powietrza i wody, niby żałobne wspomnienie. Brzegi ziemi zapadają się, bledną z każdym uderzeniem śruby. Kanciaste budowle i sinawe zarośla rozplywają się rychło w błękitach, niby wodne znaki. Parowice mija stada skrzydlatych łodzi, nikłych, niewidzialnych prawie pod wspianiałemi płachtami wysoko wydmuchniętych żagli. Wiatr żenie stateczki, chyli je, fala je kołysze. Ślizgają się, tańczą z nieopisanym wdziękiem po długich, szklistych, przelewających się obłąkach wód... Zda je się, że błędzą, że polatują bez celu i masu, niby rój elfów, oderwanych igraszką od ziemi.

Zupełnie inaczej suną na widnokregu pierzaste widma żaglowców lub ciemne kontury i siwe dymy parostatków, rychło niknących za wypakłością Oceanu.

Te lecą precz prosto i stanowczo, jak pociski, wyrzucone z portów potężnym rozmachem, lecą pełne siły żywej, ludzkich wirów, które je zrodziły.

Morze łuszczy się w późnem słońcu, które srebrzy i złoci na falach sinawą czerń zbliżającego się wieczoru. Bałwany przelewają się ciężko, jak roztopiony metal.

.... „Bardzo ładnie....“ zapisał Różycki w notesie.

Ponieważ jednak nie miał nic w ustach od samego rana, wrócił do kajuty w błogiej nadziei, że dostanie coś do jedzenia.

— Oho! Wybornie! W samą porę przychodzę!..—ucieszył się.

— Pasażerowie już siedzą dokoła stołów.

Radość jego wszakże okazała się płonną. Jedli tylko ci, co wzięli z sobą pożywienie z lądu.

Różycki miał buljon w kostkach, czekoladę w ta-

blizkach, herbatę i cukier. Poprosił więc grzecznie bufetowego o sprzedaż chleba, wędliny, sera i owoców.

— Lub czegoś w tym rodzaju...

— Non—odpowiada mrakliwie stagus.

— Dlaczego?

Posępne milezenie.

— A kiedy dacie jeść?

— W swoim czasie!.. Jest piwo, woda sodowa, wino—dodaje niechętnie.

— A wody gorącej?

— Non!

— Dziwne obyczaje!.. Brudno, duszno, jeść nie dają!

I to ma być Europa?—mówi oburzony Różycki głośno po angielsku.

Stagus mileży, ale widocznie zrozumiał, gdyż patrzy na niego oczyma oprawcy.

DIALOG znajduje zwolenników. Człowiek—ljana gnie się uprzejmie to w stronę Różyckiego, to w stronę lokaja.

— Gdym płynął do Bombaju statkiem angielskim „Primerose“, miał on tylko jedną klasę—wtrąca ohydny „pigginem“. Bufetowy wzrusza ramionami i odwraca się; piegowaty jegomość, który zasiadł do stołu w pasiastych kalesonach i barchanowej kurtee, rzy głośno, jak stado koni...

— Trzeba było wziąć bilet drugiej klasy—mruczy bufetowy.

— Chce pan, ja mu powiem, to on panu da jeść!—woła uprzejmie od stołu do Różyckiego rudowłosa dama.

Ta pani umie żyć!

Siedzi pod otwartym iluminatorem, przez który widać krążek błękitu, rozedrganego od migotań morza; przed nią stoi napoczęta flaszka wina, leżą kawałki bułki, owoce, mięsne konserwy. Zdaje się, że jest trochę za... wesoła.

Nogę założyła na nogę tak wysoko, że czarne pończochy z żółtymi klinami widać nieledwie do kolan.

— Dziękuję pani! Poczekam na kolację!—odpowiada Różycki, rumieniąc się zlekka.

— To będzie nieprędko!.. Jeszcze nie zszadziłmy pilota. W podróży trzeba sobie radzić. Trzeba ludziom zrobić grzeczność... to i oni zrobią grzeczność... Pan nam zrobił grzeczność... A ten bufetowy, to on dla mnie zrobi wszystko, co zechcę, niech tylko mrugnę... Chee pan, ja mu powiem?.. Kate, zobacz, która godzina?

Kate siedzi, zlekka odwrócona od sali, nieruchomo patrzy w iluminator. Ćmi jednego papierosa za drugim, cała kupa popiołu i niedopałków leży przed nią na stole.

— Jaka to jednak ładna kobieta, jaka śliczna musiała być dziewczyna!.. — znowu pomyślał Różycki i mimowoli zatrzymał na niej wzrok dłużej niżby wypadało.—Nos prosty, zgrabny, małe usta, okrągły podbródek... wdzięczny owal twarzy... cieniachne półkola brwi, a pod niemi trzepoczą się płochliwie długie, gęste rzęsy, jak cienie skrzydeł motyli. Z wypukłych piersi przedziwnie wyrasta łabędzia szyja... A oczy... Co za oczy!.. Wielkie, wilgotne, przepysznie czarne!.. Jest tak urodziwą, że, patrząc na nią, robi się smutno i sama ona taka smutna, taka niezmiernie smutna—zakończył swój przegląd, spojrzawszy zniechęcenia na otaczających i dostrzegł z przykrością, że wszyscy jej się przypatrują.

— Kate, cóż ty nie słuchasz! Ja się pytam, która godzina—nastaje jej towarzyszka.

Kate nie rusza się i nie odpowiada. „Ruda“ wzrusza ramionami, kiwa na przyjaciółkę i robi znaczący ruch palcem po czole. Bufetowy spogląda na kobiety z podobą, chrząka i pociąga na dół garbiącą się na piersiach



kamizelkę. Człowiek-ljana uśmiecha się ironicznie i zwraca się do Japończyków, siedzących kupką opodal i uważnie śledzących, co się wkoło dzieje.

— Kobieta rządzi światem.. — robi po francusku niespodzianą uwagę piegowaty jegomość.

Zjawia się kontroler, sprawdza bilety i zapisuje numery zajętych miejsc. Przepędzono Chińczyków z kajuty „europejskiej“. Wpakowano natomiast jakichś „białych“ mocno oliwkowego koloru—zdaje się, że Portugalczyków z Makao. Człowiek-ljana bardzo zadowolony z tych rugów.

— Kolorowi do kolorowych!—z dumą poucza sąsiadów.—Tu u nas na wschodzie takie obyczaje, inaczej załapały nas ta hołota!.. Pochodzę z Jawy... Mam tam plantację pieprzu... Musiałem dla interesów jechać tym statkiem... Chodzi mi o pośpiech, a miejsca w drugiej klasie zabrakło... Pewnie i pan w tem samym położeniu!.. Obiecują miejsca w Hong-Kongu... A pan skąd?—zwraca się do Rózyckiego.

— Zdaleka...

Statek zwalnia biegu.

— Co to?

— Pilot... pilot odjeżdża! Kto ma listy do wysłania na ląd?

— Listy! Ach zaraz! Niech poczekają!—woła głośno człowiek-ljana.

Rózycki listów nie wysyła, ale wychodzi z innymi na pokład, aby zabić czas i oszukać głód.

Chyży, gęsty zmierzch pada z wysokiego nieba, niby deszcz sadzy. Brzegów już nie widać, jeno mruga w ciemnej dali, zmieniając kolory, gwiazda latarni morskiej.

Po powrocie do jadalni pasażerowie, o radości, znajdują talerzyki rozstawione na stołach... Siadają po-

śpiesznie na miejscach. Ale mija godzina... mija półtury... Bledną zwolna fantastyczne rojenia, zwątpienie zakrada się do sere... W mdłym świetle starych przepalonych lampek elektrycznych tłum pasażerów różnolitych, różnobarwnych i różnosztatnych, głodnych, onieśmielonych, siedzących poważnie przed pustymi talerzami — wygląda niezmiernie zabawnie. Panuje przygnębiająca cisza.

Nareszcie ktoś wybucha śmiechem.

— Wstawajcie, panowie, już nie więcej nie będzie! — mówi w portowem narzeczu.

Bufetowy obrzuca go groźnem spojrzeniem.

— Niosą zupeł!.. — mruczy po francusku.

Wjeżdża wspaniały ceber przy udziale dwóch majtków, niosących go za uszy.

A więc, a więc... ludzie nie są tak źli, nie umrzemy z głodu!..

Uzbrojony w wielką warzachew bufetowy nalewa brunatny płyn do talerzy. Boski człowiek! Wszyscy chwytają za łyżki. Różycki był tak głodny, że nie patrzył, nie wachał. A zresztą... trudnił się etnografią i długie nieraz miesiące przemieszkował z dzikimi ludami. Mimo to z przykrością usłyszał, jak „ruda“ powiedziała cicho do towarzyski:

— Ty, Kate, nie jedz!.. Tu są robaki... My lepiej każemy dać sobie herbaty!..

Być może, że miała rację, lecz wypowiedziała ją za późno... talerz Różyckiego był pusty!

Zato chleb wyborny!.. Szkoda, że go tak mało!

Na drugie danie jakieś ochłapy, podobne do świeżo wypranych gałganów. To już Różycki powachał wbrew wymogom etnografji. Odgadł zupełnie słusznie, że jest to sztukamięsa, wyjęta ze zjedzonej przed chwilą zupy. Obejrzał ją, oczyścił zlekka i zabrał się do niej odważ-

nie; ale znalazł tam jeno kłęby żył i chrząstek niepodatnych do rozzucia.

Na deser kilka zepsutych orzechów, trochę podmokłych, stęchłych pistacji, kawałek słodkiego strączka.

— Co to?! Żarty! czy co?

Wszyscy mruczą.

— Za co biorą pieniądze?

— Gdzie wino? Powinno być wino! zwraca się jeden z bywalców do bufetowego.

Ponieważ mówi po angielska, sługus udaje, że go nie rozumie.

— Vin! Vin rouge!—ryczy „czarny bandyta“.

— Zabrakło. Będzie... niedługo!—odpowiada lekceważąco lokaj, spogląda z uśmiechem bezezelnymi oczami i kręci od niechętnia brudną ścierką w ręką.

— Głodem morzyciel!

— Będziemy się skarżyć! Ho, ho!... Nie na takich trafiłiscie!—mruczy człowiek-ljana, lecz rychło milknie, gdyż „ludy wschodnie“, których jest większość, wstają pokornie i rozechodzą się do swoich kajut. Tajemniczy osobnik w czarnem ubraniu obrzuca wszystkich szyderezem spojrzaniem i również podnosi się, „piegas“ każe sobie podać herbaty z rumem. W jadalni pozostaje tylko on i „ruda“, Różycki pisze w notesie. Sprawia to pewną sensację, ale na krótko. Piegas z rudą oczkują zawzięcie. Różycki, widząc, że przeszkadza, wynosi się po jakimś czasie do siebie. Po chwili leży na brzuchu na pryzy i pisze przy świetle stearynowego ogarka:

„... Okazało się, że dostałem obrzydliwe do spania miejsce. Przeciąg, duszno, ciasno i niezmiernie twardo. Leżąc w nogach walizka wjeżdża co chwila na mnie, a co pół godziny ryczy mi nad głową wentylator. Właściwie to nie wentylator, lecz jakiś simam, wyrzucający strumienie gorącego wichru, obłoki kurzu, kaskady nie-

znośnego odoru... Cała jego wściekłość obraca się na mnie, gdyż wyzywam go niejako swem położeniem...

...Ryknął i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.  
Widząc, że był śmiertelny i nieustraszony...  
Ze złości łąd nogą trącił,  
Całą Arabję zmącił...

Cicho. Wokoło pochrapują zmęczeni podróżni. Nawet czarny „bandyta” uciekł, przytulony w najdalszym kątku swej pryce. Duszno, piekielnie duszno!... Zwisająca mi tuż nad twarzą żelazna belka okrętowa dławi mnie, męczy, przygniata, jak wieko sarkofagu... Wyobrażam sobie uczucia górników, kujących skały w podziemnych sztolach...”

Zamyka notes, rozgląda się po ścianach i pociesza:

— Jeszcze tutaj nie najgorzej! Doprawdy nie najgorzej... Bywało przecie bardzo źle!

Probuje usnąć, ale nieustający ciąg powietrza i perjodyczne chrapanie wentylatora budzi go.

— Niepotrzebnie wdałem się z temi... makolągwanami! Gdyby nie to, byłbym zajął lepsze miejsce... — rozważa sennie.

Z otwartego iluminatora biją parne oddechy nagrzaných fal morskich. Wentylator wciąga je z rykiem i zionie napowrót ponad jego słabo przykrytem ciałem.

Już pogasty światła. W zamroczonej jadalni pali się jeno mała lampeczka. Przez otwarte drzwi widzi Różyczki, że przy stole siedzi bufetowy i przekłada coś szeptem jakiemuś grubasowi z książką i ołówkiem w ręku. Ten słucha uważnie, poczem macha ręką i trzęsie głową z takim

zapałem, że złoty łańcuszek brzęczy mu na opasłym brzuszku. Pozem znowu słucha, coraz rzadziej trzęsie głową, wreszcie kiwa nią przychylnie i sam coś długo szeptem bafetowemu doradza...

*(Ciąg dalszy nastąpi).*



IGNACY MATUSZEWSKI.

## Weysenhoff i „Laury” Wyspiańskiego.

(Szkic polemiczny z powodu feljetonów krytycznych o Wyspiańskim).

### I.

Józef Weysenhoff jest niewątpliwie pisarzem utalentowanym. Czy wśród generacji twórców doby ostatniej zajmie on miejsce w pierwszej, czy drugiej linii? Czy stoi, że tak powiem, „hierarchicznie“ na równi z Żeromskim, Wyspiańskim, Reymontem, Kasprowiczem i t. d., czy nie? tego w obecnej chwili rozstrzygać nie mam zamiaru, bo takich spraw nie rozstrzyga się od ręki, w krótkiej polemicznej rozprawce. Zbyt poważnie traktuję każdy prawdziwy talent, żebym śmiało wygłaszać o jego wartości sąd „aforystyczny“, niepoparty całym szeregiem dobrze ugruntowanych motywów i argumentów.

Szkoda wielka, że p. J. Weysenhoff, przerzuciwszy się, chwilowo, czy na stałe, do krytyki, nie trzyma się tej samej zasady, tylko rozdaje patenty na „wielkości“ i „ma-

łości“ właśnie tak od „ręki“, z dezynwolturą, która wprost razi każdego, kto zna i umiłował sztukę. Prawda, że niektóre artykuły p. Weyssenhoffa wywołały „sensację“, ale wątpię, żeby dla poważnego pisarza taki rezultat pracy posiadał jakąś moralną wartość. Jestem nawet pewny, że p. Weyssenhoff za sensacją nie gonił, chociażby dlatego, że sam potępia bardzo surowo wszelki „snobizm“ i związane z nim żywioły.

Przy czytaniu artykułów p. Weyssenhoffa nasunęła mi się atoli inna wątpliwość, a mianowicie, czy ten utalentowany autor „Podfilipskiego“ posiada odpowiednie dane na estetyka i krytyka? Zdaje mi się, niestety, że nie.

Jeden z jego artykułów krytycznych o „Mazyce wiersza Słowackiego“ („Kur. Warszawski“ 1 stycznia 1909 r.) jest niewątpliwie dobry, ale rzecz dziwna, że i inne artykuły o formie Słowackiego w tym numerze „Kurjera Warszawskiego“ są równie dobre, bo wszystkie prawie rozwijają tylko po dziennikarsku to, co już o tej stronie twórczości Słowackiego przedtem powiedziano.

Było to więc tylko feljetowane stosowanie stworzonej przez poprzedników metody krytycznej do pewnych szczegółów i szczegółików.

Pozatem pisał p. Weyssenhoff różne krytyki, a właściwie feljetony quasi krytyczne,<sup>1)</sup> naogół słabe ze stanowiska wyższych wymagań literackich, ale odznaczające się jasnym i przejrzystym stylem, werwą, kapiące od „zdro-

---

<sup>1)</sup> Rozróżniam te dwie rzeczy nie przez złośliwość, lecz dlatego, że w całym świecie ludzi fachowych „krytyka“ znaczy co innego, a feljeton krytyczny co innego. Krytyka — posiada cechy poważne, gdy feljeton służy do zapychania szpalt w dziennikach i tygodnikach, uganiających się za rozgłosem, poczytnością, sensacją, prenumeratą i t. p. Naturalnie p. Weyssenhoff nie może odpowiadać za „atmosferę“ panującą w pismach, dla których literatura jest tylko „interesem“, a nie przedmiotem kulta.

wego rozsądku“ i posiadające pewne *pozory* „kultury estetycznej“.

Przytem, pisząc przeważnie o artystach pokrewnego, a więc sympatycznego sobie typu, p. Weyszenhoff stał na swoim gruncie i, nie wykazując nadmiaru głębi krytycznej, nie ujawniał także braków głębszej kultury estetyczno-literackiej, oraz słabości swego talentu krytycznego, który, obecnie, na zasadzie grantownych badań psychologicznych, uważany jest za talent „*sui generis*“.

O braku właściwości krytycznych u p. Weyszenhoffa świadczy ironiczna wzmianka, rzucona nawiasem w jednej z „Rozmów literackich“, w której, dając karykaturę „Sno-ba“, wyraża zdumienie, jak można skoordynować w duszy uwielbienie dla Szekspira, Homera, Goethego, Słowackiego i Maeterlincka, oraz Wyspiańskiego.

Otóż właśnie, że u człowieka, posiadającego *wrodzone* dane na krytyka, podobne „bogactwo“ gustów jest najzupełniej możliwe. Pisałem o tem obszernie, opierając się i na własnych doświadczeniach, i na materiale naukowo-literackim, gdzieindziej, powtarzać więc wygłoszonych i umotywowanych tam zdań nie widzę potrzeby.

Niewątpliwie, że wśród ulubionych pisarzy każdy będzie budził zachwyty odmiennego rodzaju, i jakościowo i ilościowo, ale wrażliwość estetyczna o tak szerokiej skali nie należy bynajmniej do fikcji i ona to właśnie czyni krytyka—krytykiem, t. j. czemś różnym pod pewnymi względami od poety i artysty w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, chociaż nie wyłącza pokrewieństwa z typami czysto twórczymi. <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Nie chcę odsyłać p. Weyszenhoffa do mojej pracy o tej sprawie w książce „Twórczość i twórcy“ (Psychologja krytyki), bo nie tylko sam siebie nie uważam za dostateczny autorytet, ale mógłbym się spotkać ze strony p. Weyszenhoffa z zarzutem, że jestem zarozumiały i zbyt pewny siebie. Niech p. Weyszenhoff jednak przestadjuje choćby pracę francuskiego psychologa Paulhana p. t. „Analistes et esprits syn-



P. Weysenhoff podobnej skali wrażliwości nie posiada, ale mu to bynajmniej nie ubliża. Przecież Mickiewicz — jak twierdzi Klaczko—do końca życia nie rozumiał poezji Słowackiego i przyznawał się do tego otwarcie, gdy Słowacki utwory Mickiewicza czył i rozumiał, gdyż, obok geniusza poetycznego, posiadał talent krytyczny olbrzymiej miary i skali.

Ale Mickiewicz, prócz wielu innych, miał tę wyższość nad p. Weysenhoffem, że o Słowackim sam nie pisał i nie mówił z katedry publicznie, a p. Weysenhoff o autorach, których typu twórczości nie znosi, pisze i pisze źle,—choć niewątpliwie z najlepszą wiarą.

Po drobnych, ale jadowitych pociskach, skierowanych w stronę Żeromskiego (w dobrze zresztą napisanej ocenie „Chłopów“ Reymonta), zabrał się p. Weysenhoff do innego wybitnego pisarza czasów ostatnich—Wyspiańskiego i próbował zderzyć mu laury. („Tygodnik Ilustrowany“ 1909).

Przypatrzymy się bliżej tej dyletancko-feljetonowej robocie, którą nazwano w którymś z pism brukowych „sensacją dnia“.

Z ogólną, ideową i artystyczną stroną twórczości Wyspiańskiego załatwia się p. Weysenhoff w sposób tak pobieżny, że nie wiem, czem sobie tę pobieżność tłumaczyć? Czy to lekceważenie? czy niechęć? czy poprostu — impotencja krytyczna?

Jeżeli p. Weysenhoff nie wiedział, co powiedzieć, to lepiej, żeby nie mówił. Jeżeli zaś bagatelizuje twórczość Wyspiańskiego, to nie mogę pojąć, jak człowiekowi tak inteligentnemu i zrównoważonemu, jakim jest, bez kwestji,

---

thetiques”, a dalej Mario Pilo „Psychologja Piękna i Sztuki”, Karola Groosa „Der aesthetische Gennus”, Meinonga „Untersuchungen zur Werth Theorie”. Pomijam całą masę innych dzieł oraz przyczynków, rozrzuconych po pismach specjalnych.

p. Weyssenhoff, nie przyszła na myśl wątpliwość: czy rzeczywiście *on* jeden tylko ma rację? Czy nie należy poszukać *przyczyn* negatywnego stosunku do krakowskiego poety - malarza w *sobie* samym, a *nie* w Wyspiańskim?

Tą drogą idzie każdy *prawdziwy* krytyk, skoro spotka na drodze zjawisko nowe, dziwne, a mimo to—potężne.

To, co pan Weyssenhoff o Wyspiańskim wydrukował, można od biedy opowiadać sobie przy czarnej kawie i cygarze, ale publikować nie wolno, jeżeli się ceni własne pióro.

Sam p. Weyssenhoff przyznaje, że Wyspiański nie tworzył dla przypodobania się publiczności, że nie był spekulantem, fałszywym prorokiem, histrjonem, lecz szczerym twórcą (str. 592).

Dodaje nawet, wprowadzie z zastrzeżeniem, że i *zapal* do twórczości Wyspiańskiego był niekiedy może i szczerzy.

Niekiedy może i szczerzy? Odrzućmy liczną grupę snobów, odrzućmy tych, co kosztem Wyspiańskiego pięli się w górę, odrzućmy wreszcie tłum analfabetów estetycznych, podlegających łatwo suggestji, ale, czy po wyeliminowaniu z grona wielbicieli Wyspiańskiego tych niemiarodajnych czynników, nie pozostaje już *nikt* i *nic*?

Chyba p. Weyssenhoff nie zna dokładnie całej literatury, dotyczącej Wyspiańskiego.

## II.

Przecież, poza zdeklarowanymi zwolennikami t. zw. „modernizmu“, czy „młodej Polski“, nie brak wśród zwolenników Wyspiańskiego umysłów spokojnych, zrównoważonych i bynajmniej nie skłonnych do ślepego entuzjazmu.

Oto pierwszy Chmielowski, racjonalista i pozytywista z przekonań i upodobań, nadał Wyspiańskiemu miano

„gieniajnego talentu“, nazwał „Wesele“ najwydatniejszym zjawiskiem na polu dramatyki najnowszej i nakreślił charakterystykę, suchą wprawdzie i krótką, ale świadczącą, że rozumiał *lepiej*, niż p. Weyssenhoff, ducha utworu krakowskiego pisarza („Dramat Polski Doby najnowszej“).

A przecież Chmielowski nie był ani snobem, ani głupcem, ani naturą bierną, poddającą się nastrojowej hipnozie tłumów. Nie odznaczał się również nadmiarem emocjonalności, a nawet nie lubił zbytnio tego żywiołu w sztuce; skłaniał się, podobnie jak p. Weyssenhoff, ku realizmowi i nie gardził, równie jak p. Weyssenhoff, tendencją, ale posiadał jedną zaletę, której p. Weyssenhoff nie posiada: nie tylko miłował literaturę piękną, ale *znał ją tak gruntownie, jak mało kto*. Kolosalne, niemal bezprzykładne odczytanie i mozolne, lecz sumienne wnikanie w istotę tego, co czytał, nie tylko chroniły Chmielowskiego od pisania absurdów, ale wyrobiły w nim czujność krytyczną, która wzmogła znacznie słabą z natury wrażliwość estetyczną.

Ten eradyta, który, nie popadając w ubóstwo, mógłby obdzielić swoją wiedzą setkę feljetonistów, nie napisałby nigdy, że z chwilą uznania Wyspiańskiego za gieniajusza, czy talent, stalibyśmy na takim przełomie w literaturze, że „wszystko od wczorajszego dnia zapadło w dziedzinę archeologii, a od dzisiaj zaczyna się nowa literatura, mająca swoje wcielenie w Wyspiańskim“, — jak to w formie ironicznego paradoksu mówi p. Weyssenhoff.

Kto zna, ale zna gruntownie dzieje literatury i sztuki, ten wie, że nigdy pojawienie się nowego talentu nie przenosiło starych w dziedzinę archeologii. Mogły być chwilowe wybuchy jednostronnego entuzjazmu, ale potem przychodził moment, że „nowy“ talent, o ile istotnie był talentem, znajdował dla siebie tron obok starych. Krytycy zawodowi, oraz historycy literatury wiedzą dobrze, jak po różnych epokach „Sturma und Dranga“ następowała likwi-

dacja i co z tych wirów pozostawało, a co ginęło. I Chmielowski to wiedział, a jednak nie potępił, ani nie ośmieszył Wyspiańskiego.

Chmielowskiego raziły także pewne strony talentu Wyspiańskiego, któremu wytykał te lub inne usterki, ale czynił to poważnie, bez przycepek, ukrytych drwin i mekskinerji. Dlaczego? Bo Chmielowski czuł w Wyspiańskim wielką siłę duchową i artystyczną, więc ją szanował i chylił przed nią głowę, jak przystało na człowieka, traktującego swój zawód krytyczny na serjo. <sup>1)</sup>

A przecież Chmielowski nie jest jedynym przedstawicielem krytyki spokojnej i nie zaślepionej, krytyki „objektywnej“, nie poetyzującej, lecz racjonalizującej.

Weźmy rówieśnika Chmielowskiego, Bronisława Chlebowskiego, autora wielu prac bardzo subtelnych i aczonych, a między innymi i jednej z najbezsronniejszych i najlepszych charakterystyk Słowackiego („Sto lat Myśli Polskiej“, tom IV.)

Chlebowski ma niemniej eradyceji od Chmielowskiego, ale posiada więcej bezporównania od niego wrodzonej wrażliwości estetycznej i wskutek tego sięga głębiej i wydaje sądy lepiej umotywowane i skryzalizowane w bardziej przejrzyste formuły. Chlebowski jest nie tylko sumien-

---

<sup>1)</sup> Jeżeli idzie o przykład, zaczerpnięty z dziejów nie naszej, lecz obcej literatury, to przypomnę niezłomnego klasyka Brunetière'a, który, pisząc o symbolistach i dekadentach francuskich, dość surowo zastrzega się, że w podobnej sprawie *il est toujours prudent de réserver l'avenir*, a w parę lat potem przyznaje symbolistom nawet znaczne zasługi (Por. *Symbolistes et Decadents* (1890), oraz *L'Evolution de la poésie lyrique en France au XIX S.* (1894). Ale Brunetière, pomimo swej jednostronności i twardości, był *krytykiem serjo*, i znał dzieje literatury bardzo dobrze i wiedział, że ewolucja sztuki — nie stoi w miejscu, oraz, że talenty sprawiają „dogmatykom“ przykre niespodzianki...

nym i ucziwym historykiem literatury, ale i krytykiem — artystą.

Czy p. Weysenhoff czytał jego, drobne rozmiarami, ale bardzo cenne artykuły w „Książce“, dotyczące pośrednio lub bezpośrednio Wyspiańskiego? Jeżeli nie — to wielka szkoda.

Ja, prócz wielu innych uwag i refleksji, spotkałem tam jedno lapidarne określenie roli twórczej autora „Wesela“: *„odegrał on rolę młota, przebijającego otwór, który wpuszcza światło do duszącego nas ciasnotą i ciemnotą więzienia“*.

*Tego o byle kim* powiedzieć nie można, zwłaszcza, jeżeli uprzytomnimy sobie, że słowa te wyszły z pod pióra człowieka starszego wiekiem, wyrobionego, posiadającego ogromną kulturę estetyczną i *ważącego* każdy wyraz, rzucany na papier, (czego o p. Weysenhoffie, jako krytyku, powiedzieć nie można).

Chlebowski, jako krytyk, jest już dawno *czemś*, a p. Weysenhoff, jako krytyk, nie zrobił dotąd naprawdę absolutnie *nic*, prócz tego, że wywołał „sensację“. Gdybym nie wiedział o Wyspiańskim i szukał informacji, to z natury rzeczy łatwiej bym uwierzył Chlebowskiemu, od którego się już dużo nauczyłem, niżeli p. Weysenhoffowi, który pisze efektownie i bezceremonjalnie, ale z którego artykułów nie wycisnąć nie można. <sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> Przed laty przeczytałem studjum p. Weysenhoffa o Maeterlincku i naprawdę dowiedziałem się z niego tylko paru szczegółów z biografii belgijskiego poety.

Istoty Maeterlincka p. Weysenhoff i nie odczuł i nie odtworzył. Porównajmy studjum p. Weysenhoffa z wyborym wstępem Zenona Przesmyckiego do przekładu dramatów Maeterlincka. To jest krytyka głęboka, rozważna, odsłaniająca rdzeń poety i dająca syntezę jego twórczości. Ale bo też Przesmycki jest krytykiem z urodzenia i posiada odpowiednie przygotowanie. Wie dużo, czuje dużo i umie tem operować w sposób należyty.

Otóż we wszystkich artykułach czy wzmiankach Chlebowskiego o Wyspiańskim nie spotkałem nigdy ani potępienia, ani ironji.

Pisząc niedawno o jednym z najnowszych studjów (Walery Gostomski, „Aretywór dramatyczny Wyspiańskiego, „Wesele“), Chlebowski powiada: „ocena p. Gostomskiego *spokojniejsza* i trafniejsza od *dawniejszych* rozbiorów naogół jest w wynikach swoich niemniej entuzjastyczną“. Ale Chlebowski nie protestuje przeciw temu entuzjazmowi, tylko stwierdza, że Gostomski musiał swój entuzjazm amotywować rozbiorem „wszystkich czynników“, które zrodziły w duszy Wyspiańskiego ten dramat.

Czytałem studjum Gostomskiego i rzeczywiście przyznać muszę, że, aczkolwiek autor czei głęboko Wyspiańskiego, jako poetę, nie rozpływa się jednak w bałwochwaleczej frazeologii, lecz, analizując, punkt po punkcie, całość i szczegóły sztuki, dochodzi do wniosku, że to utwór nietylko na wskroś nowy i oryginalny, ale i *znakomity*.

Świetnie zwłaszcza wydostatnione jest to, czego p. Weyszenhoff *odmawia* niemal Wyspiańskiemu, a mianowicie muzykalność jego wiersza i związek rytmiczny każdego ustępu z nastrojem dramatycznym, czy lirycznym, jaki poeta w tym, czy owym splocie rymów i rytmów pragnął wyrazić.

To nie „pisanie na wiatr“, ale stwierdzenie dowodami konkretnego faktu. Bardzo dobrze również wyjaśniona została przez p. Gostomskiego charakterystyka pojedynczych figur i symbolów, oraz ich związek organiczny z całością.

Niemniej trafnie i przekonująco wykazał p. Gostomski, jak logiczną, pomimo swej pozornej dziwaczności, jest budowa i kompozycja całego dramatu.

A przecież p. Gostomskiego nie wiążą z „młodą Polską“ jakieś ściślejsze węzły! Oznak „snobizmu“ nigdy w tym skromnym, anikającym dziennikarskiego wrzasku autorze nikt nie dopatry. P. Gostomski pisał dobre studja o „Panu Tadeuszu“, o „Ślabcach Panieńskich“, o powieści polskiej, o Wagnerze, o Nietzschem i Tołstoju, a teraz napisał doskonałą rzecz o „Weselu“ Wyspiańskiego.

P. Weysenhoff zapyta: jak się zachwyty dla tak różnych treścią, formą i nastrojem dzieł *mogą skoordynować w jednym umyśle?*

Ano, widocznie, *mogą*, tylko nie *u każdego*..

Chmielowski pisał o Mickiewiczu, ale to nie przeszkodziło mu uznać talentu Wyspiańskiego. Chlebowski napisał dużą pracę o Kochanowskim, pisał o Krasińskim, Słowackim i—także uznaje Wyspiańskiego za zjawisko wielkie i dodatnie <sup>1)</sup>.

A niema *absolutnie żadnych* danych, żeby zarówno Chmielowskiego, jak i Chlebowskiego, lub Gostomskiego posądzić o „snobizm“, nieuctwo, brak kultury, talentu i znajomości przedmiotu, oraz szczerości. Więc połączenie w jednym i tym samym umyśle uznania dla Wyspiańskiego z uznaniem, czy uwielbieniem dla twórców odmiennych typów *nie jest niemożliwe*.

Jest to więc fakt. A z faktami liczyć się trzeba, choćby to było przykre. Zwłaszcza umysł tak racjonalny i pozytywny, jak umysł p. Weysenhoffa, nie może nie wziąć realnego zjawiska psychicznego w rachubę.

---

<sup>1)</sup> Witkiewicz, którego nikt nie posądzi o „snobizm“, Witkiewicz, krytyk pierwszorzędny, zachwyca się i Gierymskim, i Chełmońskim, i Matejką, i Böcklinem, i Segantinim, i Botticellim, i prerafaelitami.

Do szeregu analogicznych faktów przybywa jeszcze jeden. Oto Józef Kotarbiński wydał świeżo obszernie studjum o Wyspiańskim.

Kotarbiński wyrósł w jednej atmosferze z Chmielowskim i Chlebowskim, a za t. zw. Młodą Polską nigdy nie przepadał.

Wyspiańskiego zna wybornie, i jako człowiek, i jako dyrektor teatru, i jako reżyser, i jako aktor, i jako krytyk; daleki jest od zaślepionego entuzjazmu, a mimo to rokuje „Klątwie“ i „Protesilausowi“ najdłuższą trwałość i powiada dalej, że „jako dokumenty epoki świeżo zamkniętej prądów naszego czasu, *wielkie* zwłaszcza dramaty Wyspiańskiego mają znaczenie zjawisk *pierwszorzędnych*“.

Kotarbiński traktuje Wyspiańskiego *bardzo, bardzo* krytycznie; karci również roznamiętnionych entuzjastów i snobów, wygłasza zdania, z którymi można polemizować, ale *wie*, o czem pisze i w konkluzji uznaje Wyspiańskiego za „poetę, posiadającego siłę fascynującą fantazji widmowej, za poetę *wielkich zagadnień i tajemniczych zagadek*, za zjawisko *wyjatkowe*, za twórcę, który umiał swym *pomysłem wizjonerskim nadać intensywność złudy*, ujętej w ramy teatralne, umiał za pomocą symbolów i obrazów sennych, oddać pewne podziemne nawet niedoświadczomione instynkty duszy zbiorowej“ (str. 356).

### III.

Powołując się na pisarzy, rozbierających działalność Wyspiańskiego, pominąłem *rozmyślnie* wszystkich autorów, nawet *wybitnych*, ale mogących zasłużyć na szyderecze miano „apologetów“ Wyspiańskiego, chociaż niejeden z nich wniknął w twórczość krakowskiego poety *daleko głębiej*, niż p. Weyszenhoff.



Wszyscy cytowani przezemnie krytycy to ludzie starsi, nie spojeni ani z Wyspiańskim, ani z „młodą Polską“ żadnymi węzłami osobistymi, ani sekciarskim zaślepieniem, ani też jakimkolwiek sympatjami artystyczno-literackimi.

Jeżeli więc krytycy bezstronni, zrównoważeni, skłonni raczej do chłodnego, niż namiętnego traktowania przedmiotu—mogli odczuć i odczuli w Wyspiańskim jakąś wielkość i czar poetycki—to świadczy, że autor „Wesela“ posiada coś *więcej* nad to, czego się w nim p. Weyszenhoff *dopatrzył*, albo raczej—*nie dopatrzył*.

Czyż Chmielowscy, Chlebowscy, Gostomscy, Kotarbińscy, ludzie, którzy złożyli oddawna dowody, że umieją wydawać szczerze i umotywowane sądy krytyczne, dostali nagle obłądu?

Tego p. Weyszenhoff sam nie przypuszcza napewno. Jakże więc wytłómaczyć sobie tę sprzeczność?

Na to może p. Weyszenhoff znaleźć jedną odpowiedź: pomimo, że, prócz „apologetów“, snobów i tłumy, istnieli i istnieją ludzie, i mądrzy, i niezależni w sędzię, i poważni, i wykształceni estetycznie, którzy widzą w Wyspiańskim zjawisko *wielkie* i *dotądnie* pod względem artystycznym, *ja* nie mogę czuć inaczej, jak czuję. *Mnie* się Wyspiański *nie podoba*.

I mówiąc tak, będzie p. Weyszenhoff w zupełnym porządku, bo niekażdy jest obdarzony jednakowym typem wrażliwości estetycznej, zarówno pod względem jakościowym, jak i ilościowym, zwłaszcza, jeżeli się nad wysubtelnieniem owej wrodzonej wrażliwości nie pracowało długo i systematycznie.

Łatwość pióra i dyletanckie odczytanie — nie dają jeszcze kwalifikacji na krytyka i estetyka. Tu potrzeba specjalnego talentu i olbrzymiej pracy.

Wrażliwość estetyczna p. Weysenhoffa jest podobna do harfy, której brak pewnych strun zupełnie, a której inne struny natomiast brzmią zbyt głośno, nawet hałaśliwie. Stąd skłonność do niedoceniań jednych a przeceniania innych zjawisk sztuki.

Horyzont poczucia estetycznego u p. Weysenhoffa jest bardzo ciasny, ale stąd nie wynika, żeby owa ciasnota, czysto indywidualna, niweczyła istnienie innych, szerszych horyzontów. One istnieją i, jak tego dowiodłem faktami, nie brak ludzi, stojących na równym poziomie intelektualnym z p. Weysenhoffem, którzy owe horyzonty *widzą* i obracają się wśród nich z zupełną swobodą.

#### IV.

Prócz tego „defektu“ wrodzonego jednak, posiada p. Weysenhoff i inne braki, które możnaby uzupełnić wielką pracą nad sobą.

Oto, jak wspominałem, p. Weysenhoff nie ma gruntownego przygotowania literacko-historycznego, ogólno-estetycznego i psychologicznego.

Pomijam to, co pisze o stałych, niezłomnych prawach estetycznych. Ja sam przypuszczam, że może jakieś t. zw. „prawa estetyczne“ gdzieś w głębi duszy ludzkiej istnieją, ale, jak dotąd, wiemy o nich niesłychanie mało. Wszystko sprowadza się do kilku bardzo ogólnikowych i elastycznych formuł.

Znam całą prawie literaturę estetyczną i, jeżeli pominę owe właśnie ogólnikowe formuły, to nie spotkałem nigdzie, począwszy od Arystotelesa, a skończywszy na najnowszych, gruntownych i dobrze przygotowanych bada-

ezach, jak Lipps i Volkelt, ani jednego „prawa“, podawanego za *niezbite* i *niezłomne*.

Chyba, że p. Weysenhoff zechce opierać się na konstrukcjach metafizyków. Ci pisali bardzo dużo i nieraz bardzo ładnie o wiecznej boskiej idei piękna i t. p. Estetyka metafizyczna jednak czyta się dziś z przyjemnością, jak subtelny i podniosły poemat myślowy, ale nie—jako dzieło naukowe.

Estetyka jest częścią psychologii *uczuc* i, jeżeli ma być traktowana, jako nauka, musi być traktowana niejako „eksperymentalnie“ i historycznie. Estetycy, z którymi się liczyć należy, estetycy, którzy nie fantazją, lecz pragną powiedzieć coś konkretnego, nie tworzą dziś systematów a priori, lecz idą drogą indukcyjną. Nie narzucają twórcom reguł i praw, bo ich sami nie znają, lecz starają się na zasadzie dzieł, sprawiających wrażenie artystyczne, wydobyć drogą analizy teorje, wyjaśniające z jednej strony istotę twórczości, z drugiej—wrażliwości estetycznej.

Niestety, jak dotąd, estetyka, pomimo bardzo wielkich i cennych wysiłków, daleka jest jeszcze od syntezy naukowej. To dopiero embrjon. Wiemy, że istnieją pewne „kategorje“ estetyczne, jak np. tak zwane „piękno“, wzniosłość, harmonja, dysonans, tragizm, komizm; wiemy, że każde dzieło sztuki posiada jakieś członkowanie, proporcje, że może być złe, lub dobrze skomponowane i t. d., ale teorje naukowe, dotyczące tych spraw, są dotychczas bardzo różnolite, zawite i chwiejne, a zwłaszcza dalekie od—niezłomności.

Te rzeczy raczej się „wyczuwa“, niżeli dowodzi za pomocą rozumowania naukowego.

Już stary Kant, człowiek nie tylko mądry, przenikliwy i ostrożny, ale gienjalny i głęboki, z którego zdaniem liczy się dotąd nauka, zauważył słusznie, że „sąd

estetyczny (Geschmacksurtheil) <sup>1)</sup> nie da się dowieść za pomocą argumentów, jako prawie zupełnie *subiektywny*. Komu się jakiś budynek, widok, poemat nie podoba, to nawet sto głosów pochwalnych nie zdoła wzbudzić wewnętrznego uwielbienia“... Człowiek może udawać, że mu się coś podoba, żeby nie uchodzić za pozbawionego gustu; może przypuszczać, że smak jego nie jest dostatecznie *wykształcony wskutek braku znajomości przedmiotów pewnego gatunku* — to jednak jest jasne: zachwyty innych osób nie jest *argumentem dostatecznym*.

„To, że inni za kogoś widzą i obserwują, chociaż on sam widział inaczej, jest dostatecznym argumentem teoretycznym dla każdego, o ile dotyczy rzeczy, sprawiających *jednakowe* wrażenie na *wielu*, ale nigdy to, co się *komuś podoba* nie może służyć, jako *podstawa sądu estetycznego*.

„Dowodzenie a priori nie może ustalić sądu o pięknie według *pewnych regul*.”

„Jeżeli mi ktoś czyta poemat, albo zaprowadzi mnie na przedstawienie sztuki teatralnej, która nie odpowiada mojemu gustowi, to może on się powoływać na Batteux'go, czy Lessinga, albo na starszych i znakomitszych krytyków i przytaczać wszystkie postawione przez nich reguły smaku na dowód, że poemat jest piękny; mogą niemile mi ustępy tego poematu zgadzać się z owymi regułami: ja zatkam sobie uszy, nie zechcę słuchać wywodów i rozumowań i raczej przypuszczę, że zasady owych krytyków są fałszywe, albo źle w danym wypadku zastosowane, niż żebym mój sąd (estetyczny) pozwolił określić argumen-

<sup>1)</sup> Tłomacząc Kantowskie „Geschmacksurtheil“ przez przyjęte dziś powszechnie wyrażenie „sąd estetyczny“. Kant terminu „Estetyka“ używał w innym znaczeniu.

mi a priori, ponieważ to jest sąd *gustu*, a nie sąd *rozumu* czy *rozsądku*".

Kant pisze bez porównania zawilej i mniej efektywnie od p. Weysenhoffa, ale myśli głębiej.

Otóż, dalej powiada Kant: „Krytyka, jako sztuka, szuka jedynie fizjologicznych (względnie psychologicznych), a zatem empirycznych zasad, jakim nasz gust podlega w rzeczywistości, i—nie rozmyślając wcale o ich *możliwości*—stara się owe zasady zużytkować przy sądzeniu odpowiednich zjawisk“. <sup>1)</sup>

Do tych, podanych w formie bardzo niechlujnej, ale, bądź co bądź, głębokich spostrzeżeń, estetyka czasów najnowszych w gruncie rzeczy nie dodała *nic istotnego*, poza mnóstwem obserwacji i wywodów drugorzędnych.

Zasada subiektywizmu sztuki i krytyki, t. j. twórczości i wrażliwości estetycznej, pozostała dotąd nienaruszoną. To, co mówią o „normach“ ruchomych i zmiennych, nie wyjaśnia prawie niczego.

Wobec takiego stanu rzeczy p. J. Weysenhoffowi wolno nienawidzić Wyspiańskiego, ale *czy wolno go poniżać i ośmieszać?*

## V.

P. Weysenhoff w jednym artykule („Tyg. Ill.“ № 30) mówi z wielką pewnością siebie o „niezlomnych prawach estetycznych“, o tem, że „gieńjusz musi się objawić w zakresie tych praw kardynalnych“, a w następnym, późniejszym, cofa się nieco, mówiąc, że estetyka, to „nauka mało dogmatyczna, trudna do skodyfikowania“.

Dalej atoli pisze, że estetyka jest „jedna od urodzenia swego i opiera się na pojęciach (?), wyrobionych przez

---

<sup>1)</sup> Kant. „Kritik der Urtheilskraft“ wyd. Reclama str. 145, 147.

ładzkość a wyrastających z jednego pnia, ze zmysłu brzydoty i piękna“.

Wszystko to bałamutne frazesy.

Estetyka nie „*opiera* się na pojęciach“, tylko *stara* się ująć w jakieś intelektualne formaty uczucia i wrażenia pewnego typu; następnie estetyka nie wyrasta ze „zmysłu brzydoty i piękna“, <sup>1)</sup> lecz z chęci, potrzeby wyjaśnienia i ogarnięcia w pewien systemat naukowy danej grupy zjawisk psychicznych, zwanych „estetycznymi“.

Była epoka, kiedy wierzono, że piękno jest „ideą, rzeczywistością duchową, że jest napiętnowane nieskończoności charakterem, i sztuki piękne, będące azewnętrznieniem onej idei są pojawem nieskończonego ducha w pierwotnych jego doskonałości“. (Libelt). Początek tych poglądów na istotę piękna datuje się jeszcze od Platona,

---

<sup>1)</sup> Już ściślejsem byłoby powiedzenie, że „sztuka wyrasta ze zmysłu brzydoty i piękna“, ale nigdy estetyka. Chociaż i o sztuce trudno powiedzieć, że wyrosła ze „zmysłu brzydoty i piękna“, sztuka bowiem wyrosła raczej z potrzeby zadowolenia pewnych uczuć. Uczucia te bardzo skomplikowanej natury mają jedną wspólną cechę: dążenie do rozkoszy, pokrewnej pozornie rozkoszom, jakie daje życie, a jednak *odmiennej* od nich. Jest to rozkosz mniej brutalna, mniej żywiołowa, delikatniejsza, subtelniejsza, oparta na wrażeniach nie *bezpośrednich*, lecz *przefiltrowanych* przez mózg ludzki, mózg artysty, który objawy życia ujmuje w pewną specjalną syntezę, zabarwiając je swoim duchem. A Piękno? W dzisiejszej estetyce naukowej to tylko jedna z kategorii wrażeń, zwanych „estetycznymi“. O „Pięknie“ samem w sobie niepodobna nic powiedzieć. Definicji Piękna absolutnie niema. Co do brzydoty—to ta jest jednym z czynników i to bardzo ważnych twórczości. „Podfilipski“ jest brzydki, podły, marny—a w opracowaniu p. Weyssenhoffa zmienił się w figurę, zadawalniającą zmysł estetyczny. A Fallstaff?, a Mefistofeles?, a Ryszard III?—to szkarady, potwory, a jednak co z nich zrobili artyści? Figury nawskroś artystyczne. W sztuce obok harmonijnych efektów, są wrażenia, oparte na umiejętnem syntetyzowaniu i uwytknieniu rzeczy brzydkich, ale posiadających t. zw. „charakter“.

a wszyscy filozofowie, którym się zdawało, że za pomocą spekulacji metafizycznych przeniknęli treść bytu, określali piękno, zgodnie z wymaganiami swego systematu filozoficznego. Taki stan rzeczy zrodził tyle określeń piękna i nauki o niem, ile było systematów metafizycznych.

Pomimo subtelności tych określeń, żadne z nich nie zdołało się utrzymać, i dotychczas nie posiadamy ani definicji t. zw. piękna, ani wyjaśnienia jego istoty.

Estetyka nowoczesna więc nie bada istoty t. zw. piękna samego w sobie, lecz stara się poznać stany, zachodzące w duszy ludzkiej w chwili wytwarzania i odbierania wrażeń i wzruszeń *sui generis*, zwanych estetycznymi. Innemi słowy estetyka jest *psychologją* albo, ściślej mówiąc, próbą stworzenia psychologii *artyzmu czynnego i biernego*, czyli umiejętnością, badającą *proces duchowy twórczości artystycznej*, oraz *jego skutki*.

Jaką drogą podąży estetyka w przyszłości i do czego dojdzie—nie wiem, ale wiem, że rozprawiać *dziś* o „stałych, niezłomnych“ prawach estetycznych i t. p. można—ale tylko w feljetonach pism, w których redakcjach panuje „analfabetyzm“ krytyczny!

## VI.

Pan Weysenhoff pisze dalej: „Olbrzymie drzewo piękna jest własnością *przynajmniej rasy białej*.“

Dlaczego to wyłączenie? dlaczego rasy białej?

A sztuka japońska, która odegrała tak wielką rolę w rozwoju nowoczesnej sztuki europejskiej?

Czy p. Weysenhoff wyklucza twórczość artystyczną Japończyków z dziedziny estetyki? Przecież to także fakt, a nie fikcja!

Więc Hokusai nie był artystą, dlatego, że nie należał do rasy białej? Jeżeli, jak p. Weysenhoff twierdzi,

Wyspiański myśli „leniwie“, to p. Weyszenhoff obmyśla swoje krytyki i prace quasi estetyczne — arcy-niedbale.

A może zdaniem p. Weyszenhoffa sztuka japońska nie jest sztuką? Ja wiem, że wielu daleko poważniejszych badaczy sztuki i estetyków sądzi inaczej. (Dr. Anderson, Fenollosa, Dr. Gierke, Miecznikow, Bracia Goncourt'owie, Louis Gonse etc.). O artystach, rozmaitych w japońszczyźnie, już nie wspominam. Imię ich „legjon“.

Zresztą badanie sztuki ludów daleko pierwotniejszych, niż kulturalni Japończycy, rzuciło ogromnie dużo światła na ewolucję sztuki, chociaż to były ludy bynajmniej nie *białe*. (Por. Grosse „Początki sztuki“, Haddon: „Evolution in Art as illustrated by the Life Histories of Dessings.“ Andree: „Enthnographische Parallelen und Vergleiche.“ G. Semper: „The evolution of decorative art.“ i t. d. i t. d.). O tem wszystkim p. Weyszenhoff nie wie, czy nie chce wiedzieć, a jednak to są także fakty.

L. Marillier w przedmowie do przekładu francuskiego dzieła Grossego powiada:

„La sculpture greeque n'a-t-elle pas réalisé aussi pleinement qu'il le sera jamais l'idéal que se peuvent faire les hommes de la beauté plastique, et cependant un ivoire ou un bronze japonais ont leur beauté aussi et séduisante infiniment, mais elle est *d'un autre ordre* et *nulle hiérarchie* ne saurait s'établir entre ces deux formes si différenciées d'émotion esthétique“.

Przytaczam jedno zdanie, choć mógłbym zdań analogicznych przytoczyć całą setkę, a wszystkie świadczą, że tak zwane „piękno“ nie jest bynajmniej wspólną własnością „rasy białej“ wyłącznie, lecz całej ludzkości, chociaż u różnych ras i w różnych warunkach przybiera różne formy.



Estetyka więc, o ile zechce pozostać na gruncie *naukowym*, musi tę różnorodność uwzględnić i rzeczywiście uwzględnia, ale wskutek tego kodyfikacja owych „niezłomnych, kardynalnych praw“, o których tak *kategorycznie mówi* p. Weyssenhoff, ulegnie conajmniej opóźnieniu, jeżeli wogóle okaże się—możliwą.

## VII.

Pan Weyssenhoff, mówiąc o „nieśmiertelnych gustach“, bez których nie moglibyśmy zachwycać się pięknoszciami dawnych arcydzieł, wymienił nieostrożnie „Mahabharatę“. Ośmielę się zapytać, czy p. Weyssenhoff przebrnął przez gąszenie tej gigantycznej epepei, choćby w przekładzie Fauche'a?

Gdyby p. Weyssenhoff znał całą „Mahabharatę“, nie napisałby dalej, że „brak syntetycznego zamiaru w dziele sztuki jest gorszą wadą, niż tak zwana tendencyjność“. Już lepiej było wymienić „Ramayanę“, przecież to także brzmi egzotycznie, ale Ramayana posiada, bądź co bądź, więcej jednolitości, gdy Mahabharatę tworzyło i przerabiałoby tak tyle generacji, że niektórzy historycy literatury nazywają ten wielotomowy kolos epiczny „potworem“. <sup>1)</sup>

Wskutek świadomych przeróbek starej epepei heroicznej wkrađło się do poematu indyjskiego wiele niekonsekwencji kompozycyjnych, któreby napewno raziły „estetyczne upodobania“ p. Weyssenhoffa, <sup>2)</sup> gdyby Mahabharatę przeczytał w całości.

<sup>1)</sup> Por. Die Literaturen Indiens und Ostasiens von Alexander Baumgartner wyd. III 1902.

<sup>2)</sup> „Aber in *geschraubtesser* Weise ist diese alte Thatsache in dem Epos, wie es uns jetzt vorliegt umgestaltet... Bei der folgenden Generation wird dieser Punkt noch künstlicher *geschraubt* (Leopold Schröder „Indiens Literatur und Cultur“).

A mnóstwo epizodów, wplecionych w tok opowiadania, epizodów, rozrastających się do rozmiarów samodzielnych poematów! Mnie to nie gniewa i nie drażni, jak nie gniewało Indusów, ale jak p. Weyssenhoff godzi swoją ciasną „estetykę” z artystycznymi gustami Indusów—dalibóg nie wiem.

Po tem, co pan Weyssenhoff napisał o swoich wymaganiach estetycznych, powołanie się właśnie na „Mahabharatę” wygląda — jak odruch niekontrolowanej pamięci i zbyt łatwego pióra.

Gdyby ktoś ze współczesnych, pisząc epopeję, obrał sobie za wzór „Mahabharatę”, z pewnością dostałby za to porządne cięgi od pana Weyssenhoffa za luźność i wadliwość kompozycji. „Mahabharata” to nie poemat, lecz cały kompleks poematów, zrodzonych w różnych epokach i włożonych niekiedy gwałtem w ramy starożytnej epopei, modyfikowanej parokrotnie.

Tak, ale „Mahabharata” jest *stara*, więc i z nią, podobnie jak z Homerem i z Goethem, trzeba zestawiać „dzieła najnowsze”, żeby zachować tradycję „wielkiej estetyki” (znowu frazes!).

A co do Goethego — to także frazes. Może druga część „Fausta”, albo „Wilhelma Meistera” nie posiada wad kompozycyjnych, bijących w oczy, i w dodatku wad, których nie okupuje, jak w „Mahabharacie”, piękność, oryginalność i bogactwo treści?

Luźne powoływanie się na wielkie nazwiska może zaimponować czytelnikom „Tygodnika Ilustrowanego”, ale nie fachowym krytykom i historykom literatury.

Przecież „Wesele” Wyspiańskiego jest pod względem kompozycyjnym bezporównania logiczniejsze i zwartsze, niż „Götz von Berlichingen” Goethego, który się rozlała poprostu na kawały, pomimo, że posiada pozatem wielkie zalety artystyczne.

Przyznają to nawet krytycy i estetycy niemieccy, jak np. Hettner („Geschichte der deutschen Litteratur im XVIII Jhr.”).

Nie, w wyborze przykładów na poparcie swoich apodyktycznych twierdzeń nie był p. Weyssenhoff bardzo szczęśliwy.

Ale już dosyć tej erudycyjnej dyskusji, chociaż bynajmniej nie wyczerpałem jeszcze nawet czwartej części materiału, jakiego mi p. Weyssenhoff łaskawie dostarczył. Jeszcze o tem pomówimy kiedyindziej.

Wróćmy do Wyspiańskiego i zamachu na jego laury.

#### VIII.

Najpoważniejszy pozornie zarzut, jaki pan Weyssenhoff robi Wyspiańskiemu, jest kojarzenie się jego talentu malarskiego z poetyckim. A propos tego robi pan Weyssenhoff nawet dowcip o właścicielu dwóch fabryk, makaronu i żelaza, które nie prosperowały, bo makaron był podobny do żelaza, a żelazo do makaronu.

W zastosowaniu do tak *poważnej* postaci, jak Wyspiański, dowcip ten jest poprostu—*niesmaczny*.

Ale to rzecz p. Weyssenhoffa. Nie każdy umie robić dowcipy trafne a—nietrywialne; gorzej jednak, gdy dowcip jest—i trywialny, i nietrafny.

O tem, że Wyspiański operuje często na scenie środkami malarskimi mówiono i pisano już dawno. Ale czy w zasadzie jest to *wada*? Nie, to tylko *właściwość* danego talentu. Pokrewne cechy np. posiada w wysokim stopniu Wagner.

Tam, gdzie p. Weyssenhoff dopatruje się okazji do

„pięknego, pełnego antytez monologu“, Wyspiański widzi „obraz“. No więc i cóż? <sup>1)</sup>

Gdyby Wyspiański stworzył naprawdę jakiś typ gienjalnej pantominy, która dopiero na scenie mogłaby być uplastyczniona i sprawić wrażenie — to już i wtedy nawet zasługiwałby na miano artysty.

Czyż każda symfonia nie wymaga bardzo subtelного i pracowitego współdziałania całej grupy muzyków, oraz kapelmistrza?

Czy Nikisch, dzięki temu tylko, że jako dyrektor zniwala orkiestrę do wydobywania delikatniejszych i wymowniejszych odcieni z instrumentów mazyecznych i przez

---

<sup>1)</sup> Prof. Pini, zasłużony edytor Krasińskiego, Słowackiego oraz wybitny krytyk i znawca literatury, objaśnia „obrazowanie” w utworach Wyspiańskiego właśnie dążeniem do zupełnego *usunięcia* „*monologów*” z akcji dramatycznej, dążeniem, które od kilkadziesiąt lat przejawia się w teatralnej twórczości europejskiej. Z tego dążenia wynikł jakoby i potępiony przez p. Weyszenhoffa „obraz” Mendoga w Legjonie i rozmowa Konrada z Maskami w „Wyzwoleniu” i t. d. Hypoteza prof. Piniego zdaje się posiadać poważne podstawy, bo niechęć do monologów, jako do zbyt sztucznych środków, można zauważyć u wielu celniejszych dramaturgów nowoczesnych (Ibsen, Przybylszewski i t. d.)! W istotę samej sprawy zapuszczać się w tej chwili nie chcę, bo to kwestja zawiła i trudna, a miejsca mam mało. Nie wątpiłem często „monolog” razi więcej, niż „obraz”, bo traci konwencjonalizmem, ale czy sztuka teatralna obejdzie się kiedy bez pewnych „konwenansów”, wynikających z ubóstwa techniki scenicznej? z trudności zerwania kajdan, natury czysto materialnej? Wszystko zależy od tego, kto i *jak* co zrobi. Ja gotów jestem przyjąć zarówno *dobry monolog*, jak i *dobry obraz* — byle tylko jeden i drugi były należycie obmyślane, wykonane, wiązały się organicznie z akcją i duchem dzieła teatralnego i sprawiały wrażenie poetyckie. W każdym razie przypuszczenie prof. Piniego zasługuje na uwagę, zwłaszcza jeżeli połączymy malarskie zdolności Wyspiańskiego z tendencją nowoczesnej sztuki dramatycznej, dążącej do absolutnego wyrugowania „monologów” ze sceny.

to nadaje ekspresję dziełom polifonicznym, nie jest — artystą?

Otóż Wyspiański, niezależnie od swoich ogólnopoe-tyckich zdolności, posiadał dar wywoływania potężnych nastrojów za pomocą środków malarsko-teatralnych. I to ma być wadą, grzechem? Śmieszny zarzut!

Zresztą ja nawet tym teatralnym nastrojom nie ulegałem, bom Wyspiańskiego nigdy na scenie nie widział. Znam go z czytania i, jeżeli — jak powiadają — Wyspiański w czytaniu traci, to przecież daje tyle, że wstrząsa od stóp do głów, że wzrusza do głębi, że zniewala do myślenia i wnikania w siebie, że budzi głęboki, tragiczny smutek.

Pan Weysenhoff tego nie odczuwa, a ja i całe grono *wyższych od nas obu ludzi* odbieramy analogiczne wrażenia. Więc dla nas Wyspiański jest *poetą* nawet poza sceną.

Zresztą nie obchodzi mnie to wcale, czy p. Weysenhoff odczuwa, czy nie odczuwa głębi duszy Wyspiańskiego, czy zdolny jest przecierpieć sam to, co przecierpiał autor „Wesela“, odtwarzając bóle, szarpiące współczesną duszę polską.

P. Weysenhoff podrwiwa i z „Wesela“ i z „Wyzwolenia“, nazywa dramaty Wyspiańskiego niemal „pantomimami“, a nie dostrzega, że owe rzekome pantomimy zrodziły się z bezsilnej rozpacz i nadmiaru uczucia, ogarniającego całą ojczyznę, że budziły łzy, gorzkie, ale „dobre łzy“.

Polemizować więc o ducha dramatów Wyspiańskiego uważałbym w danym wypadku za — conajmniej zbyteczne, wobec tego, że p. Weysenhoff stara się obniżyć krakowskiego poetę w sposób dziwnie małostkowy.

Nie widzi w nim nie prócz *drobiazgów*, a rozdymając te drobiazgi do *olbrzymich* rozmiarów, popełnia na każdym kroku szereg błędów, zdradzających brak zmysłu i przy-

gotowania krytyczno - literackiego, które poprostu zdumiewa, bo jest dla mnie przykrą niespodzianką.

Teraz przejdę do szczegółów tej meskineryjnej krytyki, stosując do p. Weyssenhoffa tęż samą metodę, jaką p. Weyssenhoff stosował do Wyspiańskiego, z zastrzeżeniem, że nie będę polegał na pamięci, lecz każdy drobniaczek sprawdzę u źródła.

## IX.

Pomijam połączenie „Wesela“ ze „Selavus Saltans“. To filjacja zbyt naciągana i sprawiająca wrażenie, że p. Weyssenhoff pragnie ubocznie zastrzec pierwszeństwo pomysłu na rzecz umiłowanej swojej poetki, Konopnickiej, o której mówi — że przy zestawianiu z jej siłą twórczą „tytaniczność Wyspiańskiego wyda się *dziecinna* (?), a kobiecość Konopnickiej areymęską“.

Nie mogę czynić Konopnickiej odpowiedzialną za to dość ryzykowne porównanie. „Strzeż mnie, Boże, od moich przyjaciół, bo od moich nieprzyjaciół ja się sama obronię“ — mogłaby pomyśleć Konopnicka, kiedy przeczytała ten frazes.

Takie przesadne „komplementy“ sprowadzają czasem przykre skutki na tych, którzy je biorą na serjo. Nazywać „tytaniczne“ wysiłki Wyspiańskiego „dziecinnymi“ i kojarzyć „Wesele“ ze „Selavus Saltans?“ To — ale dla czego mam „niezasłużenie“ sprawiać przykrość *zasłużonej* autorce?

Przejdźmy nad tą sprawą do porządku dziennego.

Po tej niedźwiedziej przysłudze, wyrządzonej Konopnickiej, p. Weyssenhoff, pragnąc obniżyć oryginalność Wyspiańskiego, oświadcza ze skruchą, że nie wie, jaki to „cham“ miał „złoty róg“, a potem dodaje do tej niewinnej uwagi:

„To jednak wiem dokumentnie, że „złoty róg“ nosili już i Roland, i Barbarossa, i Chrobry, i Ernani“ <sup>1)</sup>.

Pardon! Po pierwsze Roland nie miał *złotego* rogu, tylko *róg z kości słoniowej: olifant*.

Olifant w słowniku Stappers'a <sup>2)</sup> objaśniony jest jako „petit cor d'ivoire des chevaliers“, jest to więc imię pospolite.

W „Pieśni o Rolandzie“ ów „olifant“ nie odznacza się jakimiś nadzwyczajnymi właściwościami magicznymi, a przynajmniej nie są one określone zbyt wyraźnie. Kiedy Roland trąbi w róg, masi wydobywać pełną siłę tehu z płuc, żeby odgłos doszedł do uszu Karola Wielkiego.

<sup>1)</sup> Gdyby Wyspiański zamiast „złotego rogu“ wziął jakiś inny przedmiot, n. p. miecz, tarczę, kij, skrzypce, fujarkę, helm, rogatywkę, butelkę, koszulę (Dejaniry, czy nie Dejaniry), buty (siedmiomilowe, czy zwyczajne) i t. p.—zawsze mógłby p. Weyssenhoff powiedzieć z ironją, że sprzęty te należą do „nienajnowszych rekwizytów teatralnych“, bo niemal wszystko, z czego korzysta poeta, jako z surowego materiału — już było zużytkowane w poezji, czy na scenie. Ale tu przecież nie idzie o „róg“, tylko o *znaczenie*, jakie mu poeta nadaje. Dowcipnie zauważył ktoś w satyrycznym wierszyku („Prawda“ № 37, 1909), że p. Weyssenhoff gotów wziąć nawet „nogi“ za plagjaty...

Inżyniera w „Sprawie Dołęgi“ uznano kilku krytyków za *eminiscencję inżynierów* z romansów epoki pozytywistycznej. Ja sam musiałem p. Weyssenhoffa od tego zarzutu bronić (Por. Twórczość i Twórcy str. 232), bo ten właśnie inżynier był czemś zupełnie odrębnym od dawnych szablonowych inżynierów. Dołęga nie jest *inżynierem* dlatego, żeby apoteozować *inżynierstwo*, lecz dlatego, żeby ułatwić autorowi przedstawienie obrazu o szerszej skali. Dołęga mógłby równie dobrze być doktorem, lub czemś innym. Autor miał do pokonania trudności różnej natury, więc potrzebna mu była postać inżyniera, i dlatego ja nie oskarżałem i nie oskarżę p. Weyssenhoffa o plagjat, ubóstwo wyobraźni i t. p., bo zdaje mi się, że zrozumiałem jego intencję.

<sup>2)</sup> Dictionnaire synoptique d'etymologie française. II Edition.

W dodatku, jak powiada Ganelon, Roland „gotów jest dąć w róg cały dzień, uganiając się nawet za zającem“. Więć ów róg, rzeźbiony z kości słoniowej, ów „olifant“, odznaczający się piękną robotą i wielkimi zaletami, jako sprzęt rycerski nie posiada tych cech mistycznych, jakie Wyspiański nadał swemu „złotemu rogowi“. Prawda, że później w poezji opiewano niejednokrotnie róg Rolanda (de Vigny), ale zawsze prawie, jako narzędzie, za którego pomocą bohater wzywał na pomoc armję swojego monarchy.

Weźmy teraz róg Ernaniego. Gdzież tu jest choć *odrobina wspólności* ze „złotym rogiem“ Wyspiańskiego?

Ernani, pragnąc spłacić dług wdzięczności, daje swój róg Ruy Gomezowi i powiada: „Słuchaj, jeżeli zechcesz, bym umarł, *przyjdź* i zadmij w ten róg“. Jest to więc *najzwyczajniejszy* róg myśliwsko-rycerski, bez cienia cudowności, bez śladu symbolizmu.

A o tem, czy był złoty, czy nie złoty <sup>1)</sup>, Wiktor Hugo nie mówi ani słowa.

Ruy Gomez ma z Ernanim obraunki osobiste, crotyczno-honorowe, o których przypomina mu w noc poślubną, dmąc w róg pod samem oknem sali zamkowej, bo tego rogu nie słyszeć nawet na 30 mil wokół, jak rogu Rolanda.

<sup>1)</sup> Że epitet „złoty“ nie jest u Wyspiańskiego kwestją drugorzędną—to jasne. „Złoty“ ma w mowie i piśmie nie tylko *literalne*, lecz wielkie *przenośne* znaczenie. Nie oznacza tylko metalu, lecz doskonałość, *niezwykłość* (złoty wiek, złote serce, złoty człowiek, złote chwile, złote marzenia, słowa i t. p.). Nie można więc zamiast „złotego rogu, podstawić rogu z kości słoniowej, lub też rogu zwykłego, bo te nie mówią, gdy w „złotym rogu“ już w samej *nazwie* tkwi pewna siła suggestyjno-poetycka, pewien ukryty metaforycznie obraz, idea. W danym więc wypadku, wprowadzając róg „złoty“, a nie inny, Wyspiański *wiedział*, co robi.



Czyż więc wypada za pomocą takich małosłownych i w dodatku *niezgodnych z faktycznym stanem rzeczy zestawień obniżać oryginalność pomysłu Wyspiańskiego?*

Do spisu rogów, które p. Weyssenhoff wyliczył, mogę mu dodać jeszcze parę: róg Zygryda, róg Oberona, róg Wojskiego i t. d.

Im lista będzie dłuższa, tem większy wywrze efekt na czytelników, a czy te rogi są w czemkolwiek podobne do „złotego rogu“ z „Wesela“ — to kwestja drugorzędna.

Kto tam takie rzeczy sprawdza! Ale owa *tania* erudycja obniży Wyspiańskiego i sprowadzi go do roli plagjatora.

A przecież p. Weyssenhoff rozumie do pewnego stopnia charakter „złotego rogu“ u Wyspiańskiego, bo mówi, że oznacza on „zasoby, zaszczyty (narodowe), czy okazje dziejowe“.

Czy więc zestawienie zwyczajnego rogu Ernanięgo, lub nawet rycerskiego rogu Rolanda z symbolem tak *rozległego* znaczenia, jak „złoty róg“ Wyspiańskiego jest usprawiedliwione?

Tę paralelę ubliżył p. Weyssenhoff, ale—nie Wyspiańskiemu.

## X.

Ale róg to za mało, trzeba coś mocniejszego. Więc krótka i *nieumotywowana szczegółowo*, ale złośliwa wzmianka o „licznych podobieństwach z „Dziadami“ Mickiewicza (Hetman, Upiór) i komedjami Szekspira“.

Zapewne—i w „Dziadach“ pojawiają się widma, ale czy jest tam Hetman zdrajca? <sup>1)</sup>, czy Upiór Wesela ma jakiegokolwiek pokrewieństwo z Upiorem z „Dziadów“?

<sup>1)</sup> Pomiędzy rolą „Hetmana“ w Weselu, a rolą „Pana“ w Dziadach, istnieje pewna analogja, ale czysto zewnętrzna. Pan w „Dzia-

Przecież „Upiór“ Wyspiańskiego jest dachem rzeźbienia Szeli, a „Upiór“ Mickiewicza—to uosobienie samego poety w pewnej fazie życia. Czy p. Weyssenhoff i o tem zapomniał?

Jeżeli idzie o widma w poezji, to i przed i po Mickiewicza było ich tyle, że znowu można było powiększyć listę rzekomych „plagjatów“ Wyspiańskiego.

Widma trafiają się i u Calderona, i u Szekspira, a nawet i u Woltera, nie mówiąc już o romantykach, zwłaszcza

dach“ cierpi za grzechy, ale uznaje sprawiedliwość bożą, jest skruszony, bo mówi wyraźnie: *Sprawiedliwe zrządzenie boże! — Bo kto nie był ni razu człowiekiem — temu człowiek nic nie pomoże.*

A Hetman? Hetman, dręczony za zdradę kraju przez diabłów — nie przez poddanych — pozostaje i w męce i bólu! podłym, ale pysznym magnatem i nie żałuje popełnionych zbrodni. Woła więc dumnie i buńczucznie do szatanów: „znajcie pana, bierzcie złoto — nie stoję ja, pan, o złoto... puste żale, mnie nie szkoda, bo ja pan, piekielny pan, drwię z serdecznych ran... Każ muzyce dla mnie grać — mnie na Piekło stać.“ — „*Asan mi tu Polski nie żałuj — jesteś szlachciec to się z nami pocałuj.*“ I torturowany wykrzykuje dawne *nikczemne wiwaty.* W tej pośmiertnej zatwardziałości jest wielka siła. Hetman cierpi, ale niczego nie żałuje. Gdyby wrócił na ziemię, robiłby dalej toż samo, bo to dusza podła, ale twarda, to zbrodniarz, zdrajca, ale nieugięty i wierzący w prawo do swojej przewagi społeczno-rodowej. W piekle, czy na ziemi czuje się „Panem“, nie skruszonym grzesznikiem. To symbol, wybiegający daleko poza ramy historycznej figury... Tacy dotąd nie wyginęli jeszcze. Wprowadzeniem postaci Hetmana Wyspiański wydał niejako wyrok hańby na pewną kastę, „plunął“ pewnej grupie ludzi w twarz. Figura Pana w „Dziadach“ ma także znaczenie społeczne, ale pojęta i przedstawiona jest inaczej, powiedziałbym „bardziej po chrześcijańsku“, nie tak szorstko i bezwzględnie, jak postać Hetmana w „Weselu“. Więc pomimo pewnych analogji są pomiędzy temi figurami i w koncepcji i w obrobieniu olbrzymie różnice. Te należało zaznaczyć. To nie plagjat, tylko samodzielne i śmiałe opracowanie *analogicznego*, nie *identycznego* motywu.

eza niemieckich, gdzie się poprostu roi od strachów i duchów.

Ale czyż tu idzie o widma, czy o to, w jaki sposób poeta je pojął i przedstawił? co z nich wydobył?

Nikt nie przeczył i nie przeczy, że Wyspiański opierał się na Mickiewiczu i Słowackim, że był niejako ich dalszym ciągiem, ale czyż w IV części „Dziadów“ mało jest pomysłów, wziętych z Rousseau'a, Goethego (Werther), a nawet „Walerji“ Pani de Krüdener? Czyż w III części tychże „Dziadów“ nie czuć wpływu Eshylosa, Goethego (Prometeusz), Księgi Hijoba i Apokalipsy?

Wszystcy to wiemy, ale nikomu nie przyszło do głowy oskarżać Mickiewicza o plagjaty. W „Świteziance“ odbija się „Rybak“ Goethego, w „Ucieczce“ — „Lenora“ Bärgera. Ale to bynajmniej nie obniża wartości tych utworów, bo, pomimo obcych oddźwięków, są one pomyślane i wykonane oryginalnie.

Gdybym się uwziął, to wśród bogatej galerji lotrów balzakowskich drobniejszego kalibru odnajdę może jakiś prototyp Podfilipskiego, ale *wstydzilibym* się zarzucać z tego powodu autorowi plagjatu, jak nie nazwałem plagjatem formy, w jaką p. Weyssenhoff ubrał swoją opowieść o „żywocie Podfilipskiego“, lecz zaznaczyłem tylko pokrewieństwo zewnętrzne tego typu romansu z romansami Anatola France'a.

Pan Weyssenhoff robi mimochodem uwagę, iż „stusznie podniesiono, że reminiscencje z cudzych utworów nie zasługują na miano plagjatów“, i dodaje: „Tę uwagę przyjąć należy przy ocenie naśladownictw Wyspiańskiego“. Ale owo lekkie zastrzeżenie tonie w powodzi zarzutów, stawianych *mocno* i *kategorycznie*, podkreślanych złośliwie, choć prawie nigdy nie motywowanych szczegółowo i zasadniczo. Z treści i tonu artykułu odnosi się wrażenie,

że jednak Wyspiański nie był oryginalnym, że te reminiscencje są bardzo pokrewne „plagjatom“.

Ale p. Weyssenhoff jest konsekwentny. Niedosć ma było związać róg Ernaniego ze „złotym rogiem“ z „Wesela“, niedosć poplątać upiora Szeli z symbolicznym upiorem autora „Dziadów“, nie, to wszystko za mało. Nawet jedną z najoryginalniejszych scen, a mianowicie zapadnięcie tłamu gości weselnych w rodzaj pół snu pół zachwyta, traktuje p. Weyssenhoff z lekkim sercem, jako „rodzaj plagjata“, przyznając jednocześnie, że to motyw odwieczny, obrabiany przez wielu poetów, jak Szekspir (w „Burzy“) i Słowacki w „Królu-Ducha“. A ponieważ już i przed Szekspirem i przed Słowackim ten motyw był powszechnie znany i użytkowany, więc dla czegoż p. Weyssenhoff nie zarzuca plagjatów Szekspirowi, Słowackiemu, tylko Wyspiańskiemu?

Czy p. Weyssenhoff wie, że Szekspir prawie *nie wymyślił*, a tylko użytkowywał i opracowywał w sposób gienjalny stare kroniki, legiendy, nowele włoskie i t. p? Co do „Burzy“, nie odnaleziono źródła pewnego, ale komentatorowie, biorąc pod uwagę analogje treści „Pięknej Sيدة“ Ayreera i „Burzy“, sądzą, że oba te dramaty opierają się na jakimś zagubionem opowiadaniu. Może, jak przypuszcza Warton, na romansie włoskim z r. 1588 p. t. „Amelja i Izabella“. Ale to są sprawy bez znaczenia, bo przecież nie suchy szkielet pomysłu, lecz to, co z niego poeta zrobił, stanowi o oryginalności utworu.

Czy dach i nastrój, panujący w „Weselu“, przypomina w czemkolwiek szekspirowską „Burzę“, albo „Księżę Legiend“ z Króla Ducha Słowackiego?

I całe tło, i sytuacja, i osoby działające posiadają u krakowskiego poety zupełnie odmienny charakter, nie mówiąc już o innym absolutnie przebiegu i zakończeniu akcji.

Pan Weysenhoff pisze: „W „Weselu“ usypia cały naród polski. Lecz i o tem coś gdzieś bardzo wymownego czytaliśmy”—i cytuje cztery wiersze z „Króla Ducha“.

Więc się—spiąc—dachy narodowe wsparły,  
Ten o kolumnę, ten o pług pożywny,  
Trzeci o sztandar oparł się poblady,  
Wszystkie stanęły—ale nie upadły.

Otóż po pierwsze w „Weselu“ nie usypia *cały* naród, lecz *pewna grupa* jego przedstawicieli. Ale dajmy na to, że ową grupę przedstawicieli można uważać za symbol narodu. Akceptuję to w zupełności, jednak nie mogę nie zwrócić uwagi na absolutną odrębność owego zaczarowanego snu w „Weselu“ ze snem w „Księdze legend“ z „Króla Ducha“. W „Królu Ducha“ naród zostaje uspio-ny przez Rzepichę, czyli Pychę, „prometeankę polską“, kradnącą ducha bożego, żeby go zużytkować dla celów po części osobistych (jako matka Wodana), a w części, jak się zdaje, dla utrzymania nie tylko władzy, ale i dawnych wierzeń pogańskich. Zresztą symbolika Rzepichy i jej związek z innymi postaciami oraz całością epeji nie są dotąd dostatecznie wyjaśnione. Koniec końców, mocą swych czarów Rzepicha usypia naród, by ułatwić sojusznikowi swemu, cesarzowi niemieckiemu, zwycięstwo i zapewnić koronę Wodanowi. Naród uspio-ny siłą, płynącą z *zewnątrz*, zostaje obudzony przez zesańca bożego, błogostawionego Ziemowita, i stacza zwycięską walkę z Niemcami pod jego dowództwem, czyli *spelnia czyn*. Rzepicha znika, złamana przez mistyczną potęgę „ducha globowego“, który mówi o sobie, że jest „niewolnik ale zbuntowany“ („Król Duch“, edycja Małeckiego, strofa XXXIII). Po-arty więc mocą bożą i współdziałaniem mistycznym duchów, *naród polski się wyzwala*, zwycięża siły antychrysto-

we, odpiera najazd niemiecki i idzie naprzód po drodze ewolucji.

Gdzież tu ślad podobieństwa nie ze snem twardym, bezwładnym, lecz z półsensnym zachwytem i tańcem przedstawicieli narodu, który właśnie dlatego zasypia, że nie *może* czy nie *umie* zdobyć się na *czyn wyzwalający* (jak to przedstawiono w „Królu Dachu“), choć tęskni do niego i wzdycha?

Przypominając sobie wizje nocne i słysząc tentent konia, wszystkim się zdaje, że to może leci Wernyhora z tabunem koni, i „ludzie wpadają w rodzaj zachwycenia, wszyscy pochyleni, wpół-klęczący, zastuchani, to dzierząc w prawicach kosy, to ściskając szable, etc. — jak w zachwycie duszy; dłoń do ucha przychylona...”

Czy ich wtedy kto budzi i popycha do *czynu*? Nie. „Od sadu, od pola, we świetle szafiru, co idzie, jak luna błękitna—głosy się cisną przedrannych świergotań. Niebieskie to światło wypełnia jakby ezarem izbę i gra kolorami na ludziach, pochylonych w półśnie, pół zachwycie“. Jeden Jasiek nie śpi i „stania się ze zgrozy“, ale nie może obudzić tłumy, bo zgubił talizman—„złoty róg“, a Chochoł tłumaczy mu przyczynę snu: „to ich lęk i strach tak wzion—postyszeli Dachy głos, rozpion się nad nimi Los“. Więc naród usnął nie wskutek zakłęk jakiejś wie-dźmy, lecz wskutek „lęku i strachu“, wskutek poczucia własnej niemocy. „Postyszeli Dachy głos“, t. j. spotęgowany głos wewnętrznych bólów, żalów i tęsknot, chcieli i nie mogli zdobyć się na *czyn*, kiedy właśnie w „Królu Dachy“ na *czyn* się zdobywają i obudzeni odzyskują *wolność*.

Gdzież tu jest naśladownictwo i to dotyczące „*zasadniczego* pomysłu“—jak twierdzi p. Weyssenhoff?

Nad osłabionym brakiem woli i energii, a nawpółuśpionym tłumem zyskuje z łatwością władzę już nie jakiś duch wielki, ale dziwaczne straszdyło: słomiany cho-

choł—i pędzi ich do tańca (analogicznej sceny w „Królu Duchu“ niema). I rozlega się muzyka „cicha a skoczna, swoja a pociągająca serce i duszę, usypiająca, leniwa, w omdleniu a jak źródło krwi żywa, taktem w pulsach nierówna, krwawiąca, jak rana świeża—melodyjny dźwięk, z polskiej gleby bólem i rozkoszą wykołyszany“.

Jasiek woła ochrypty od krzyku: „chycie broni, chycie broni,“ a tłum, zamiast to uczynić, puszcza się w senny tan, „powolny, poważny, spokojny, pogodny, półcichy“. To może także plagjat?

Generacja niezdolna do *czynu*, apaja się marzeniami, bólami, tęsknotami, ale nie może nic zrobić, tylko kręcić się w „koło w takt polskiej, leniwej, a skocznej, usypiającej i krwawiącej, jak świeża rana muzyki“—czy poezji, którą Wyspiański sam ukochał i której współcześnie nienawidził, bo bał się, słusznie, czy niesłusznie, mniejsza o to—jej skutków. Całe „Wyzwolenie“—to tylko rozwinięcie tej koncepcji. Ostatnia, rozdierająca scena „Legjona“ również się wiąże gienetycznie z dachem ostatniej sceny „Wesela“.

Przeczytałem nanowo „Burzę“ Szekspira i jeżeli o pewnej paraleli pomiędzy ustępami z „Księgi Legiend“ z „Króla Ducha“, lub widmami z „Dziadów“ można dyskutować, to zestawienie „Burzy“ z „Weselem“ wydaje mi się szczytem naciągania faktów do złośliwych intencji, zwłaszcza, że p. Weyssenhoff twierdzi, iż „tę paralelę (pomiędzy „Burzą“ a „Weselem“) możnaby rozwinąć znacznie szerzej, bez *zaszczytnego wyniku* (znowa szpilka!) dla polskiego dramaturga.

Dlaczegoż p. Weyssenhoff tej paraleli nie rozwinął, skoro jest tak pewny swego, lecz poprzestał na niedomówionym zarzucie?

W „Burzy“ są osoby realne i są osoby fantastyczne, jak w romansach Balzaca, czy Flauberta lub p. Weys-

hoffa, są ludzie współcześni, pokoje, krzesła i stoły. Ale gdzież jest w „Burzy“ choć jedno widmo o charakterze dziejowo i narodowo społecznym, jak w „Weselu?“

Całym aparatem czarodziejskim (w którym nb. nie brak i pantomim i „obrazów“) kieruje książę-filozof, Prospero, w celu nawrócenia Jotrów na drogę enoty, oraz zapewnienia szczęścia córce, a sobie normalnego życia i spokoju. Prospero jest mądry, enotliwy i pobłażliwy. Elementa *tragicznego* niema w sztuce ani odrobiny. Jest za to dużo wyrozumiałości dla wad ludzkich, sporo subtelnej ironji i lekceważenia bytu doczesnego.

Jesteśmy z tego tworzywa, co mary  
I marne nasze życie sen otacza.

Wszystko ma swój kres, wszystko zniknie—„podniebne wieże, przepyszne pałace, zdumiewające świątynie, sam nawet glob ten olbrzymi i to, co jest na nim“—mówi Prospero, ale dopóki się żyje, trzeba żyć enotliwie.

„Burzę“ nazwano, i słusznie, testamentem Szekspira, który napisał ją, podobno, pod koniec zawodu dramatycznego i, jak Prospero, usunął się w zacisze domowe.

O filozoficznej stronie tego głębokiego utworu pisało bardzo wiele, ale wszystkie sądy, różne co do szczegółów, zgadzają się w jednym punkcie: oto w „Burzy“ tkwi na dnie pewien dobroduszny i przygniony lekką melancholją sceptycyzm. To nie młodzieńczy obraz bezgranicznej miłości, jak u „Romea i Julji“, to nie analiza ambicji, połączonej z tragizmem wyrzutów sumienia, jak w „Makbecie“, to nie wściekłe wybuchy zazdrości, podsyconej przez niekczemność fałszywych przyjaciół, jak w „Otellu“, to nie wielkie obrazy rachów i namiętności politycznych, jak t. zw. dramaty historyczne, to nie szarpanie się przeczulonej duszy, jak w Hamlecie, lecz pełna równowagi i dobroci ocena wartości życia i spraw jego.



Czy więc „Wesele“, drgające od początku do końca sarkazmem, smutkiem, żalem, rozpaczą, buntem nawet— może mieć coś wspólnego z tem najspokojniejszym może i najharmonijniejszym dziełem Szekspira?

A sytuacje poszczególne? Także nie znajdują żadnych analogji. Prawda, że i tam, pod wpływem sił magicznych ludzie zasypiają i budzą się, skoro tego zapragnie Prospero, prawda, że są tam pijacy, co się upijają, są księżęta, gotowi mordować, lub strącać z tronu własnych braci—są duchy, co śpiewają, robią figle, wywołują burze i t. p., ale to wszystko tak jest podobne do „Wesela“, jak Ferdynand do Pana młodego, lub Miranda — do Panny młodej.

A może Kaliban przypomina w czemkolwiek Chochoła? Także nie. To półzwierzę, a tamto ożywiony na chwilę krzak, owinięty w słomę. Kaliban to indywidualność—Chochoł, to wywołane przez samych gości weselnych mamidło, niemal pozbawione osobowości. Chochoł, to nie lotny Arjel z „Burzy“, wystagujący się Prosperowi przez wdzięczność i tęskniący do swobody, którą zyskuje swoją pracą. Chochoł to jakby rodzaj jakiegoś narzędzia, które prawie niezdolne jest do samoistnych czynów, ale dopomaga tylko zebranych gościom do azewnętrzzenia, objektivizacji ich wewnętrznych tęsknot i wizji.

Co się w duszy komu gra,  
Co kto w swoich widzi snach,  
Czy to grzech,  
Czy to śmiech,  
Czy to kapcan, czy to pan,  
Na wesele przyjdzie w tan.

. . . . .

Tatusiowi powiadaj,  
że tu gości będzie miał,

jako chciał, jako chciał.

.....  
*Kto mnie wołał, czego chciał...*

I każdemu pojawia się widmo, które w snach i marzeniach jego zajmuje wybitne miejsce, z tych czy owych względów, z miłości, czy nienawiści, z tęsknoty, czy wyrzutów samienia.

Chochół nie jest potęgą osobistą, lecz jakby nicią, łączącą świat nastrojów wewnętrznych ludzi z widmami, ucieleśniającemi te nastroje.

Dziecko, nie znające jeszcze burz i przełomów duchowych, nie podlega władzy Chochóła, widzi w nim tylko *śmieć* (Akt II scena III) „Haś, ha na pole, głupi śmieciu chohole—wynoha paralusie“—woła mała dziewczynka, Isia, ale jej siostra Marysia, mężatka, dostrzega widmo zmarłego narzeczonego, Poeta — Rycerza, Dziennikarz—Stańczyka, a Gospodarz-patrjota—Wernyhore.

Trudno nawet powiedzieć, czy te widma są pojęte, jako osoby zewnętrzne, jak w „Dziadach“ i „Burzy“, czy tylko jako halucynacje, wizje, nie istniejące *poza wyobraźnię* gości weselnych, wprawionych przez Chochóła w pewien specjalny stan psychicznego podniecenia. Ale pamiętajmy ciągle, że i sam Chochół jest do pewnego stopnia ich tworem, że oni go sami wywołali pół-żartem i poddali się jego wpływowi.

Gdzież coś podobnego znajdziemy w „Burzy“ Szekspira? Tam się wszystko, pomimo fantastyczności, rozwija celowo, stosownie do zamiarów mądrego Prospera, który rządzi duchami, a za ich pomocą żywiołami i ludźmi, i przeprowadza swój, z góry obmyślony plan, i to plan racjonalny i praktyczny nawet, do końca przy pomocy zupełnie zindywidualizowanego ducha — Arjela i jego towarzyszy.

Rozumiem krytykę nawet złośliwą i bezwzględną, jak np. krytyka, napisana przez prof. Tretiaka o Słowackim. Są tam nietylko szpilki, ale ciosy, zadawane sztyletem, a mimo to jednak prof. Tretiak w porównaniu z p. Weyssenhoffem wygląda, jak olbrzym obok karła.

Dlaczego?

Bo prof. Tretiak nie liczy na łatwowierność publiczności, lecz stara się uzasadnić każdy zarzut z pedantyczną dokładnością. Prof. Tretiak jest prokuratorem, czasem inkwizytorem, ale nie igra z przedmiotem, nie rzuca niedomówionych półsłówek, nie deklamuje, lecz szuka prawdy, dochodzi, bada, rozumuje, zestawia i dopiero po długim szeregu argumentów, wyprowadza wnioski, które nawet wtedy, kiedy są mylne, pobudzają do głębszego zastanowienia się nad przedmiotem.

Tego napróżnoby kto szukał w lekkopiórnych wyrokach krytycznych p. Weyssenhoffa, wydawanych z taką pewnością siebie, jak gdyby p. Weyssenhoff był co najmniej królem, jeżeli nie papieżem krytyki.

## XI.

Zrobiwszy Wyspiańskiego niemal „plagjatorem“, stara się dowieść, że Wyspiański nie był poetą i, między innymi, stawia mu zarzut „leniwego myślenia“.

W tym wypadku pogromca Wyspiańskiego próbuje łaskawie poprzeć swój sąd argumentami.

„Stańczyk—pisze p. Weyssenhoff—trzyma w ręku godło swe zawodowe, które autor zrazu nazywa poprostu *laską błazeńską*. Ale to nazwa ani zadziwiająca, ani nowa. Więc jakby tu naprędece przeminować ten instrument! Kto gdzie dzierżył coś podobnego? Jest! Merkury nosił Kaduceusz. Wprawdzie ten kij uskrzydłony, *owity węzami Gorgony*, symbolizuje coś wręcz przeciwnego berłu błazeń-

skiemą: rzutkość, lotność, przemysł — ale jak to pięknie brzmić będzie Kaduceusz i do tego polski.“

Przepraszam p. Weysenhoffa, czy pan Weysenhoff wie dobrze, czem był Kaduceusz?

Kaduceusz (caduceus albo caduceum) oznacza wogóle berło, laskę każdego herolda (keryksa) wogóle, a więc i Hermesa, czyli Merkurego, jako herolda, czyli posłańca bogów — w szczególności.

Była to więc przedewszystkiem oznaka godności poselskiej Merkurego.<sup>1)</sup>

Co do węzów — to te dostały się później na szczyt owej laski, początkowo bowiem ich nie było, równie jak i skrzydeł.

Ale dlaczego p. Weysenhoff pisze o Kaduceusza, że był to „kij uskrzydłony, owity *wężami Gorgony?*!

Co mają wspólnego *wężowe włosy* jednej z Gorgon, Medazy, z węzami na kija Merkurego?

Znowu, jak w wielu poprzednich wypadkach, erudycja nie dopisała p. Weysenhoffowi.

Pomieszał ma się w głowie myt o Perseuszu i Medazie z mytem o ozdobieniu Kaduceusza węzami, a tymczasem to są dwie zupełnie odmienne sprawy.

Merkury (Hermes) pożyczył Perseuszowi, mającemu uśmiercić Medazę, swoich skrzydlatych sandałów, ale odciętej głowy potwora ma nie odbierał, bo tę wzięła później Minerwa-Atena i umieściła na swojej tarczy.

Nietylko więc z głowy, ale *ani z jednego wężowego wlosa* Meduzy nie skorzystał Merkury.

O dostaniu się węzów na laskę (Kaduceusz) jest

<sup>1)</sup> Por. Rich., „Dictionnaire des antiquités”. Preller „Griechische Mythologie” tom I. Sybel „Die Mythologie der Ilias.” Moritz. „Götterlehre der Griechen and Römer in neuer Bearbeitung.”

kilka niejasnych mytów, ale żaden z nich nie ma absolutnie *nic wspólnego z Meduzą-Gorgoną*.<sup>1)</sup>

Tyle co do zabawnego *poplątania Kaduceusza z Gorgoną*.

Cheć strofować innych, trzeba samemu być pewnym tego, co się pisze.

Co do symboliki „Kaduceusza“<sup>2)</sup> to ta jest, jak mnóstwo rzeczy w mitologii, dość wieloznaczna, nie można jednak powiedzieć, żeby Kaduceusz był, jak twierdzi p. Weyssenhoff, symbolem rzutkości, lotności i przemysłu,<sup>3)</sup> a pominąć inne właściwości Merkurego i jego laski.

Kaduceusz był, jak mówiłem, przedewszystkiem oznaką heroldowskiej godności, a Merkury bogiem heroldów, którzy odgrywali w życiu starożytnem wybitną rolę i musieli posiadać „silny głos i rozległą pamięć“<sup>4)</sup>

Ale ponieważ Merkury był, i to zaznacza bardzo silnie cały szereg mytów, bogiem *ślodziei*, gdyż sam zaczął kraść niemal zaraz po urodzeniu, następnie ponieważ Merkury (Hermes) był rajfurem, oraz jednym z największych *łgarzy* i *opiekował* się sprytnymi krętaczami w rodzaju Odysseusza; dalej, ponieważ Merkury posiadał dar *przekonywania* i *tumanienia ludzi*, w czem mu była bardzo pomocną magiczną siłą, przywiązana do laski, która zezasem

<sup>1)</sup> Por. Preller „Griechische Mythologie.”

<sup>2)</sup> Dodam, że podobne laski — Kaduceusze nosiły boginie: Iris, Nike, oraz niekiedy i jedna z Hor, Irene.

<sup>3)</sup> Nie wiem jaki *przemysł* ma p. Weyssenhoff na myśli? W starożytności właściwie nie było przemysłu, tylko rzemiosła. Kaduceusz, nie odrazu, ale z biegiem czasu, stał się symbolem *handlu*, ale nigdy *przemysłu*. Przemysł używa innych godeł. A może p. Weyssenhoff chciał przez „przemysł” wyrazić pomysłowość, spryt? Taby było zgodniejsze z naturą symbolu.

<sup>4)</sup> Atrybutem Merkurego, jako boga Handlu, był „pełny worek”. Kaduceusz związane z Handlem dość późno.

wysunęła się naprzód, jako jego najgłówniejszy atrybut, <sup>1)</sup> nie dziwnego więc, że Stańczyk, traktujący dziennikarstwo, jako połączenie blagi, kłamstwa, wymowy z błazeństwem i samo - ironją, oddając swe berło dziennikarzowi — nazywa je „Kaduceuszem“.

## XII.

Dziennikarz, biorąc rzecz teoretycznie, ma być heroldem (Keryks), który ogłasza światu nowe wieści, mówcą, który przekonywa, rozbudza myśli, tłumaczy różne zagadnienia życiowe, jest głosem i kierownikiem opinii publicznej. Wszystkie te cechy posiadał i Hermes-Merkury, jako bóstwo datatnie.

W praktyce, dziennikarz bywa często rajfurem politycznym, łgarzem, blagierem, który tumani niewykształcone masy za pomocą wymowy i sprytnych forteli, usypia duszę tłumy — otóż i te cechy właściwe są Merkuremu, pojmowanemu ujemnie (naturalnie z naszego, nie staro-helleńskiego stanowiska). <sup>2)</sup>

Dziennikarz w „Weselu“ pragnąłby być działaczem idealnym, ale nim nie jest i zdaje sobie z tego sprawę:

<sup>1)</sup> Homer nazywa Kaduceusz „laską czarownicą, którą Hermes rozтворя ludziom zaspanym powieki lub zwiera do snu głębokiego.“ Wymowa Hermesa - Merkurego była przysłowiową (Strabo 2 104). Za pomocą laski dokonywał Hermes - Merkury różnych przemian.

<sup>2)</sup> Ob. Moritz: „Götterlehre in neuer Bearbeitung von Dr. Max Oberbreyer.“ Czytamy tam o Merkury-Hermesie, że w „postać tę odziała fantazja pojęcia szybkiej wynalazczości, chytrłości, sprytu, objawiające się zarówno w *oszukiwawczej* wymowie, jak i łatwo spełnianych *kradzieżach*.“

*Usypiam swą duszę biedną  
I usypiam brata mego etc. 1)*

— skarży się przed Stańczykiem, który mu na to odpowiada: „Asan jako spowiedź czyni, spowiedź widzę cudzych grzechów... ale znać z Acana mowy, że jest — tak—przeciętnie zdrowy.”

Słowem Stańczyk niebardzo dowierza rozezalającym wynarzeniom dziennikarza, zwłaszcza gdy ten na jego surowe słowa, żeby „świętości nie szargać, bo to boli”—strzela ironicznym wykrzyknikiem „*Tragedjante*”.

Ironję tę paruje Stańczyk, nazywając dziennikarza komedjantem, godnym „błazeńskiej laski”.

Kto się wezyta uważnie w dIALOG Widma trefnisia z dziennikarzem, ten dostrzeże bez trudu, że wręczenie błazeńskiej laski temu dwalicowemu kierownikowi opinji publicznej jest zupełnie naturalnem.

Ale w ręku dziennikarza laska owa nabiera już odmiennego charakteru, niż w ręku trefnisia.

Ponieważ dziennikarz „błądzi w odmętów powodzi”, Stańczyk, dając mu swoje berło, nazywa je ironicznie i metaforycznie „wiosłem”, a w dalszym ciągu „Kaduceusem polskim”, t. j. rodzajem talizmanu, którego mitologiczno-symboliczne znaczenie wyjaśniłem uprzednio.

Ponieważ Kaduceus służył Merkuremu nietylko do dobrych, ale i do *złych* spraw, ponieważ był także symbolem wymowy, blagi, kłamstwa, tumanienia ludzi, więc może się dziennikarzowi przydać.

Do czego?

Do „mącenia wody”.

1) Kaduceusz posiadał własność *usypiania* (ob. Homer Pieśń XXIV w. 343 — 4) Merkury niekiedy też występuje jako bóstwo usypiające i zsyłające marzenia senne.

Przecież tej metafory tłumaczyć nie potrzebuję. Związek dziennikarstwa z zamętem, jakie sprawia, czy sprawić może w opinii publicznej i losach narodu, jest aż nadto, niestety, widoczny i znany.

Zresztą sam Stańczyk dosadnie określa dalszą rolę Dziennikarza:

Kłam sercu, nikt nie zrozumie;  
hasaj w tłumie!  
Masz tu Kaduceus, chwyć!  
Rządź!  
Mąć nim wodę, mąć...  
Mąć tę narodową kądź,  
Serce truj, głowę trać!

Naturalnie dziennikarz jest zbyt inteligentny, żeby nie rozumiał *złowrogiej* potęgi owego talizmanu, t. j. laski błazeńskiej, mającej mu służyć za „Kaduceus polski“, i dlatego nazywa oznakę swojej godności „laską *kaduczą*“.

Bo „*Kaduczy*“ znaczy: fatalny, haniebny, zatracony, przeklęty i t.d.<sup>1)</sup>

Otóż dziennikarz wie i czuje, że „cień goryczy pełen wielkoluda“ zostawił mu dar *fatalny* i *haniebny*, że ów „Kaduceus polski“ to symbol błazeństwa, połączonego z przekłątą i szkodliwą mocą pchania narodu w coraz to większy zamęt.

A Dziennikarz nie widzi przed sobą jasno określonej drogi, gdyż „zaćmił mu się Bóg“. Będzie więc ironizował i kłamał z dobrą, czy złą wiarą, będzie truł serca i mącił głowy, będzie heroldem i błaznem narodu, wymownym oszustem i sprytnym złodziejem moralnym, rajfurem politycznym, będzie ludzi bawił i tamanił, bolejąc

<sup>1)</sup> Słownik Języka Polskiego Karłowicza.



w chwilach rozrzewnienia nad swoim losem i losem całego społeczeństwa, niezdolnego do zbawczego czynu...<sup>1)</sup>

## XIII.

Że Wyspiański znał literaturę klasyczną lepiej od pana Weyssenhoffa, o tem świadczą jego dramaty greckie, przepelnione masą szczegółów, czerpanych z dobrych i pewnych źródeł. Mniejsza o to, czy pojmował i odtwarzał świat starożytny zgodnie z dawnymi konwencjonalnymi wzorami, czy też wlewał w te zamarte myty starogreckiego, czy też nowoczesnego i własnego ducha, nie o to mi idzie, ale o fakt, że Wyspiański świat klasyczny *znał dobrze*.

Jeżeli go więc znał—to wiedział, *czem* był Kaduceus lepiej od pana Weyssenhoffa, który owinął laskę Merkuriego „węzami Gorgony”, zdradzając bajeczną ignorancję w zakresie mitologii.

Dając więc dziennikarzowi ów Kaduceus, nie szedł Wyspiański za „*leniwa*” asocjacją myśli, lecz zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co robi, i rozumiał charakter symbolu, który starałem się wyjaśnić wyżej, opierając się na źródłach i dziełach specjalistów.

Na to odpowie mi p. Weyssenhoff: cóż to za symbol, który wymaga tak *długich* komentarzy? Ja odrzeknę na to: dla mnie znaczenie kaduceusa, jako godła dziennikarstwa, było *jasnem* przy pierwszym czytaniu dramatu, ale obecnie, kiedy p. Weyssenhoff, *pragnąc ośmieszyć* Wyspiańskiego, wywlókł ów Kaduceus i— już mimowoli — owinął go bez racji „węzami Gorgony”, musiałem dać i p. Weyssenhoffowi i publiczności wyjaśnienie obszernie.

<sup>1)</sup> Dziennikarz sam mówi: „rzeczy serjo niema; wszystko jest prowizoryczne, przekonania, opińje, twierdzenia—nawet prawdy cienia! Placówka to imaginacja, Danaid zbyteczne trudy”.

Są niewątpliwie w Wyspiańskim, jak i w Słowackim zresztą i w Mickiewiczu (Improwizacja) i w Szekspirze (Hamlet) niejasności, ale każdy bezstronny człowiek przyzna, że „Kaduceus“ w „Weselu“ tłumaczy się jaśniej i prościej, niż np. liczba 44 i mąż o „trzech obliczach i trzech czołach“ w III części „Dziadów“, oraz wiele symbolów w „Królu Duchu“.

Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że Wyspiański jest wyższy od Mickiewicza, Słowackiego, lub Szekspira, albo nawet, że stoi na jednym z nimi poziomie, ale po pierwsze uważam Wyspiańskiego za poetę dużej miary, a po drugie nie rozumiem, jak można, krytykując go, nie dostroić się do tej właśnie miary i gubić się w źle zrozumianych i mętnie przedstawionych szczegółikach, albo też pisać rzeczy *niezgodne z rzeczywistością*.

#### XIV.

P. Weyssenhoff twierdzi, że Wyspiański nie może się „wyzwolić wyobraźnią z obrębu Krakowa i jego okolicy.“

Niewątpliwie autor *Wesela* zrósł się z Krakowem i ukochał ten „Akropolis“ polski całą duszą.

Ale czy akcja „Legjona“ nie rozgrywa się *w Rzymie?* Protesilas i Laodamia we *Phylace?* „Warszawianka“ w *okolicach Warszawy?* „Noc Listopadowa“ i „Lelewel“ w samej *Warszawie?* „Meleager“ w *Kalydonie?* „Achilleis“ pod *Troją?* a „Klątwa“ pod *Tarnowem?*

Więc znowu zrobił p. Weyssenhoff Wyspiańskiemu zarzut *falszywy* i w dodatku *bez znaczenia*, bo nawet w sztukach, zamkniętych dekoracyjnie w obrębie Krakowa i jego okolicy, myśl poety *wybiega* daleko poza ramy symbolicznej dekoracji i dotyka wszystkich niemal zagadnień bytu narodowego.

Pan Weysenhoff powiada, że „świat sztuki nawet polskiej jest szerszy“ od Krakowa.

A czy p. Weysenhoff, jako powieściopisarz, nie jest malarzem  *pewnej tylko sfery ludzi*, t. j. arystokracji, ziemian i plutokracji? A czy ma kto z tego zrobił zarzut, mimo że „świat sztuki“ jest znacznie szerszy od treści utworów p. Weysenhoffa?

Czyżby p. Weysenhoff nie wiedział,  *jaką rolę odgrywa u Wyspiańskiego Kraków i dlaczego?*

Czy poeta opisuje plotki krakowskie, czy wprowadza na scenę „portrety“ krakowskich książy, hrabiów, profesorów, działaczy politycznych? Czy akcja „Wyzwolenia“, choć odbywa się niby „na scenie teatru krakowskiego“, nie może być przeniesiona na scenę każdego polskiego teatru, nie tracąc nic na tem?

To szczyt nie pedanterji, ale małostkowości, połączonej z nieścistością!

## XV.

I podobne niedokładności, niechęć, czy niemoc zrozumienia — już nie mówię rzeczy niejasnych — ale  *oczywistych* spotygam u p. Weysenhoffa na każdym kroku.

Mam po prostu wrażenie, że w chwili, kiedy p. Weysenhoff zabrał się do zdzierania laurów z czoła zgasłego przedwcześnie poety, jakaś złośliwa wróżka zamroczyła feljetoniście „Tygodnika“ pamięć.

Czepiając się np. techniki malarsko-poetyckiej Wyspiańskiego, przytacza jako przykład pojawienie się w VIII scenie „Legjonu“ Króla Mendoga na gzymsach kopyty katedry Ś-go Piotra w Rzymie (nie w Krakowie!) i pisze: „Przerażała mnie zawsze swą zachwałą dezynwolturą scena z „Legjonu“, w której Mickiewiczowi, stojącemu w rzymskim kościele Ś-go Piotra, każe autor pomy-

śleć o pogańskiej Litwie. Okazja do pięknego, pełnego antytez monologu? Nie. Na gzymsy wewnętrzne kopały Ś-go Piotra wjeżdża konno Mendog, król litewski, w pełnym rynsztunku. Jest to oczywiście surogat pantomimowy, zamiast pokonania trudności literackiej."

Kto nie zna Wyspiańskiego, ten po przeczytaniu tych słów gotów pomyśleć, że we wzmiankowanej scenie „Legjonu” *nikt nic nie mówi*, ponieważ Mickiewicz nie wygłasza „pięknego i pełnego antytez monologu”, a tylko myśli i widzi Mendoga.

Czy to się godzi tak paczyć fakty?

Chyba p. Weyssenhoff nie czytał uważnie „Legjonu”. Prawda, niema tam wprawdzie monologu (dlaczego, a licha, koniecznie miał tu być *monolog?!)*, ale są inne czynniki natury *literackiej*, o których p. Weyssenhoff zupełnie *przemilcza*.

Przecież pojawienie się Króla Mendoga jest uprzedzone i przygotowane *po literacku*, nie *pantomimicznie* przez mowy starca, guślara, świtezianki, oraz śpiew chóru, złożonego z pogańskich boginek, wiedźm, znachorów i t. d. Więc ten obraz pieczętuje tylko i zamyka długą scenę, w której poeta wyraził *słowami* osób działających pewien nastrój, pewną tęsknotę.

Gdyby p. Weyssenhoff *rzeźbrał* dokładnie treść i formę tego, co mówi i śpiewa starzec, guślar, świtezianka, oraz chór i *wykazał brak łączności* pomiędzy nastrojem treści *literackiej* całego ustępu a ukazaniem się Mendoga, możnaby z feljetonistą „Tygodnika Ilustr.” dyskutować, ale wysuwając *naprzód* i *podkreślając bardzo mocno* jaskrawość efektu malarskiego, jako surogatu literatury, a otulając w całun głuchego i *absolutnego milczenia* związane z tym obrazem żywioły natury *czysto literackiej*, p. Weyssenhoff *traci prawo do dyskusji*, bo tak krytykować *nie wolno*,

nietylko Wyspiańskiego, ale nawet pierwszego lepszego grafomana.

Gdybym ja chciał w ten sposób krytykować wywody krytyczne p. Weyssenhoffa, miałbym o wiele łatwiejszą robotę, tylko jabym się takiej roboty nie podjął...

Starzec, Gaślar, Świtezianka i chór żalą się na to, że Mickiewicz porzucił przeszłość i pogańskie bogi, a poszedł w służbę Krzyża i kaszą bezskutecznie wieszczą, by wrócił do „młodych lat i przypomniał sobie czar gaślarskich wiar” i niejako wzywają na pomoc Mendoga, symbol pogańskiej Litwy. Ta czysto literacka robota—o której p. Weyssenhoff zupełnie *przemilcza* — zajmuje sześć i pół strony, a po ukazaniu się Mendoga ciągnie się jeszcze 2 i pół strony.

Całość sprawia wrażenie jakiegoś oratorjum, ale nigdy pantomimy. Dlaczegoż p. Weyssenhoff o tem nie mówi?

Dlaczego p. Weyssenhoff, wyczuwając potrzebę „antytezy” w tym właśnie momencie poematu, nie wspomina, że *właśnie cała scena VII*, poprzedzająca ukazanie się Mendoga jest—jak słusznie zauważył prof Pini—*antytezą sceny VIII*. Ś-ty Andrzej, apostoł Słowian, pojawia się Mickiewiczowi i narodom słowiańskim i, krzyżowany przez oprawców, śpiewa hymny na cześć „męki—Wesela”, na cześć Chrystusa i Krzyża.

Pojawienie się S-tego Andrzeja przeciwstawione zostało przez poetę wizji Mendoga, jako symbol Chrześcijaństwa—symbolowi pogaństwa. Jest więc i „antyteza”, — o którą p. Weyssenhoffowi tak chodziło, a której nie zauważył. Dlaczego? Czy dlatego, że widmo Ś-go Andrzeja mówi, a widmo Mendoga milczy?

Ale za Mendoga mówi cały chór pogańskich gaślarzy, wiedźm, znachorów, boginek, etc. Więc obie „wizje” malarskie ujęte są w ramy „literackie”.

## XVI.

Nie wyczerpałem wszystkich niedokładności, przeoczeń, złośliwych niedomówień, jadowitych półsłówek, niekonsekwencji i błędów, znajdujących się w artykule p. Weyssenhoffa.

Teraz, streszczając moją replikę, zdaje mi się, że dowiodłem faktami:

- 1) że p. Weyssenhoff nie wie, czym jest estetyka, bo pisząc o niej, płacze się w mętnej frazeologii;
- 2) że p. Weyssenhoff posiada dużo pewności siebie, ale bardzo ciasną skalę wrażliwości estetycznej;
- 3) że p. Weyssenhoff traktuje twórczość Wyspiańskiego, nie tylko z uprzedzeniem i niechęcią, lecz i bardzo powierzchownie, jak gdyby znał utwory krakowskiego poety z niedokładnych streszczeń i opowiadań;
- 4) że p. Weyssenhoff, o ile raczy się zniżyć czasem do szczegółowej analizy, jest nieściśłym i niedbałym i paczy lub przemileża oczywiste fakty, a wskutek tego wystawia twórczość Wyspiańskiego w fałszywym oświetleniu (np. obraz Mendoga w Legjonie);
- 5) że p. Weyssenhoff, mówiąc o reminiscencjach literackich w dramatach Wyspiańskiego, nie określa szczegółowo ich stosunku do analogicznych (często pozornie) motywów w innych dziełach poetyckich i wskutek tego pozwala przypuszczać, że Wyspiański był „plagjatorem“;
- 6) że p. Weyssenhoff, o ile raczy powołać się na jakiś fakt konkretny, popełnia błędy faktyczne (Róg ze słoniowej kości Rolanda, zwykły róg Ernaniego i czarodziejsko-symboliczny „Złoty Róg“ Wyspiańskiego);
- 7) że p. Weyssenhoff zdradza wielką niezajomość dziejów literatury powszechnej i dziejów sztuki, chociaż

na szczegóły z tych dziedzin się powołuje, w celu zmiążdżenia Wyspiańskiego za pomocą suchej litanji wielkich dzieł i nazwisk;

8) że p. Weyssenhoff, wytaczając przeciwko Wyspiańskiemu armaty z arsenału mitologicznego, wykazuje sam bardzo słabą znajomość mytologii. (Symbolika Kaduceusa; owinięcie go „wężami Gorgony“);

9) że p. Weyssenhoff, nie orjentując się w myślach i zamiarach poety, przypisuje mu „ciasnotę horyzontu“. (Jaskrawe podkreślenie wyłącznej jakoby roli Krakowa w utworach poety; pominięcie Warszawy i innych miejscowości, w których rozgrywa się cały szereg dramatów Wyspiańskiego i t. p.);

10) że prócz p. Weyssenhoffa istnieje cały szereg ludzi poważnych, uczonych, zasłużonych estetyków i krytyków, znających przedmiot, którzy, nie wpadając w „snobizm“ i nie należąc do grona „apologetów“ krakowskiego poety, ani do tłumu, uważają Wyspiańskiego za zjawisko potężne (nie dziecinne), dodatnie, za poetę i artystę oryginalnego i niepowszedniego (Chmielowski, Chlebowski, Gostomski, Kotarbiński i t. d.).

Motywy tych wniosków podałem w tekście artykułu, a ponieważ p. Weyssenhoff prawdopodobnie nie porzuci krytycznego Kaduceusa, który tak niefortunnie owinął wężami Gorgony (!), mam nadzieję, że stoczę z p. Weyssenhoffem jeszcze niejedną polemikę. Zebranego materiału mam już dosyć.

Żałuję szczerze, że p. Weyssenhoff, wybitny powieściopisarz i satyryk, biorąc się do krytyki, nie pamiętał o doli swego przyjaciela, co miał dwie różne fabryki, które nie prosperowały...

## XVII.

A teraz winienem p. Weyssenhoffowi jeszcze parę słów wyjaśnienia. Pisząc niniejszy artykuł polemiczny, nie zapominałem ani na chwilę, że p. Weyssenhoff jest powieściopisarzem utalentowanym i człowiekiem bez zarzutu, zwracałem się więc przeciwko niemu *wyłącznie*, jako przeciwko *krytykowi* Wyspiańskiego, którego potraktował z lekceważeniem i niedbalstwem.

Pozatem jednak muszę zaznaczyć, że nie szło mi specjalnie o obronę Wyspiańskiego, bo jeżeli — jak przypuszczam — Wyspiański jest talentem dużej miary — to nie zabiją go feljetonowe napaści, i *żyć w naszej* literaturze nie przestanie. Jeżeli zaś uwielbienie dla Wyspiańskiego było efemeryczne, to ani ja, ani lepsi odemnie go nie uratują i, prędzej czy później, utonie w falach zapomnienia.

Proroctwa w sprawach takiego zwłaszcza rodzaju uważam za wielką nieostrożność.

Mnie szło o co innego. Oto, po pierwsze, o metodę krytyczną, jaką p. Weyssenhoff zastosował do pseudorozbioru twórczości Wyspiańskiego, metodę niewłaściwą pod każdym względem i niedopuszczalną zasadniczo, a tembardziej w stosunku do poety, który wyrył *głębokie ślady na naszym życiu duchowym* i którego sam p. Weyssenhoff nazywa „nie spekulantem i nie histrjonem, lecz *szczerym twórcą i serdecznym synem ojczyzny*“.

Otóż „szczerego twórcę“ i duży, choćby dziwaczny talent, można analizować i wyprawać z jego duszy skalpelem krytycznym włókno po włóknie, kłaść pod najdoskonalszy mikroskop i na zasadzie tak *skrupulatnie* zebranego materiału stworzyć syntezę pozytywną, czy negatywną; dowieść, czy twórczość danego pisarza posiada jakąś



trwalszą wartość, czy nie. To wolno. Ale nie wolno „talentów szczyrych“ i niepowszednich wydrwiwać i bagatelizować, opierając się na poszczególnych drobiazgach, wyrwanych dowolnie z całości i rozebranych w dodatku niedbale, niedokładnie, bez próby wniknięcia w rdzeń rzeczy.

Ale to jedna strona sprawy. Odpowiedzialność za nią spada na p. Weyssenhoffa, który, jako twórca, powinien szanować wszelką twórczość i twórców.

A teraz inna strona sprawy, za którą p. Weyssenhoff nie jest odpowiedzialny. Czy p. Weyssenhoff wie, dlaczego jego artykuły wywołały tak „niemile“ wrażenie, nie tylko na mnie, ale i na bardzo wielu ludziach, interesujących się rozwojem literatury polskiej?

Oto dlatego, że—niewątpliwie bez udziału p. Weyssenhoffa—pojawiły się one w szeregu artykułów, pióra innych autorów, bez porównania gorszych, ale wygłaszących do pewnego stopnia analogiczne myśli, pragnienia i tendencje.

Dlatego, bez kwestji mimo woli i wiedzy p. Weyssenhoffa, artykuły jego sprawiają wrażenie jakby ogniw łańcucha, który posiada charakter kajdan, nakładanych celowo na swobodę rozwoju sztuki wogóle a sztuki polskiej w szczególności.

Przecież „kryształowy puchar“ Mickiewiczowskiej poezji wręczono ręką, niezdolnym nawet do utrzymania — zwykłego kieliszka.

Przecież zaczęto kopać grób sławie Słowackiego!

Przecież à propos tak zwanego „Modernizmu“ wypisywano rzeczy godne — mów Puryszkiewicza w Damie...

Otóż na takim tle, wśród takiego otoczenia, artykuły p. Weyssenhoffa o Wyspiańskim i „Nowej Estetyce“ nabrały bezporównania większej jaskrawości, niż autor tego pragnął.

P. Weyssenhoff został wplątany do jakiejś kampanji reakcyjnej, choć nie wierzę, żeby się o ten wątpliwy zaszczyt ubiegał.

Dlatego rachunki z p. Weyssenhoffem załatwiam w oddzielnej rozprawie, bo go *wyróżniam* jako pisarza, nie chcę i nie mogę czynić odpowiedzialnym za cały kierunek *reakcyjny*, tryskający mętną falą z cyklu marnych elukubracji krytycznych, skierowanych przeciwko *swobodnemu rozwojowi sztuki*, a pisanych przez ludzi, nie mających ani talentu p. Weyssenhoffa, ani wogóle pojęcia o sztuce, o literaturze i estetyce, ani o dziejach ewolucji duchowej, ani o ścisłym związku artystycznej produkcji lat ostatnich z psychologią narodową.

Że jakieś pismo *pluje* dziś na to, czem przedtem się zachwycało i co samo popierało\*) — temu się nie dziwię... Ale, gdybym był osobistym przyjacielem p. Weyssenhoffa powiedziałbym mu, jak Gretchen Faustowi:

Es that mir schon lange Weh,  
Dass ich dich in der Gesellschaft sehe...

P. Weyssenhoff pewnie tych skandalicznych wysoków nie czytał, ale gdyby je przeczytał, jestem przekonany, że nazwałby tę całą robotę reakcyjną „marną podfilipczyzną“.

O tem, że przeciwko t. zw. „modernizmowi“ nastąpi reakcja, wiedziałem już dawno, bo jeszcze w roku 1902 wydrukowałem w mojej książce p. t. „Słowacki i nowa sztuka“ (Modernizm) następujące zdanie:

„Powstanie Modernizmu jest koniecznością *psychologiczną i historyczną*, nie może więc być uważane w zasadzie za objaw chorobliwy i anormalny. Modernizm (neo-

\*) Mogę tego dowieść faktami i cytatami.

romantyzm) przyszedł, bo przyjść *musiał*, i, zrobiwszy swoje, *zniknie*, by po pewnym przeciągu czasu *powrócić* pod inną nazwą i w odmiennej nieco, bogatszej i bardziej skomplikowanej postaci. Taką drogą dotąd szła zawsze ewolucja, taką drogą prawdopodobnie będzie iść w przyszłości.

„Zmieniają się nazwy, zmienia się do pewnego stopnia charakter i forma, wzbogaca się treść, ale *jądro* dwóch zasadniczych i walczących ze sobą prądów życia duchowego ludzkości pozostaje toż samo“.

Motywy szczegółowe, na których oparłem powyższy pogląd, podałem w samym dziele, będącem nie *apologją*, lecz próbą psychologii, t. zw. modernizmu \*).

Więc nie idzie mi nawet o sam fakt reakcji estetycznej, którą każdy, znający dokładnie dzieje literatury i sztuki mógł przewidzieć, ale o to, że z poza tej reakcji, co minie, jak wszystko na świecie, przegląda oblicze innej, gorszej i niebezpieczniejszej, specjalnie dla nas... *Sapienti sat.*

Nie chciałbym, żeby kiedyś powiedziano o mnie, jako o krytyku, to, co powiedział Słowacki w „Wierszu do autora trzech psalmów“:

Kiedy gore świat cierpieniem,

On się kładzie sam kamieniem,

Na ruch ludzki nie pozwala,

Chce zawrócić w stare łoże

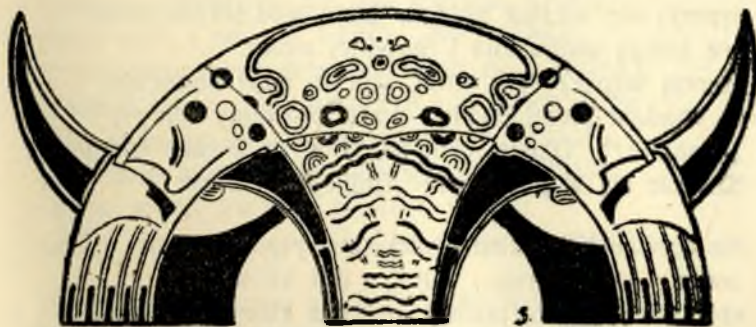
Nowe fale — rzeki Boże.

\*) Wyrazu „modernizm“ używałem i używam w braku lepszego terminu na oznaczenie pewnego kierunku w sztuce i literaturze. A dla mnie jest kwestją obojętną, czy autor jest „modernistą“ czy „klasykiem“, czy „realistą“, czy „naturalistą“—byle miał talent i tworzył ze szczerej wewnętrznej potrzeby.

Wątpię, czyby i p. Weyssenhoff chciał zastąpić na podobne „epitaphium“.

Stokroć zaszczytniejsze dla krytyka czy pisarza jest hasło, wyjęte z tegoż samego wiersza Słowackiego:

...Miałem tę pokorę,  
Żem żadnego nie klął ruchu...



Sfinks.



JADWIGA MARCINOWSKA.

### GENEZARETH.

Słońce sływa złociste na krainę smętną,  
pustą... Różowe oleandrow krzewy  
sypnęły się wzdłuż brzegu, gdzie wód sinych tętno  
gra koleją wstawania i łagodnej zlewy.  
Goreją wzgórz tych stoki, którym snąć pamiętno,  
że chadzał nimi powiew eadu, brzmiały śpiewy:  
„hosanna!“ Dzisiaj eichość, choć to w żniw jest porze.  
Kołysze się w pustkowiu „Galilejskie morze“.

Na zboczach od zachodniej strony pól rozłogi  
dostały się i świecą... Oto w dół ku wodzie  
zbieżała smug żółtawość, przeciw którym srogi  
wieniec skał tam ze wschodu, zda się, ostrzem bodzie

zwiewność tych cichych niebios, od słońca pożogi  
nie rozpalonych, smutnych. Nie mkną! dzisiaj łodzie,  
i żadne wiosło z pluskiem modrych wód nie orze...  
Nieskończenie ucichło Galilejskie morze.

Pójdziemyż, daszo moja, spojrzeć w to pustkowie?  
Czy pójdziem słuhać głosu, który — przecie niemy?  
Ubrały się obłoki w zorzy złotogłowie,  
gaśnie dzień... Nadaremnie tęskną czujność ślemy:  
żaden szept z głuchej ciszy męce nie odpowie...  
O, daszo moja, jednak my tu czekać chcemy...  
Znikły w ostatnim błysku przedwieczorne zorze,  
zasnąło się w tajemność Galilejskie morze.

Trzeba cicho w noc wniknąć, w krótką noc widmową;  
utożsamić się z mrokiem noey, która czeka.  
Majaczą skały; ostry szczyt utonął głową  
w sinawej mgle... Jest jakaś wielka rzecz, daleka;  
oto się rodzi, wstaje, idzie wielkie słowo...  
Słyszysz-li? bije w fali tej serece człowieka;  
wszystka przyroda serecem westchnęła człowieczem.  
Przyjdzie czas... Daszę w czucie świtu przyobleczem.

Godziny przesunęły się, jak trwożne kroki,  
pełne czei, i nadziei, i bólu. Noc zbladła.  
Przedranny wiatr potrącił morza nurt głęboki,  
złamała się w oddechu szara toń zwierciadła;  
wyczekiwanie jękiem dźwiękło z fal roztoki.  
Już blizki świt: nabrały barwy gór widziadła,  
sinieje woda, gwiazdy po kolei mdleją.  
Ciszey serece! Brzmią tętna — szalone nadzieją...

Gdzieś przy brzegu plusnęła lekko łódź... słuchamy.  
Rozstępuje się, szepcąc, wód trąconych niwa;

łańcuchy skał są dziwne dla obrazu ramy;  
powolnym ruchem wiosel smakła łódź wypływa.  
Przebiegł rytm, w zlewie kropel szmer perlistej gamy...  
Zamarła pierś w jedynym natężeniu żywa...  
Z czółna spuszczoneo niewód, rozpoczęcie pracy;  
poznajesz, duszo moja, co zacz są rybacy?

W półświecie oczy mogą rozróżnić postacie  
Jakuba, Piotra, Jana... Naraz między zgrają  
jęły szukać, jakgdyby mówiąc: „Gdzie Go macie?  
rozstąpcie się!“ Z pośpiechem bolesnym szukają  
i zaszklili się wielkim smutkiem, jak po stracie...  
Rybitwi ciągiem sieci fal powierzchnię kraja;  
aliści niewód pusty, wszystko trad jałowy;  
tehnie trwogi wionęto na tych ludzi głowy.

Niepokój rośnie. Owóz są apostołowie,  
wybrani pańscy, słudzy, którym piecza zdana!  
Drżą ramiona bezsilne w nieszczęsnym połowie;  
owóz słudzy niezdatni po odejściu Pana,  
owóz dola, co smętnie się sieroctwem zowie.  
W sieroctwie rozpętane namiętności rosną;  
Gniew i ból społem zdjęły załogę żalosaną...

Widzicie, oczy? Co to? Nad przepaścią wody  
olbrzymieje wam znagła ludzi tych znaczenie...  
Czy majaki nawiewa wiatr poranny, młody?  
Czy z krainy tajemnie tu upadły cienie?  
A wtem pojąłem... Toć są postacie-narody!  
Siadły w rybackie czółno, które powiew żenie;  
zmaćona, tęskna czeladź po odejściu Chrysta;  
zmaćona dziwna zjawa, ale rzeczywista.

Boją się... To lęk, który strachem się nie zdawa  
i jest z pozoru buntem, wrzeniem, sił rozpaczą...

Leez w przepaściach tajemnych krzyczy dusza krwawa;  
 wieczna dusza, dla której czasy nie nie znaczą,  
 którą obchodzi jedna, niewymowna sprawa,  
 że się uczuła w łonie wieków znów tułaczą,  
 postradawszy jakoweś dobro niezmierzone...  
 Płynię łódź, nie wiedząca, w jaką płynąć stronę...

Błysło światółko... Słońce wschodzi? Nie! Zbyt nisko  
 nad kamienistym brzegiem... Tam, tam — czy widzicie?  
 Przedziwnie słodko jawi się blask i kolisko  
 cichych promieni rośnie, jak w przezroczystym świetle...  
 W pośród zamętu nagle przystań zda się blizką;  
 drgnęło aż w głębi trzewiów potrząśnione życie.  
 Porwali się na łodzi; wyciągają ręce,  
 wiedzą, kto jest... Poznali. Oto koniec męce...

Chrystus stoi na brzegu. Nie symbol, nie mara;  
 żywy, obecny Chrystus, człowieczy i bratni.  
 I Jego stóp ogieniek, węgli garstka szara,  
 włożona ryba, uczniom posiłek ostatni...  
 Wpierw niż się myśl sądząca wyrozumieć stara,  
 wyszło serce ze smętnej piersi, jakby z matni,  
 i, przeleciawszy kręgow napowietrznych jawę,  
 padło do nóg Chrystusa skrzydlate i krwawe.

Zaś na łodzi ruch... Chwila... Zaczem jeden wstał  
 i przepasany suknią w pośpiechu, jak zdoła,  
 jeden tylko z pomiędzy onych wszystkich ciał,  
 jeden, w którym tęsknota jest znamięm czoła,  
 rzucił się w morze, płynąc... Fal srebrzysty miał  
 rozstąpił się, kręgami pluszcze dookoła...  
 I odchodzi, by wrócić znów zaciężną siłą;  
 trącone morze z głębin śmiałka uderzyło...

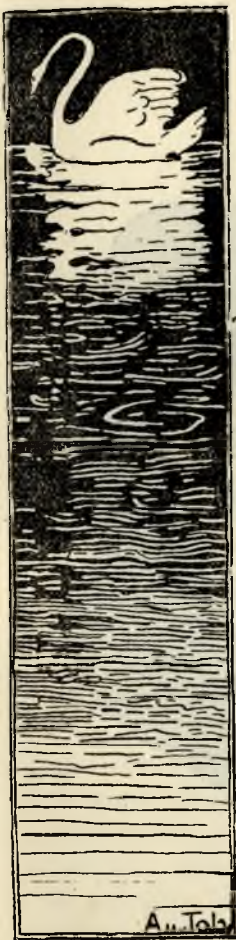


Widzę, jak mu nad głową wstaje wytrysk piany;  
raz po raz oblewa go toń, w siebie bierze;  
aż się spiętrzyły jasne w młodym dniu bałwany,  
nieabłagane przeciw śmiałkowi przymierze,  
zachłanny gniew, grobowiec, w świetle wysrebrzany...  
Ten ma zginąć? Ten jeden, który śpieszył... w wierze?  
Słyszę krzyk... Swój okropny krzyk w strwożonym łonie,  
bo zdaje mi się, że to właśnie Polska tonie...



## BAŚŃ KSIĘŻYCA NA MORZU.

(Z IV-tej SERJI POEZJI).



...Mahatma nocy, księżyc, wlecze płaszcz ognisty  
Po uśpionego morza czarnym aksamicie,  
Jak mityczny Flegeton, lśniący złotolicie,  
Albo kłęby plomiennych węzów Trismegisty.

W tyle okręta - maga, sunącego cicho,  
Smuga płynnych djamentów wizyjnne się pieni  
I tęczy w księżycu, jak ogon syreni,  
I fascynuje piany złocistą ognichą...

...Pod górnego pokładu płóciennym namiotem  
Światłem Djany upajam się baśniowem, złotem,  
Poprzez poręcz szezlongu przechyliwszy głowę,  
Jak ten, co sączy rozkosz powoli z kielicha...

Rzuciła na mnie czary ta noc grecka, cicha,  
I to morze uśpione, tajemne, kirowe...

WACŁAW WOLSKI.



Książę Reichstadt.

DR. ERNEST ŁUNIŃSKI.

SPISEK SMAGŁOWSKIEGO

A KSIĄŻĘ REICHSTADTU.

*„Mon papa pour sa couronne  
Ne fait rien du tout,  
Il la donne aux Bourbons  
Il me prive de tout.  
Je suis tranquille, patient  
Puisque le Dieu est bon,  
C'est de lui que l'attend  
Le petit Napoléon.“*

(Z piosenki balwarowej paryskiej z 1820 r.).



incenty Nowina Smagłowski przyszedł na świat 26 lipca 1806 r. w czasie walenia się starego porządku rzeczy, w epoce, określonej żartobliwym powiedzeniem: Bóg stworzył Napo-

leona i wypoczywał... Duch naroda skupił się w wyłącznym pragnieniu wyjścia z domu niewoli. W tem pożądaniu omdlała wszelka inna praca, każdy chciał spełnić krwawą ofiarę, zginąć lub być przynajmniej ks. Piotrem, Czeczotem, Zanem czy Sobolewskim. Spisek stał się karmią powszechną, modą, zawrotnem kołem, które w szprychy wciągało starych i młodych. Nie bez słuszności narzekał Barzykowski: „Dzisiaj prawie wszyscy roszeją sobie prawo stanowienia o przeznaczeniach ojczyzny, z lekkomyślnością nie do pojęcia rzucają lej losy na kartę i dlatego ich usiłowania nietylko na niczem speł-

zają, ale jeszcze wielkie sprowadzają klęski“<sup>1)</sup>. Mało stateczny, zacietrzewiony klubista, Zaliwski, abolewał nad niesfornością ludzi swego okresu, nad działaniem w pojedynkę, z miłości własnej, — bez myśli jednoczącej, nad powstawaniem planów i rojeń, — niby grzybów po deszczu, zawsze z wiarą występowania za ogół i w imieniu ogółu...<sup>2)</sup> Niemcewicz jeszcze jaskrawiej uchwycił ten rys samowoli i odśrodkowości: „Mniema się każdy wódz Napoleonem, każdy cywilny Solonem...“ Jakże gorzko musiało być staremu pisarzowi i patriocie rzucić ziomkom w twarz oskarżenie o „porywezość w przedsięwzięciach, lekkość i niestałość w przywiedzeniu ich do końca, niezgodę, zawiść i rozhułkaną próżność“...<sup>3)</sup> Jeden z poważnych dyplomatów powiedział z nieubłaganą surowością: les Polonais ne savent organiser que le désordre... Nikt nie uważał się za dość słabego, aby zejść w podziemia i wynieść z nich objawienie nowego czynu. Umiał Protazy, dlaczego nie miał umieć Gerwazy?...

Po owoc z drzewa poznania sięgnął i Wincenty Nowina Smągłowski.

Syn Ignacego, pełnomocnika dóbr szambelana Wincentego Potockiego. pobierał początkowe nauki w Tarnowie, a następnie w Krakowie, gdy ojciec uzyskał posadę komornika granicznego w poblizkiej Wieliczce. Po jego śmierci przeniósł się z matką do Warszawy i zdał — jak świadczy Lelewel — wzorowo egzamin dojrzałości<sup>4)</sup>. Brak oparcia w domu, pomoc Pijara, księdza Gruszczyńskiego,

<sup>1)</sup> Barzykowski: Historia powstania listopadowego. Poznań. 1883 r. T. I. str. 252.

<sup>2)</sup> Zaliwski Józef: Rewolucja polska 29 listopada 1830 r. Paryż. 1833. Str. 3.

<sup>3)</sup> „Pamiętnik emigracji“ z 15 maja 1833 roku. Niemcewicza „Ostatnie słowo do ziomków moich“.

<sup>4)</sup> *Avec une grande distinction.*

pchnęły go do zakonu, opromienionego gwiazdą Konarskiego. Rwał się wprawdzie do żołnierki, wybił ją sobie jednak z głowy dość pogmatwanem powiedzeniem: „panujący duch czasu i jarzmo mogłyż mi na chwilę dopuścić, abym złożone z upodobaniem dźwigał kajdany?...” Cztery lata spędził w sutannie, naprzód w zgromadzeniu w Radomiu,—po odbyciu zaś nowicjatu i złożeniu ślubowania w Zaliborzu, bakałarzował jako nauczyciel języków starożytnych w konwikcie w Warszawie. Tu zapisał się na wydział filozoficzny królewskiej wszechnej i zetknął z rzeszą politykującej młodzieży, podnieconej losem Łukaszińskiego, porwanej falą romantycznej poezji, której echo grzmiało tem potężniej, że Ludwik Osiński, obrońca okopów upadającego klasycyzmu, dzierżył katedrę literatury. Atmosfera najwyższej uczelni przesiąknięta była wspomnieniami tajnych związków akademickich „Czcieli nauk”—„Kawalerów nareczya“, unosiła się nad tragicznymi losami członków „Towarzystwa patriotycznego“ i wolnym duchem „Organizacji dobra publicznego“ i „Zielonej wstążki“ w cesarstwie. Zresztą miał Smagłowski u siebie, w domu, żywy wzór do naśladowania. Starszy brat, Boguchwał, prawnik, wydalony za niewinną błąhostkę z uniwersytetu warszawskiego, zapisał się na krakowski i rozpoczął na spółkę ze Stanisławem Bońkowskim robotę konspiracyjną przeciw wielkiemu księciu Konstantemu. Pod wpływem obcego i rodzinnego otoczenia dojrzewał w kleryku Wincentym działacz, uznający jedyną mądrość stanu: „machnięcie orężem“, jako „ostatnią na gangrenę krajową radę“. Grzęznące po uszy w marzeniach o powrocie dawnej państwowości polskiej, wycisnął ich ślad na rozprawie dysertacyjnej p. t. „Uwagi nad panowaniem Władysława Jagiełły“. Polityk i polemista,—nie sędzia spokojny—łajał Gedyminowicza za zmarnowanie uńji słowiańskiej przez odtrącenie koron Czech i Węgier,—bo

podobne zjednoczenie płałało się w programach polskich i rosyjskich rewolucjonistów. Odgrzebał nawet system średniowieczny, jemu samemu znany, dążący do utrzymania każdego państwa w pierwotnych granicach, celem zahamowania wzrostu niemieckiego uniwersalizmu. Z głową, nabitą myślą o zrzeszeniu trzeciego wielkiego szczepe, rozważał skutki zaprzepaszczonej wyprawy Zygmunta III na Moskwę,—prawdziwej klątwy dziejowej po pierwotnym grzechu Jagiełły... Tania, z widocznym zamiarem fabrykowana historjografja, zyskała Smągłowskiemu wziętość w kołach rówieśników i opińję człowieka pewnego, oddanego narodowej sprawie. Uczył, pisał wiersze, nie lepsze i nie gorsze od Molskiego, nosił się z setkami pomysłów, przeskakując z dziedziny w dziedzinę, zaczynał i utykał w pierwszej ćwierci lub w połowie drogi... Wzorując się na Hogwarcie, szukał sterówki do balonów przez ustanowienie siły ciskającej punktu oparcia, sporządzał modele statków podwodnych na Wiśle i morzu, projektował fontannę, coś w rodzaju perpetuum mobile na zasadach Zamboni'ego. Oczywiście wszystko pozostało w świecie oderwania i niedorzecznego rozpraszania się. Na dnie małych i wielkich pożądań dźwięczało wszakże ton przewodni, dźwięczało jedno naprawdę celowe chcenie, owo „machnięcie orężem“... <sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> Archiwum dawnych aktów grodzkich i ziemskich (Bernardyńskie) we Lwowie. Akta sprawy Smągłowskiego. Vol. III fol. Z depozytu sądu krajowego karnego we Lwowie. Protokół przesłuchania w Warszawie z 27 października 1829 r. Na akta te pierwszy zwrócił moją uwagę p. Justyn Sokulski, bibliotekarz bibl. Smągłowskiego w Stanisławowie. Są bardzo oblite, choć co do treści powtarzają się w nieskończoność.—Do tego samego przedmiotu odnosi się artykuł: „Wśród barz spiskowych“ w 3 i 4 N<sup>o</sup> „Świata“ z 1909 r. pióra piszącego.

Przeczulenie społeczeństwa, oddychanie wrażeniami Napoleońskiego okresu, zapatrzenie się na dzień wczorajszy, a zamknięcie oczu na dzisiejszy, podnosiło każdą pogłoskę do znaczenia czynu, otwierało bramy łatwowierności. Słuchać i ulegać niewidzialnym mocom, — to były czynniki, tkwiące w przenerwowanych usposobieniach. Na podobnem tle nietrudno było przygotować się do roli zbawcy i weiskać do Walhalli potomności. Mniejsza, jakim kosztem prowadziła droga na Kapitol, każdy uznawał się namaszezonym, każdy chciał i umiał. Chciał i umiał Wincenty Smagłowski, skromny kleryk pijarski, studencki historjograf, chemik, fizyk, mechanik, profesor, poeta, filolog i—jak go później nazwano — „mystyk zarozumiały“... Z zarodami dziwaństw dajrzewał w dobie bolesnych ucisków, w cieplarni, przesiąkniętej mistrzowskim rzemiosłem Roźnieckiego, szpiclostwem i kontr - szpiclostwem, w podrażnieniu z powodu procesów o zdradę stanu, w uczuciu cierpienia nad losem brata, uwięzionego w jednej z twierdz czeskich. Stan swój określił w liście do hr. Romana Sołtyka: „Duch mój wynajdował często z pośród niemych foljałów narzędzia na zniszczenie przemoey, targnęła się ma ręka po kilkakroć na rozszerzenie maksym, dobry sposób myślenia zatwierdzających, lecz hydra, czołgająca się, zdrażliwa przemoey władza, umiała je wysłedzić i zniszczyć; mijały chwile i oparły się na punkcie stanowczym; bezwładność miała się w letarg zamieścić... Jęknąłem z bólu, nie widząc ratunku, nocie bezsennej trawiłem, a nieraz przepelnionego nie mogąc powściągnąć uczucia, poddawałem się żalowi, łzy rozpaczy twarzy mą skrapiwały“..<sup>1)</sup> Siedzący tryb życia, samotność, porażały skłonny do uniesień umysł Smagłowskiego w mo-

<sup>1)</sup> List do hr. Romana Sołtyka z 25 czerwca 1829 r. w aktach bernardyńskich.



rzu melancholji i egzaltacji. Ciche mury zgromadzenia, otoczenie patryjotycznych mnichów, działało na niego po chwilach zwątpienia, jak wiatr orzeźwiający z pól wolności.. Właśnie u Pijarów gorzał zniec narodowy, między młodzieżą, oddaną im na wychowanie, tworzyły się kółka i stowarzyszenia o politycznym zabarwieniu, które zgarniały w kręgi swoje i uczniów, kształcących się w granicach Rzeczypospolitej Krakowskiej <sup>1)</sup>.

Wybuch wojny rosyjsko-tureckiej w 1828 r. obudził nadzieje przeciwników gwałcenia praw zasadniczych, wprowadzenia artykułu dodatkowego, cenzury i zniesienia jawności sejmowej. Wśród goryczy z powodu doznanego zawodu były znowu źródłem ożywczym utajone siły, zatomowane chwilowo postrachem losu Łukasieńskiego i Towarzystwa patryjotycznego. Burza na wschodzie groziła rozpętanem nieokiełzanych wyzwolenieczych dążeń. Oczekiwanie zbawczego cuda wzrastało z porażkami oręża rosyjskiego, z świetnym zwycięstwem Omera Vrionisa we wrześniu pod Warną i przesawaniem wojsk austriackich ku Siedmiogrodowi. Zapełniona zawrota głowy nabawiły niezadowolonych starania Metternicha o pokrzyżowanie zamiarów Mikołaja na Bałkanach za pomocą wprężenia Prus, Anglii i Francji do dyszla wiedeńskiej polityki. Dlatego straszyl przeciwników swoich w Paryżu dobrze strzeżonym w Schoenbrunne synem Napoleona i podniecał nadzieje bonapartystów, dlatego posłał na gubernato-

<sup>1)</sup> Świadczą o tem relacje br. Oeschsnera, rezydenta austriackiego w Krakowie, do Metternicha. — Archiwum państwa i dworu w Wiedniu. Berichte aus Krakau 1828. Jeden z tworców pseudo-tajnego towarzystwa w gimnazjum Ś. Anny, Stadnicki, był wychowalcem warszawskich Pijarów. Cała rzecz miała zresztą dziecinny charakter i ograniczała się do czytania zabronionych przez władzę książek. Reżyserował sprawę nauczyciel języka rosyjskiego Sołowiewicz, — typowy agent prowokacyjny z pod znaku Roźnieckiego.

ra Galicji, wielkiego przyjaciela Polski, księcia Lobkowitza, i kazał mu wdziać kontusz przy otwarciu zakładu narodowego Ossolińskich we Lwowie...<sup>2)</sup> Zdemaskowany niebawem przez ambasadora rosyjskiego nad Sekwaną, hr. Pozzo di Borgo, wycofał się z powikłanej gry i ułagodził Mikołaja I pokojową missją hr. Ficquelmonta do Petersburga. Ale złudy, zwykły manewr przysporzenia imperatorowi trudności i zaszachowania postępów jego wojsk za Prutem, dołały oliwy do ognia, odstąpiły różowe widnokreśli. Ich czarowi uległ Piotr Wysocki, tworząc w połowie grudnia 1828 r. związek w szkole podchorążych, celem obrony podeptanej konstytucji. Rotę przysięgi podpisało zrazu kilku towarzyszków inicjatora,—sami wojskowi. W styczniu, przełamano barjerę wyłączności stanowej i wciągnięto do spiskowego sekretu cywilnych: Maurycego Mochnackiego, Cichowskiego Adolfa i właściciela dóbr Wyszyny, Adama Gurowskiego, aby zostali pomostem między armją a obywatelstwem, szczególnież akademikami. Z ramienia organizacji wysłano Karola Paszkiewicza, z pułku grenadierów gwardji, dla zasięgnięcia rady Juliana Niemcewicza. Sędziwy poeta przyjął wiadomość z największem rozrzewnieniem, lecz odparł: „teraz nie czas jeszcze, ale nadejdzie pożądana chwila“... Czy pod naciskiem otrzeźwiających słów adjutanta Kościuszki czy z innych powodów, zarzucono na razie zamiar wywołania w blizkim terminie zbrojnego ruchu. Nie na długo wszakże uspokoili się umysły,—opanowane gorączką konspiracyjną. W kwietniu 1829 roku miał doko-

<sup>2)</sup> Kalinka: Królestwo kongresowe i związki tajne. Przegląd Polski. R. 1895. T. IV. Str. 305.—Moszyński Jerzy: Geneza powstania listopadowego. Wstęp do pamiętników Prądzyńskiego. Kraków. 1909. Str. 146—148.—Stern Alfred: Geschichte Europas etc. Berlin 1901. T. III. Str. 167.

nać się akt koronacji Mikołaja na króla polskiego. Powściągnięta na chwilę myśl spiskowa wyłoniła się znowu i przechodzić musiała rozmaite okresy,—zanim oparła się o chłodną rozwagę. W zawrotnej drodze spotkała się może z głosem czy z głosami „zatrzymania“ panującego lub postąpienia z nim „bez ceremonji“, aby w ten sposób wzniecić popłoch w Rosji i w zamieszaniu powszechnem spełnić dzieło oswobodzenia. Zakotłowało w związku Wysockiego, wzmocnionym poważnymi nabytkami, jak Gustawa Małachowskiego, Bernarda Potockiego i Tytusa Działyńskiego. Upadły pewnie wszelkie jaskrawe ostateczności, mogące narazić sprawę polską na szwank, ale ostał się osad: myśl przygotowania wybuchu w momencie namaszczenia imperatora. Zaliwski radził Wysockiemu przesunąć przedsięwzięcie na czas zerwania się rewolucji we Francji. Postępowanie spiskowych ustaliło ich porozumienie się z lewym skrzydłem sejmowem, z postami powiatów miechowskiego i gostyńskiego, Walentym Zwierkowskim i Franciszkiem Trzeńskim. Postanowiono wnieść przed koronacją prośbę o zniesienie artykułu dodatkowego,—a w razie jej odrzucenia założyć protest. Na wypadek uwięzienia przedstawicieli narodu, miało dać wojsko hasło do orężnej rozprawy. Postowie okazali się przeciwni „wszelkiemu targnięciu się na osobę cesarza i króla jegomości“ —zboczyli nawet od ułożonej poprzednio linii działania i wpłynęli na odłożenie wszystkiego do sejmku, zebrać mającego się w kwietniu 1830 r.,—a skutkiem podobnego załatwienia całej gmatwaniny, działalność związku Wysockiego do tego czasokresu zupełnie zawieszoną została. Chodziło widocznie o przysposobienie gładkiego i bezpiecznego grantu dla doniosłej uroczystości koronacyjnej, o wyczerpanie jeszcze wszelkich środków prawnych i zdobycie monarchy poczuciem lojalnego

zachowania się.<sup>1)</sup> Szczęśliwie wyładowano burzliwe pomysły, które w niedokładnych wersjach, zamglonych formach, przekręconych pogłoskach, wciskać się musiały pomiędzy szersze warstwy roznerwowanego społeczeństwa...

Może pod wpływem tych wypadków i własnego usposobienia, postanowił Smagłowski wypić kielich goryczy za ojczyznę i na równi z innymi wyratować ją z nurtu niedoli. Zapowiedziane zjawienie się cesarza w Królestwie dla dopełnienia obrzędu koronacyjnego wywołało w jego duszy,—podobnie jak w stowarzyszeniu Wysockiego,—chęć czynu. Jak miał wyglądać ten czyn, jak wyłonić się?—Rozmaite majaki snuty się po rozgorzałej głowie kleryka, po-

<sup>1)</sup> „Świat“ № 38 z 1909 r. Artykuł piszącego: „Spisek koronacyjny”, jako krytyka śmiałej i nie dającej utrzymać się hipotezy p. Aleksandra Kraushara, zawartej w objaśnieniach do ogłoszonego z papierów Nowosilcowa zeznania Smagłowskiego w Warszawie, a uważającej knowania kleryka pijarskiego za identyczne ze „spiskiem koronacyjnym” podchorążych. (Przegląd Polski—ze stycznia i lutego 1909 r.). Idąc naoślep za stronnictwem w tej kwestji Barzykowskim, padł autor ofiarą mylnego i przekręconego tłumaczenia słów Wysockiego w relacji z czynności podchorążych. (Powstanie listopadowe T. I. Str. 253—255). Wysocki (w Kurjerze Polskim № 357 z 10 grudnia 1830 r.) wspominał: „wszystkie działania nasze, trwające od 28 grudnia 1828 r. do pierwszych dni kwietnia 1830 r. zawieszono zostały”. Nie znaczy to bynajmniej, że skoro termin *a quo* zaczął się z 28 grudnia, po tym czasokresie związkowi rozeszli się na razie i już w pierwszych miesiącach 1829 r. nie byli czynni. Argumenta w wspomnianym artykule. — Pokłękowski: Akt oskarżenia przeciwko osobom oddanym pod najwyższy sąd kryminalny i t. d. Warszawa 1834 r. Str. 8. Zeznanie Wysockiego.—W tej samej sprawie: Opowiadania kapitana Patelskiego. Kraków 1880. Str. 99.—Pamiętnik emigracji. Cz. I. Paryż 1832 r. Broszura z 5 sierpnia. Artykuł Łaskiego: „Uwagi nad początkiem rewolucji polskiej”. Tenże pamiętnik. Cz. III. Broszura „Aleksander Jagiellończyk” z artykułem Adama Gurowskiego, kłamiwym w wielu punktach.—Mochnacki: Powstanie narodu polskiego. Poznań 1863. T. I. Str. 291 sq. — Goszczyński: Noc Belwederska. Str. 13 sq. i t. d.

cząwszy od zbrodniczej pokusy ujęcia monarchy za „samo serce“,—skończywszy na pomysle wplątania imperjum w zagraniczne zawikłania, aby w zamęcie i rozstroju narzucić mu ustrój konstytucyjny i z odświeżonym, odmłodzonym od doła do góry, przystąpić do utworzenia związku państw słowiańskich na wzór achajskiego lub rzeszy niemieckiej... Sam nie mógł widocznie wyrobić sobie przekonania, czy należy dążyć do przywrócenia ziomkom wolności przez wybór nowego króla w drodze wymuszenia na panującej dynastji zrzeczenia się praw do tronu, czy też poprzestać na zniewoleniu Mikołaja I do zaprzysiężenia zasadniczych praw wolności i zwrotu ziem zabranych: Litwy, Rusi, Wołynia. Linja fantazji Smagłowskiego zakreśliła kręte gzygzaki i posunęła się aż do rojeń o radykalnem załatwieniu sprawy polskiej, mianowicie odzyskaniu w całości niepodzielnych granic dawnej Rzeczypospolitej. Śnił zatem o możności drugiego równorzędnego zamachu,—jak w Warszawie—o dostaniu w ręce swoje króla pruskiego w Kaliszu, uwięzieniu go i wydania za Księstwo Poznańskie... Co do Galicji rozciął węzeł gordyjski w sposób prosty, bo spodziewał się odzyskać ją przez osadzenie na tronie warszawskim nieszczęsnego syna Napoleona, herzoga Reichstadta. W podziękę za wyniesienie wnuka,—tak mniemał—powinien cesarz Franciszek odstąpić swego zaboru „niejako w posagu“ lub przynajmniej Rzeczypospolitej Krakowskiej!... Przyszły wybraniec dawał rękojmię utrzymania swobód Królestwa, wzmocnienia go i pokrzepienia zaprowadzeniem austriackiego ustawodawstwa!... Gdyby w Wiedniu uważano wyniesienie księcia Reichstadta za pomost do zaborów w Polsce, — możnaby związać się z Węgrami, a „tak podstępny dom Habsburgów własnymi runął by sztakami!“... <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Archiwum Bernardyńskie we Lwowie. Protokół przesłuchania w dyrekcji policji we Lwowie z września 1830 r. i w sądzie karnym lwowskim.

Osobistość kandydata weszła samą siłą faktów w zbiorowisko dziwacznych i mętnych zamierzeń Smagłowskiego. Znacznie poważniejsi i politycznie wyrobieni ludzie wierzyli w odbudowanie niepodległości ojczyzny przez Wiedeń z jednym z arcyksiążąt, — jako władcą... Podobnemu złudzeniu uległ Ignacy Prądzyński i widział już nawet sposób odszkodowania monarchji naddunajskiej Multanami i Wołoszczyzną za Galicję. <sup>1)</sup> Zaczęła się era nowych mrzonek i położyła wyraźny odcisk na późniejszych zdarzeniach.

Księżcia Reichstadtu wygrzebał Metternich dla poskromienia paryskiej frondy przeciw jego dywersyjnym rosyjskim planom. Kto wie, czy nie dzięki intrygom, płynącym z tego źródła, ukazało się w 1828 r. mnóstwo portrecików młodziatkiego Napoleonidy we Francji na chustach, fajkach, biastach, tabakierkach, nożach, kartach, nawet sztukach monety. Widniały one we wszystkich sklepach pieczęci w Paryżu, ściągając tłumy widzów <sup>2)</sup>. Z nad Sekwany weisnęła się propaganda do Krakowa, — pod skrzydła wolnego miasta, osiągając zgoła odmienny skutek, niż pragnął austriacki kanclerz. Rozchodziły się tu pogłoski o dziele na temat życia biednego księcia, niesłychanej rzadkości, którą trudno było nabyć i za cenę złota. Szlachcie z Galicji, Zarębski, przywiózł i rozdzielał medaljon z napisem w okole: „Napoleon II, herzog Reichstadtu, król Polski”. — Z podobnem objaśnieniem krążyły konne podobizny księcia w narodowym polskim stroju. Na ich widok unosili się ludzie zapałem, szeptali i opowiadali cuda o przyszłym posłannictwie bohatera w rozszarpanym kra-

<sup>1)</sup> Prądzyński: Pamiętniki. T. I. Str. 199.

<sup>2)</sup> Archiwum dworu i państwa w Wiedniu. Varia. List adwokata Deliège do Pilata, redaktora „Oesterreichischer Beobachter” w Wiedniu, z 3-go października 1828 r. — Welschinger Henri: Le roi de Rome. Paris. 1897 r. Str. 315.

ju<sup>1)</sup>. Przy sprzedawaniu i rozszerzaniu kartonów zachowano tak olbrzymią ostrożność, że rezydentom państw rozbiorowych nie udało się wyłowić egzemplarza. Pociągnięty do odpowiedzialności litograf, Wyszkowski, przyznał się po dłuższem przeczeniu do wykonania nakładu, oświadczył jednak, że cały spalił a kamień zniszczył, w obawie poszukiwań i śledztw. Pewną ilość wywiózł do Kalisza niejaki Sieran, wskutek czego zachodziła obawa dalszego rozpowszechniania i nowych reprodukcji. Za sztychami popularyzowano francuskim wzorem sylwetę Napoleonidy na towarach galanteryjnych, które potajemnie wywożono do Królestwa<sup>2)</sup>.

Tą drogą doszedł niezawodnie Smagłowski do wynalezienia odkupiciela ojezystej sprawy. Stawiając swoją koncepcję, okazał, jak agitacyjną igraszkę brał za rzeczywistość, bez wniknięcia w rdzeń prawdy życiowej.

Bo biedny eks-król rzymski, eks-Napoleon II, eks-książę Parmy, a niedoszły Moedlingu, przebywał w osamotnieniu na zamku Schoenbrun, w mandarze kapitana austriackich strzelców. Przechrzczony na Franciszka Józefa Karola, przezwany od dóbr palatynacko-bawarskich w Czechach herzogiem Reichstadtu, dusił się w otoczeniu wychowawców, którzy pragnęli widzieć w nim przyszłego Eugieńjusza Sabaudzkiego... Ulubieniec losu, dziedzic potężnego imperjalizmu, uwielbiany *petit roi* monarchów, z przeszłością, wziętą po matce, a przyszłością—po ojcu,—dojrzywał na cmentarzysku potężnej epopei wojennej, ściągnięty

<sup>1)</sup> Wertheimer Eduard: Der Herzog von Reichstadt. Stuttgart und Berlin 1902 r. Str. 348. Dnia 18 lutego 1828 r. donosi Metternich posłowi rosyjskiemu w Wiedniu: „*On finit par donner à entendre que ce prince serait destiné à jouer un jour ou l'autre un rôle en Pologne*“.— Welschinger wspomina, — że w 1829 r. kursował w Krakowie medal z napisem: „N. F. C. Joseph, roi de Pologne“. (Napoleon Franciszek Karol Józef, król Polski).

<sup>2)</sup> Biblioteka polska w Paryżu. Rękop. Teka R. Raport do wielkiego księcia Konstantego.

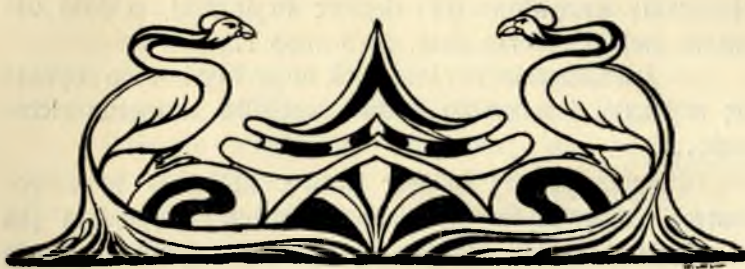
z niedosiężnych wyżyn, — po obaleniu wielkiego rodzica. Na obcej ziemi zamierał w cieplarni przymusowego schronienia, marzył o Francji, opierał się wpływom urzędowych mistrzów. „Nie chcę być Niemcem!”—wołał z dziecięcym bólem i żegnał znajomych, jadących do Paryża, czułem życzeniem: „Proszę pozdrowić kolumnę na placu Vendôme...” Rozkołysany cudami ubiegłych lat, zagłębiał się w bohaterskich czytankach, pochłaniał wspomnienia Cezara, Ksenofonta, badał czyny Wallensteina, Fryderyka II, w szpadzie dostrzegał jedyne swoje berło i tytuły. Duch przekory i ważkiego lotu młodzieńca niepokoił władców Świętego przymierza. Już myślano o przyobleczeniu go w sukienkę zakonną... Dla zażegnania Napoleońskiego widma, wykluczyła go Austria układem z 10 czerwca 1817 r., w porozumieniu z Prusami i Rosją, raz na zawsze od wszystkich tronów. Rozmaite usiłowania, celem odzyskania praw „króla Rzymu”, były tylko ideowym odruchem. Spaliło na panewce sprzysiężenie generała Berton w Saumur w 1822 r., rozbiły się o kamienny opór Metternicha rozpaczliwe próby bonapartystów, aby w czasie śmiertelnej choroby Ludwika XVIII z 1825 na 1826 r. okrzyknąć władcą Francji czterdnastoletnie pacholę. Tymczasem dzieciak, strzelisty jak topola, dojrzały nad wiek, zaprawiał się do lojalizmu austriackiego, aby go wyrzucić z myśli poza lekcjami i podążyć gdzieindziej... Kierujący jego wychowaniem, Maurycy Dietrichstein, przygotował dla cesarza wykład o moralnym stanie swego pupila: „Duch jego—zaznaczył — wyprzedza ciało i hamuje rozwój fizyczny; z wielu powodów powinno się dawać postać nie burzliwym, nierozumnym życzeniom chłopca, przepojonym dążeniem do wolności, lecz rozsądkowi, opartemu o czyny”. Owe „burzliwe, nierozumne życzenia” musiały płonąć w Napoleonidzie tem gwałtowniej, że czające się już szychoty podniecały go do chwytania pełną garścią zanikającego życia. Książę Reichstadtu nie posiadał wolności ra-



chów, — mimo miłości dziadka, cesarza Franciszka, był pilnie strzeżony przez metternichowskich zauszników, całą sforę stróżów, z których każdy miał „więcej myśli w brzuchu, niż w głowie”... Przygłuszał zatem tęsknotę namiętnem oddaniem się służbie wojskowej. Na grunt ciągle wzrastających obaw Burbonów, na trzechkrotnie ponawiane usiłowania Francuza, Doudeuil, aby księcia uprowadzić za Wogezy, — padł słynny poemat Barthélemy'ego: „Le fils de l'homme” i wywołał w ziemi galijskiej potężne wrażenie, opromienił bonapartyzm czarem przepięknego słowa, godził w restaurację, — był przenikliwą pobudką do nawrotu ku szlakom zgasłego na wygnaniu „małego kaprała”. Snując opowieść o „cudownem dziecku”, zapowiadał wieszcz zjawienie się więźnia z Schoenbrana i podniesienie się orłów Napoleońskich ku blaskom świetnych zwycięstw. „Wnuku cesarza, synu cesarza, władcy świata, urodzony królu rzymski, jesteś dzisiaj tylko synem człowieka!... Płód natchnionej fantazji rozehwytywano zagranicą. W Wiedniu należał książę Reichstadt do rzadkich wyjątków inteligencji, które nie mogły wczuwać się w księgę niedoli. W ustawicznym rozstroju między tem, co mógł, a chciał, w pragnieniu odegrania dziejowej roli, z gwiazdą wspaniałego czynu przed oczami, — gasł obezwładniony, trzepocząc się zawzięcie w sidłach losu. Przygnieciona dziedzictwem olbrzymiego, klątwą obłożonego imienia, zamierała „żelazna dusza w kryształowem ciele” <sup>1)</sup>.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

<sup>1)</sup> Losy księcia opowiedziane na podstawie dzieł Wertheimera i Welschingera. Do szczegółów dostarczyły materiału: Prokesch-Osten Anton: „Schreiben an\*\*\* über den Herzog von Reichstadt”. Kleine Schriften. T. IV. Stuttgart 1842. Str. 74. — Welschinger: Le duc de Reichstadt d'après des notes inédites du chevalier de Prokesch-Osten. Paris 1907. Str. 31. — Montbel: Der Herzog von Reichstadt. Leipzig. 1833. Patrz: dodatek 1-szy. — Anonimowe: Briefe aus Wien über den Herzog von Reichstadt. Wien 1831 r. Str. 27, 29, 50.



GUSTAW DANIŁOWSKI.

## PAMIĄTKA.

(NOWELA).

— Kazał to wam oddać na pamiątkę. Był jeszcze list, ale tego nie udało się wynieść na wolność — mówił zagasłym głosem zmordowany młodzieniec.

Marja zdrętwiałymi palcami ścisnęła zawinięty w bibułkę, twarde przedmiocik, nie będąc w stanie wydobyć żadnego wyrazu, jakgdyby w czasze wysechł nagle mózg, zmieniając ją w głucho szumiącą konchę próżnej myśli.

Przybysz powolnym ruchem zdjął z krzesła zniszczoną pelerynę, oglądał długo i niezdecydowanie wytarty kapelusz, wreszcie, mruknąwszy coś nakształt pożegnania, wycofał się z pokoju.

— Na pamiątkę! — zastygły wyraz, jak bryła lodu, wisiał na ustach dziewczyny, i nagle z dziką determinacją rozdarła bibułkę. Na stole cicho zabrzączał złoty chrześtny krzyżyk z misternie wyczelowanym rysunkiem rozpiętego Chrystusa. Zamiast świeczków u rąk i nóg

błyszczały wprawione trzy drobne brylanciki, a dołu widniała zlekka zatarta data: 22/5 1885 r.

— Dwadzieścia trzy lata—jak nagła błyskawica zapaliła się refleksja, i wszystko znowu zapadło w mętną ciemność...

Marja, ująwszy w ręce głowę, która w brązowo-złoty, zezesanych na skroni włosach, wyglądała jak w hełmie z miedzi, szeroko rozwartemi oczyma fiksowała pamiętkę.

Drgnęła, przypomniawszy sobie, że nie jest sama, lecz, zorientowawszy się, że nieznajomy wyszedł, znowu zapatrzyła się w wizerunek Męki Pańskiej i w djamentowe ćwieki, które w świetle lampy stawały się to sine, to czerwone naprzemian. Gra tych kolorów zdawała się wymawiać dwa wyrazy: mord i krew — krew i mord — bezustannie, uporezywie — aż je powtórzyły słyszalnym szeptem struchlałe jej usta.

Rozsunęły się bezwładnie łokcie, upadła twarzą na stół i załkała.

Był to płacz krótki, suche' bez łez, gwałtowne wzdrygania się ramion, łopatek i pełnych szlochu piersi, nagle, niespodziane szarpnięcie pazurów boleści, które na moment do serca przypadły, zatargały i znikły.

— Wyrok wykonano — przecewałowały z przerażającym tętentem, okrutne dopiero teraz — choć czytała je przed tygodniem — tratujące słowa, i podniósł się w jej mózgu ogłuszający zgiełk, podobny do krzyku mnóstwa pędzących gdzieś ludzi, do jęku i szezkania głucho rwących się dzwonów.

— Hen, hen! — krzyczały ponuro dalekie dzwony. Ryk, ryk! — wrzeszczały odległe tłumy. Henryk! — zakotłowało w jej piersiach rozpaczliwe wołanie, i raptem stała się ciszą, jak uciąż — nie niema!

Przywalił ją na moment jakby ołowiany ciężar, okuł w blachy żelazne twardey sen; mroźny, ostry, jak szczotka, dreszcz przez krzyże przesuwiał się od głowy do nóg, tam i napowrót, i dotkliwym chłodem owiewał dokoła.

Zaczęła trząść się febrycznie, jak zziębnięta do rdzenia. Wzdrygnęła się, jak od szorstkiego dotknięcia. Senność mijała, ocknęła się w łzach skąpych, gryzących i mętnych, jakby wyżętych z łachmanów. Doznawała wrażeń, jakby się gorycz po niej całej rozpląnęła, napełniając żyły i arterje, i jakgdyby jakaś obca siła szarpała w strzępy całun niepamięci i wyciągała przemocą na światło przyczajone w zakątkach duszy wspomnienia.

Daty swego poznania się z Henrykiem Marja nie była w stanie ściśle ustanowić, spotkali się bowiem w tłoku mnóstwa osób, w czasach, kiedy zapamiętanie rysów twarzy było jedynie po to potrzebne, by nie poplątać pseudonimów—partyjnych numerów towarzyszy, i Henryk stał się dla niej jednym właśnie z takich numerów, czemś bezindywidualnem, jak ona, kołkiem wielkiej wspólnej maszyny, z którym się łączyła w jakiejś szczegółowej sprawie i rozłączała posłusznie, stosownie do zamiarów leżącej poza nią transmisji. Zbliżyli się dopiero więcej po ludzku, gdy im wypadło zamieszkać razem w willi podmiejskiej i uchodzić przed otoczeniem za małżeństwo. Wówczas dopiero Marja przyjrzała mu się, jakgdyby po raz pierwszy i uświadomiła sobie, że nie są fizycznie identyczni, że ona ma bujne, puszyste warkocze, wiewiętą kibić i dorodne piersi, podczas gdy on posiada czarną, kędzierzawą czuprynę, słuszną, barczystą postać i nad purpurowemi wargami krótkie, lecz gęste jak mech wąsiki.

Odkrycie tych różnic wywołało pewne zaniepokojenie w jej sercu; przyjęta rola domniemanej żony stała się żenującą, ale wszystkie wzruszenia z tego powodu zagłuszył doznany w pierwszych dobach silny lęk na widok pu-

szek, paczek galaretowatej masy, kwasów, soli i rurek szklanych, których nieostrożne skruszenie groziło momentalną śmiercią i nieszczęściem. Wkrótce jednak oswoiła się z obustronnem niebezpieczeństwem: drażliwej roli i odpowiedzialnej pracy; przywykli do możliwości wszelkich wybuchów, zapanował między nimi swobodny nastrój dobrze zżytych towarzyszy.

Przyzwyczała się mówić do niego po imieniu, słysząc w jego ustach zdrobniałe: Maryś. Widywać go z obnażonymi po łokcie rękami, obnażać, gdy wypadło, w ten sam sposób swoje.

Czasami tylko zakradało się w jej duszę pewne onieśmienie, gdy pod wieczór, kiedy lampę było palić za wcześnie, pracować zapóźno — rozmowa mimowoli odbiegała od bieżących kwestji i przemieniała się w cichą, chaotyczną gawędę o rzeczach błahych, czysto osobistych, o przygodach z dzieciństwa, o porzuconych domów tęsknocie, o naiwnych troskach i pomysłach wczesnej młodości.

Opłynięta mrokiem, zapatrzona w gasnące na liljowym zachodzie łuny, na zbierające się w seledynowych polach perłowe obłoki, na siny aksamit majacego lasu, z tkliwym wzruszeniem wsluchiwała się w melodję jego głosu, nie troszcząc się o znaczenie wyrazów.

W chwilach owych, zdjęci melancholją, nieraz milki oboje, i wtedy Marja doznawała uczucia popłochu i niepokoju z powodu tego sam na sam. Starła się mówić cokolwiek, i tukało się jej zamierające serce—gdy Henryk zaczynał odpowiadać jakimś głosem głuchym, nieswoim, jakby idącym z nieznannej ciemności. Czuła, że w dźwiękach jego mowy zaczyna nabrzmiewać niezwykle, hamowany widocznym wysiłkiem woli, wibrujący ton, od którego zaczynają jej drżeć lekko ręce i szybciej falować słodko przerażone piersi. Zapalała szybko lampę, rzucała się

do przyrządzania herbaty, do tematów, związanych ze sprawą—i wszystko miało pozornie bez śladu. Czasu do zastanowienia się nad sobą ubywało z dniem każdym.

Zapotrzebowania rosły. Henryk nie mógł sam nastarczyć, musiała się i Marja zabrać do roboty.

Szybko posiadała wszelkie sekrety, a że zręczna była w rękę, wkrótce mogła iść o lepsze ze swym nauczycielem, i w ten sposób rozpoczęło się między nimi pozbawione wszelkiej zazdrości współzawodnictwo, wesółta emulacja, podniecający stan ustawicznego żartobliwego boju. Tok tej walki oraz sam rodzaj zajęć wprowadził w usposobienie Marji nowy pierwiastek ryzykownej śmiałości. W nastroju tym bezwiedna jej kokieterja przeobrażała się w wyzywającą niemal zalotność, otwarcie podążającą fiołkami rozigranych oczu w jego jaśniejące zachwytem, mężne źrenice; radość życia przybierała chwilami postać szalonej pustoty, wrodzona żywość przeistaczała się prawie w organiczną potrzebę tańca, szybkich, polotnych ruchów, mocnego, fizycznego wysiłku, wyścigów, gonitwy we dwoje.

I nieraz, gdy słońce jaskrawiej przedarło się przez sztory ich pracowni, jakby na komendę zostawiali wszystko i biegli w las, gdzie oczy poniosą, siłowali się, bombardowali szyszkami, strzelali do celu, biegali do mety i, rozgrzani, z pękami zieleni i kwiatów wracali do warsztatu, tłumacząc sobie, iż konspiracja wobec ludzi wymaga takich bajecznych wycieczek.

Potem ze zdwojoną gorliwością zabierali się do pracy, przy której trzeba było trzymać wszystkie zmysły na straży, być uważnym i serjo.

Wyczerpani długotrwałem natężeniem czujności, nieraz o schyłku dnia chodzili wytchnąć nad rzekę.

Cicha była pod wieczór, szeroko rozlana, z płowemi łachami piasku koloru lwiej skóry. Pienistą żyłką od

płytkich płaszczyzn odrywał się jej kręty wart, co, zmacony wirami, płynął i płynął bez końca. Siedząc na belce, patrzyli oboje w ten nieustannie dążący gdzieś nurt, wstuchiwali się w jego szmer, w zagadkowe szelesty, w łagodny płask wody, w szepty gry fal. Było im dobrze tak razem, trochę może smutno, ale cicho i atalnie — godziny spływały nieznacznie, sereca kołysały się powolnie, jak toń — piersi oddychały lekko, jak lotne mgły. Liczyli gwiazdy na niebie, odbicia ich w rzece i czuli, że piękny jest świat.

Zamarzenie przerywał im niejednokrotnie nadlatujący z ciemności, z oba brzegów, chóralny śpiew. Wstrząśnięci pieśnią, chwytali się z ognistym dreszczem za ręce, szepejąc: słyszycie! i zdawało im się, że te potężne strofy biją z wody i z łądu, z kolebek i z mogił, z lasów, z łąk i z pól, że cała ziemia to śpiewa, a gdy śpiewa cała — to jest już cała samodzielna i własna...

Uroczysta pieśń gaśła, a oni się ciągle ściskali za ręce, jakby zdjęci zachwyceniem. Marja z tych wycieczek wracała z zamrozoną głową, tajemnie szczęśliwa, roztkliwiona i zasypiała słodko, jak w upojeniu, ze ślicznymi melodyjnymi snami o wodzie, o gwiazdach, o pieśni i tem dziwnem jak czarodziejstwo życiu we dwoje.

Tak im minęło około dwóch miesięcy, gdy nagle wskutek alarmujących wieści wypadło pośpiesznie wyjeżdżać, na pierwszej węzłowej stacji rozstać się bez słowa pożegnania, bez wymiany spojrzeń, jak obcy z obcym, z uczuciem popłochu i gorzkim wrażeniem pogromu.

Marja, wyrzucona za kordon, na emigracji, jak wszyscy pogorzelcy, co byli w ogniu, przeżyła swój okres apatii, dłuższy moment owego tępego zdumienia, jakim sposobem wszystko mogło się zwalić odrazu pod ziemię, jak miraż rozwiać, jak piasek rozsypać.

Przemiana była tak gwałtowna i czasami wszystkie własne przeżycia, czyny, widziane zdarzenia zdawały się czemś irrealnym, nieprawdopodobnym, maligną, widziadłem złudnych snów.

I z przerażającą szybkością płwowały w pamięci świeżo minione wypadki, gasły rozrzucone uczucia—przeszłość odsuwała się w niezmierną, zawleczoną gęstym tumanem dal.

Wysychały głębiny duszy, płomień serca, jak po pożodze, zamieniały się w zastygłe zgliszcza, ucichał bunt, i z niemem poddaniem się wyrokowi losu Marja wdrażała się w normalny, leniwy tok dawnego życia, w fortepianowe gamy, w „*dukanie*“ lekcji i nudne familijne z ciastkami herbatki. Dochodzące echa z opuszczonych placówek, spotykane w postaci kronikarskich wzmianek po pismach, w urzędowych relacjach przyjezdnych, wydawały jej się czemś tak nikłym, jak światło robaczka świętojańskiego wobec pożaru lasu.

Dowiedziawszy się, że Henryk pozostał w kraju, zrobiła uwagę: uparty! i jakiś mniej ważny szczegół ich współżycia zatulał się w jej pamięci.

Wyczytawszy w liście aresztowanych jego nazwisko, szkoda! szepnęła i doświadczyła pragnienia czegoś się o nim dowiedzieć, ale około osoby Henryka zrobiła się cisza.

— Siedzi! — brzmiały lakoniczne odpowiedzi na zapytania.

Henryk ciągle siedział—za to w jego sprawie ruszały się obficie kancelaryjne papiery, zdążając systematycznie choć wolno do wytkniętego celu.

Wreszcie wśród wiadomości bieżących, o przejechaniach, kradzieżach i kabaretach, znalazła wzmiankę o rozprawie sądowej i wyroku.



W dwa dni dopełnienie: wyrok wykonano! Marja wyczytała to wszystko ze ściśniętem sercem, ze szczerem zmartwieniem i współczuciem, ale jakimś niekompletnem, podobnem do tego surrogatu bólu, jaki odczuwamy wobec tragicznych losów powieściowego bohatera, podrywanego poczuciem iluzji wzruszenia, które szybko mija, gdy się zamknie książkę.

I księga żalu Marji po Henryku zdawała się być na dobre klamry zamknięta, gdy oto nagle otrzymała chrześtny jego krzyżyk. Ten widzialny, wzruszający przedmiot, materialny znak z zagrobu, podziałał jak wstrząśnienie. Zadrżała w posadach dusza, rozpękła się nawianych śmieci skorupa i wszystko, jak żywe, jęło się wydierać na powierzchnię pamięci. W rozdartem szponami boleści sercu Marja ujrzała jego wizerunek, wybity na wieki gorejącym stemplem miłości, która wybuchła gwałtownym płomieniem i zaczęła szaleć w jej duszy.

— O Jezu, Jezu—powtarzała w głos, ściskając pulsujące skronie...

— O Jezu!—porwała się z miejsca, zatoczyła się, upadła na kolana i, weiskając twarz w poduszkę, zaczęła jęczeć cicho, żałośnie, szarpać suknię i łkać.

Nie mogła zrozumieć, że minęła się ze szczęściem bezpowrotnie, zdawało jej się, że posiada władzę to wszystko jeszcze odmienić, naprawić, rzucić mu się w ramiona, wyważyć cienką ścianę przepierzenia, za którą leżał przy niej w owe czarujące noce, tak blizki, że słyszała każde westchnienie, bicie serca, szumiącą, bujną krew.

Miłosne słowa, pieszczotliwe wyrazy zaczęły się plątać na jej ustach z jego imieniem. Dreszcze rozkoszy potraçały się z dreszczami rozpacz, i biły się z sobą w jej mózgu, w jej ciele, szarpały w nerwach, rozdierały w sercu. Chwilami porywała ją nawskroś świadomość okrutnego żalu, że odszedł bez pocatunku, iż suche zam-

knęły się czerwone jego usta na wieki, puste obwisły mone ręce, że w zimnej ziemi leży smakły, piękny, nieakochany. To znów widziało się, że go może podnieść z pod piasku... położy na jędrnych swych piersiach, ocuci pie-szczotą, oplecie w ramiona i da spocząć na sobie, jak na kwietnem wezgłowiu, w słodkiem upojeniu.

— Potężne twe uściski, uparty, śliczny, gwałtowny, płomienny, mój, mój—szepiała jak w obłądnie i zawracała się, jak pijana jej głowa—a potem raptem rzucała się na podłogę i, chwycona kołem tortury, biła głową o mur.

— Gdzie jesteś?!—krzyczała zduszonym szepem. Jakiem prawem?—buntowała się bezsilnie. Oddajcie ciało—prosiła.

— On mój, on mój! wołała w ciemność i, rozjuszona bezlitosnem milezieniem—miotła w jawiące się jej brutalne twarze dzikie przekleństwa, niewiadomo gdzie poznane obelgi—głosem schrypniętym, spienionemi krwią, skąsanemi z wściekłości wargami.

— Oddajcie list! — Co w liście?—zastanowiła się, jak nad otchłanią, i obłąkanym wzrokiem, wysilając wszystkie zmysły, wpatrywała się w wyobrażenie jego pisma, w czar-ne, wijące się jak żmije litery, w dziwaczne zygzaki, w ruchome jak roje robactwa punkty, aż wszystko zawirowało w jej czaszce, rozlało się w wielką mętną plamę, w kałużę krwi,—w którą upadła bez zmysłów.

Leżała długo na wznak, wyciągnięta, ze wzburzonymi, jak wrzący bursztyn włosami, w rozdartym, poszarpanym staniku, z rozdętą jakby wybuchami płaczu szyją i z rozrzuconemi piersiami.

Przeciągnęła się leniwie, omdlały uśmiech rozchylił jak kielich maku skrwawione wargi, dreszcz przebiegł po ciele, błysnęły sznaruki drobnych zębów, śniła, że leży przy nim, ustami na ustach... a tymczasem już się ocknęła przytomność,

budził się potwór rzeczywistości, wżerał echiwie rodzącą się rozkosz, owijał jej serce mackami nieludzkiej boleści, wysysając ustami ostatnie resztki złudzenia.

Marja ścisnęła do łez ukłute jak igłami powieki, zawarła zęby, zmarszczyła czoło i leżała, jak skatowana na śmierć, bez ruchu.

Niema! zabili — zakołatało w jej głowie głośno i dobitnie.

Zabili! — powtórzyła ustami w głos i zastanowiła się nad piekłem tego wyrazu zapamiętała, mocno i silnie. Długo mierzyła od końca do końca obszar tego wszystkiego, co zaszło, ważyła ciężar uważnie, sumiennie; zaczęła się wreszcie dźwigać i, wspierając się rękami o mur, szukając nogami umykającej podłogi, podniosła się, stanęła sztywno i popatrzyła w pozieleniałe od świtu szyby zamgloną żrenicą.

Wprost niej rysowały się ostro, jak wyrzeżane, szczerbate, dzikie turnie, srogie zwaliska głazów, poryte żlebammi piargów, poszarpane, spiętrzone jak po trzęsieniu ziemi, ramowiska niby, jej własne okamieniałe ruiny uczucia. Błada, jak gips, wpijała się posępnie, badawczym spojrzeniem w potrzaskane urwiska.

Odarte, zazębione wirchy zapalały się różową pozłotą; wyżej w liljowej głębinie tonęła wygasła gwiazda. Było cicho, bezwietrznie, i tylko jakiś jędrny dreszcz, spokojny i chłodny, jak chrzest zbroi legendarnych rycerzy, szedł od ponurych, zjeżonych, ogromnych gór.

Marja, roztrąciwszy okno, wciągała drgającymi nozdrzami w zgorzałe piersi zimne i czyste, jak kryształ, powietrze.

Oddychała długo gwałtownie, aż wypieki życia wróciły na pobielące policzki. Sfałdowała czoło, wstrząsnęła głową, jakby pragnąc strącić ostatnie szczątki zastygłych na długich rzęsach łez.

Machinalnie ręką szukała po stole i, namacawszy palcami krzyżyk, przycisnęła go silnie do ust, a potem, mężnie wyprostowana, z rozwichrzonymi włosami, półnaga, podobna do zbantowanej walkirji, podniosła groźnie ostatnią po nim pamiątkę ku granitowym szczytom i na ich nieskruszoną moc i wiecznotrwałą potęgę symbolu męczeństwa zaczęła składać sama przed sobą straszliwe, niezłomne przysięgi.

I serce dziewczyny w tej chwili jakby się rozpadło na dwie części, by jedną kochać zawzięcie, drugą nienawidzić śmiertelnie.





SAVITRI.

Brunhilda.

**KRAJOBRAZ:** bajeczna Islandja. Fjord skalisty. Na widokręgu półkole gór, w pobliżu brzegu kilka dymiących wulkanów. Zbocza wulkanów opływają zastygłe, zielonawe potoki obsydjanu. Na wierzchołkach gór mienią się przejrzystym, czarodziejskim, seledynowym światłem lodowce. Gdzieś wystrzelają wżwyż kryształowe lub matowe od pary kolumny gejzerów i ze wspaniałych, opadających łukowato wytrysków tworzą korony niby szklanych drzew. Z kotlin wydobywają się kłęby pary i układają w apiorne postacie, jakby zaklęciem wróżek wywołane. Nad fjordem wznosi się wizyjny zamek z czarnego bazaltu, o smukłych wieżycach, otoczony murem z czerwonego porfiru.

Na blankach muru stoi BRUNHILDA, w hełmie i pancerzu, w zarzuconym na ramię płaszczu ze skóry białego niedźwiedzia, po którym splywa falistą smugą nieprzebrane bogactwo ciemnych włosów.

Spojrzenia oczu czarnych nieprzeniknionym mrokiem snów błędzą nad fjordem, lecą z białymi mewami w nieogarnioną oceanu.

Na niebie czarne, groźne chmury.

We fjordzie ukazuje się czarodziejska łódź, kształtu łabędzia. Z niej wysiada ZYGFRYD w czapce niewidce Alberycha.

Podziemne grzmoty. Gejzery tryskają pienistemi kitami. Wulkany wyrzucają z kraterów krwawe pióropusze lawy, i dzika scenerja rozświetla się ognistemi łunami.

BRUNHILDA podnosi oszczep, kreśli nim w powietrzu tajemnicze rany i wypowiada zaklęcie. Wulkany cichną.

ZYGFRYD zbliża się ku marom niewidzialny.

BRUNHILDA wstrząsa się z dziwnem przeczuciem i staje wyprostowana, mocna, jakby w oczekiwaniu.

Wicher rozwiewa jej włosy... z czarnej bazaltowej wieżycy zrywa się wianek białych mew i zawisa jej nad głową.

Krwawe łuny zwolna zamierają w oddali...

Cały przestwór wypełnia niewymowna tęsknota, wybiega poza śnieżną linję lodowców, skronie na nich kładzie i lka...

BRUNHILDA w dzikim porywie wyciąga dłoń ku niedościgłej oddali i rzuca w nią śpiew:

Patrz, ze mnie baha  
i czar, i moc!

Ja czekam słońca  
w bezgwiezdną noc!

Ja czekam słońca,  
i lka mój śpiew

nad oceanem  
z okrzykiem mew.

Olbrzymka ja — nieznanne objawienia  
spią w piersi mej, przedziwne a zakłete,  
dość rozkuć czar, a w mglistych snów tajemicy  
odnajdę cud — zbawienia słowo święte,  
i wieleć w pieśń, potężną, jak orkany,  
i w mroków głąb poniosę słowo wieszce,  
niech brzmi, niech gra, niech z omdleń męki budzi,  
niech rzuca w pierś szczęśliwych przeczać dreszcze!  
Poniosę w świat wulkanów mych zarzewia,  
poniosę w świat pragnienia me szalone,  
i tehnę je w was — i moc w was rozplomienię!  
Niech wasze sny, niesyte, przemęczone,

łkające w was napróżno wieki, wieki,  
w godowy dzień girlandą ciał się staną!  
Poniosę w świat niezłomnych pragnień siłę,  
poniosę w świat dokonań pieśń zorzaną!

Patrz, ze mnie bucha,  
i moc, i czar!  
Ma wola gasi  
wulkanów żar!  
Lecz tylko władza  
zwycięskich rąk  
w kwiat cudotwórczy  
otworzy pęk!

Przemija czas — w oddali mkną korabie,  
lodowców gwałt wciąż rzeźbi górskie garby,  
a niema go — pogromcy ciemnej siły...  
Natury miecz i Nibelungów skarby,  
i wiedzy klucz w zwycięskim posiadł boju...  
Nie straszne mu otęplenie i topiele —  
wicher nosi go — nie straszny miecz dlań wroga,  
bo smocza krew pancierzem mu na ciele.  
Chcę uczuć cios przeznaczeń z twojej dłoni,  
chcę ze snu wstać w młodzieńczych sił rozkwicie,  
i pójść na bój z ciemnością i otęplenią,  
i z ciasnych pęt spragnione rozkuć życie!  
Daj słońca mnie — ja nie znam jeszcze słońca!  
Ja słońca blask poniosę w sny sierocę,  
i dłoni twej, zniszczeniem dotąd silnej,  
dam twórczą moc — odrodzeń dziwne moce!

Patrz, ze mnie bucha  
i czar, i moc!  
Ja czekam słońca  
w bezgwiezdną noc!

Chcę wznieść ołtarze  
dla nowych wiar!  
A w świat poniosę  
wulkanów żar!

ZYGFRYD w zamysleniu zaczyna postępować ku brzegowi. Za nim jeszcze raz zrywa się głos:

Patrz, ze mnie bucha  
I czar, i moc!

i rozbija się w echach o lodowe krawędzie i omszone turnice.

Na widnokręga dogasa luna...

ZYGFRYD odpływa w łodzi łabędziej...

Z czarnych kraterów ukazaje się PRZEZNACZENIE, olbrzymiemi ramionami obejmuje widnokrąg i kładzie głowę pośrodku. Milczenie złowrogie, kamienne.

## II.

LAS. Ścieżyną wśród kolamnady sosen cicho jedzie ZYGFRYD, puściwszy cugle koniowi.

Nieachwytnie się chwieją pierzaste paprocie...

Z konwalji i liljowych dzwonek wyglądają elfy.

## SZUM SOSEN.

Gdzieś jest zamek: Ból-Mocarz w nim włada—  
trza go zwalić przez znój, liczne szturmy,  
wytężenie niehumanne i krwawe.  
Nawołują, wołają w bój surmy...



Leez, by zniszczyć przemożny czar bólu,  
nie podnoszą się wojów ramiona,  
bo gdy pan tysiącebarwnej wielości,  
pan rozdziału — wszechwładny ból — skona,

zniknie piękno przeładne a mroczne,  
które łamie i gnie, lecz przetwarza,  
znikną męczeństw olbrzymie posągi,  
kute dłonią Wielkiego Rzeźbiarza.

Więc o wschodzie obudzić się nie chce  
księżycowa kraina zaśniona,  
i na zamek omszony i stary  
nie podnoszą się wojów ramiona!

Baśń odwieczna w głębokich poszumach  
nam na grubych konarach zawisa,  
głosząc: sen jest silniejszy, niż jawa,  
i silniejszą jest myśl, niżli spisa!

## SZELEST PAPROCI.

Tęsknoty niewymowne,  
tęsknoty nieuchwytnie  
w dal wiodły twoje myśli  
i kroki twe wędrownie.

Wołały cię w oddale  
melodją słodkobrzmiącą,  
gdzieś we mgłach ukazując  
nieistniejące Graale.

Z twardego świata zdarzeń  
 ty rwałeś się za niemi  
 tam, gdzie się zgrzyt dokonał  
 nie wplata w hymn zamarzeń.

I po co ster i wiosła?  
 Niech cię na śpiewnej fali  
 kołysze druh-tęsknota,  
 co z tobą tak się zrosła

i cichą swą żalobą  
 oprzędła cię, oplotła,  
 jak tkanki pajęczynne —  
 tęsknota twa jest tobą!

#### WONNY SZEPT KONWALJI.

Nam przystraja śnieżne czary przecudowna wiosny krasa,  
 która w żarach dojrzewania niknie, więdnie i ugasa.

Gdy owocu upragnienie zerwie szaty nasze białe,  
 pozostaną w mgłach jesieni źdźbła bezlistne i zezerniałe,

Więcej piękna i potęgi jest w czekaniu, niż w rozkwicie.  
 i najbujniej, najradośniej... w świeżych pąkach tętni życie!

#### DZWONIENIE DZWONKÓW.

Aby łódź zbudować z drzewa,  
 maszą zwalić je topory,  
 ogołocić z liści, kory,  
 rozwiać szum, co gra i śpiewa.  
 Dokonanie każde niszczy,  
 każdy gmach powstaje z zgliszczy,  
 w narodzinach każdego skon!

Piękno myśli bezimienne,  
gdy je porwie zjawisk fala,  
wnet się zaćmi i pokala:  
ciał nie pragną wizje senne.  
Nie odradza świata bitwa,  
lecz ku pięknu twa modlitwa —  
każdą myśl zuboża czyn!

## CHÓR ELFÓW.

Z tych kielichów kwietnych,  
domków naszych miast,  
wychodzimy tańczyć  
w migotaniu gwiazd.

Cicho gra nam rosy  
spadającej szmer,  
wtórząc korowodom  
czarodziejskich gier.

W napowietrznych szlakach,  
w labiryntach meków,  
tkamy nić pajęczą  
cichych, srebrnych snów.

Drży w powietrzu, dzwoni  
księżycowy tren...  
Nasze życie całe  
jest jak jeden sen.

Nas od burzy chronią  
drzew odwiecznych pnie...

Wij, się wij bez końca,  
cichy, srebrny śnie!

ZYGFRYD przejeżdża zamyślony wśród symfonii lasu.

III.

SKRAJ LASU. Gotycka kaplica, ocieniona dębami, wzdycha ku błękitom ostrołukami i koronkowemi wieżyczkami. Nieopodal studnia z kamiennem ocembrowaniem, nad którym irysy pochylają ku wodzie swe wytworne, fioletowe płatki.

Na kamiennej ławeczce przy studni siedzi KRYMHILDA, w sukni z ciężkiego białego brokatu, i haftuje kosztowną tkaninę.

Podłużne, delikatne jej dłonie opadają beczynnje na kolana. ZADUMA wypływa z lasu i rzuca na nią przejrzysty welon. ZYGFRYD ukazuje się z głębi lasu, pozdrawia ją, podnosząc przyłbicę i zeskakuje z konia.

ZYGFRYD.

Jako wizję cudowną, rozwiewną,  
na mej drodze cię witam, królewno!  
Wybacz, piękna, żądnemu ochłody,  
że na chwilę zamącić chce wody  
i twych damań przeczystych krynicę.

KRYMHILDA.

Bądź pozdrowion i pij!

ZYGFRYD.

Zapytuję nieśmiało  
aksamitne twe czarne źrenice,  
czy pozwolą mi spocząć tu w cieniu,  
na odwiecznym, omszonym kamieniu?

KRYMHILDA.

Zawsze spocząć tu mogą wędrowce.

ZYGFRYD.

Tam w kaplicy grobowce,  
ty wśród lasu pogwaru, poszuma,  
zastuchana w melodję tajemną,  
bez nikogo...

KRYMHILDA.

Samotność jest ze mną.

ZYGFRYD.

W boru baśń powiadały mi jodły,  
i konwalji kieliszek misterny  
dzwonił, grał — a ścieżyny mnie wiodły  
do twej czystej, kryształnej cysterny...  
Ukazałaś się mnie w tej astroni,  
jako lasu świeżego wcielenie,  
barw pełnego, i blasków, i woni,  
i spłynęła w myśl, rwącą się w walec,  
twa harmonija i twe ukojenie...

Jak kunsztownie haftują twe palce  
arabeski, i kształty, i wzory,  
jaśniejące cudnymi kolory.  
Ta obrazów skarbnica bogata  
skąd wysnuta — ze siebie, ze świata?

KRYMHILDA.

Ja zbieram nici pajęczce,  
łzy rośne, i mgły, i tęcze,

różanych pąków karminy,  
i jasnych łak seledyny,  
odblaski na głębi wodnej,  
i lazur ciszy pogodnej,  
radosne słońca promienie,  
i szare zmierzchy i cienie,  
księżycą bladą poświatę,  
i chmurek biele łabędzie,  
i niemi barwieć makatę.  
Niemi ze srebra i złota  
wyszywa moja tęsknota  
to, czego nigdy nie było,  
i czego nigdy nie będzie.

ZYGFRYD.

Te obrazy, stworzone snu siłą,  
gdzie zawieszasz?

KRYMHILDA.

Tam, w gotyckim tamie,  
gdzie na barwnych witrażach anioły  
niosą w dłoniach liljowe kielichy,  
gdzie zawodzi organów śpiew cichy.  
W rozmodleniu, zaśnieniu, zadumie,  
ja tam długie przebywam godziny.

ZYGFRYD.

W rozmodleniu, zaśnieniu, zadumie,  
upłynęło mi życie pielgrzymie.  
Mnie jawiły się zwinne marzenia,  
lecz nie wywiódł ich kształt, ani imię  
z zaklętego królestwa mileczenia.  
Zabijałem potwory na drodze,

lecz czyniły to tylko ramiona;  
myśl szła w dal, gdzie w błękitnej śręczodze  
coraz nowe turnice się piętrzą,  
i z tym smokiem, co gdzieś w mojej głębi  
łuskowatym kadłubem się kłębi,  
prowadziłem wciąż walkę najświętszą.  
Nie w materji rzeźbiłem me dzieło:  
we mnie skończy się tak, jak poczęło,  
niepotrzebne, jak wszystko, co piękne.  
Z nieuchwytnej, pajęczej osnowy  
ja zbuduję nasz gród djamentowy,  
i ten gród tylko tobie odemknę!

## KRYMHILDA.

Zbudujemy nasz gród djamentowy,  
niepotrzebny, jak wszystko, co piękne!

Z pogwarem lasu szemrze dalej bezsłowna rozmowa.  
Drogą przechodzi żebrak w łachmanach. Nie śmiejąc się zbliżyć, wyciąga rękę z oddali. Po krótkiej chwili odchodzi zmęczonym krokiem — niepostrzeżony.

## IV.

Zamkowa komnata o wysokim ostrołukowym sklepieniu. Przez otwarte okno widać daleko winnice i siniejące bory, między nimi gdzieniegdzie wzgórze, awieńczone zamkami. Baszty czystymi linjami zarysowują się w niebieskim powietrzu. W dole przepływa Ren i połyskliwą smagą rzuca się w dal, między winnice.

Na rzeźbionem, dębowem krześle siedzi przy oknie GUNTER, wsparłszy głowę na rękach. Opodal, przy filarze, SKALD.

GUNTER.

Cicho płaszcą, cicho płaczą białopienne fale Renu,  
i nieukój ciężki płacze w każdym krwi burzliwej tętnie...  
Śpiewaj, Skaldzie! śnić chcę znowu, śnić boleśnie, bez-  
[pamiętnie.

Pieśń mi śpiewaj i tęsknotę kołysz rytmem jej refrenu!

PIEŚŃ SKALDA.

Ja, pieśniarz, umieram mej pieśni szaleństwem,  
pieśń żyje krwią moją, zabija męczeństwem,  
i we dzień, i w noc oblega swem graniem,  
choć wołam z rozpaczą, choć wołam ze łkaniem:  
Zamilezcie, o struny przeklęte!

I we mnie wgrywają niewidne te struny  
szalonych, bezbrzeżnych pożądań pioruny,  
aż wola omdlewa w płomiennym ich wiehrze...  
wgrywają tęsknoty przesmatne, najcięższe...  
Zamilezcie, o struny przeklęte!

I łudzą, i nęcą nieziemską rozkoszą,  
co ziścić się nie da — i w dal mnie unoszą,  
przez przeczać tajemnych, przez tęsknot mych kiry  
wskazują mi postać Brunhildy - walkiry...  
Zamilezcie, o struny przeklęte!

Już z twarzą, z miłości i śmierci pobladła,  
sta mężnych rycerzy pod mieczem jej padła,  
szli w bój z nią, bo temu, kto dumną pokona,  
otworzy walkira łabędzie ramiona...  
Zamilezcie, o struny przeklęte!



I tego przesłodka ramiona oplotą,  
bezdenną, ognistą, wichrową pieszczotą,  
przepalą i wstrząsną potężnym orkanem,  
upoją czemś wiecznem, przeczutem, nieznanem...

Zamilezcie, o struny przeklęte!

A ciemne jej włosy świat nędzy przesłonią,  
a ona mu gwiazdy zapali nad skronią,  
w rozkoszy i męce, straszliwa i święta,  
w ramiona mu spłynie i czyn w nim rozpęta.

Zamilezcie, o struny przeklęte!

A kto ją chce awieźć na swoim okręcie,  
znać musi potęgi nadludzkiej zakłęcie,  
kto nie zna zakłęcia, niech miecza nie ima,  
bo czeka do walki olbrzymka — olbrzymia.

Zamilezcie, o struny przeklęte!

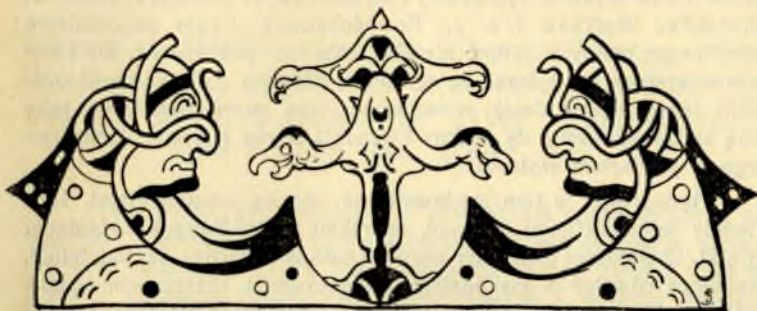
I dzwonią mi struny, i w pieśni obłądziej  
przeżywam to, czego przynigdy nie będzie...  
Pieśń we dnie i w nocy oblega mnie graniem,  
choć wołam z rozpaczą, choć wołam ze łkaniem:

Zamilezcie, o struny przeklęte!

Gunter porywa się z miejsca, chwyta gęśl Skalda i łamie ją  
ze łkaniem:

Zamilezcie, o struny przeklęte!

*(Ciąg dalszy nastąpi).*



## Przeglądy i Sprawozdania.

**Wiek XIX.** Sto lat myśli Polskiej. Życiorysy, streszczenia i wyjątki pod redakcją Bronisława Chlebowskiego, Ignacego Chrzanowskiego, Henryka Gallego, Gabryela Korbutta, Stanisława Krzemińskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. Gebethner i Spółka, 1909.

„Sto lat myśli polskiej“ ukazał się tom V. Jest więc nadzieja, że to niesłychanie użyteczne wydawnictwo nie ustanie, jak wiele innych, lecz będzie doprowadzone do końca. Kto był inicjatorem i organizatorem „Sto lat myśli polskiej“? Czy firma księgarska, czy który z literatów? nie wiem dokładnie. Faktem jest jednak, że jeżeli pomysł wydawnictwa zrodził się w szczęśliwej chwili, to wcielenie tego pomysłu w czyn nie pozostawia nic do życzenia.

„Sto lat myśli polskiej“ możnaby nazwać „Historją literatury ojczyznej XIX wieku“, ale napisaną nie przez jednego człowieka, lecz przez grono wytrawnych specjalistów. Jeżeli wskutek tego szwankuje nieco z konieczności strona syntetyczna dzieła, jako całości, to brak ten okupiony jest lichwiarskim procentem dokładnością i sumiennością, a niekiedy i pięknnością poszczególnych opracowań.

„Sto lat myśli polskiej“ jest to historia umysłowości polskiej, przedstawiona w monografiach. Nie zapomniano tam o niczem. Obok

poetów i belletrystów, spotykamy charakterystyki uczonych filozofów, historyków, krytyków i t. p. Powydobywano z pyłu zapomnienia wiele rzeczy cennych, które nietylko szersza publiczność, ale i zawodowi krytycy znali dotąd ze słyszenia. Słowem „Sto lat myśli polskiej“, jeżeli będzie dalej prowadzone taką samą metodą i z taką samą skrupulatnością, da wierny i wypukły obraz rozwoju ducha naszego w przeszłym stuleciu.

Monografie w tem wydawnictwie nie są kompilacjami, lecz zupełnie samodzielnymi pracami, opartymi na źródłowych badaniach. Wyjątki, ilustrujące charakter każdego autora, wybrane są umiejętnie, i świadczą również o doskonałym przygotowaniu krytycznym redaktorów i współpracowników wydawnictwa. Nie są to sklezione mechanicznie „wypisy“, lecz dobrze obmyślona i związana za pomocą streszczeń i komentarzy całość organiczna.

Czuć, że redaktorzy i współpracownicy, których nazwiska wymieniłem w nagłówku, pracują ze szczerem umiłowaniem przedmiotu, że chcą stworzyć wydawnictwo pomnikowe, że dobrowolnie i świadomie podporządkowują swoje osobiste względy idei wyższej, którą ukochali.

O kwalifikacjach naukowo-krytycznych redaktorów świadczą ich nazwiska, z którymi łączy się wspomnienie wielu cennych prac z dziedziny krytyki i historii literatury.

Tom I zaczyna się monografią Staszica; tom V zawiera już charakterystyki Goszczyńskiego, Zaleskiego, Krasińskiego, Cieszkowskiego i Gaszyńskiego. Analizę poszczególnych monografii zostawiamy na później; dodamy tu tylko, że obok krytyk, wyjątków, streszczeń, uwzględniono w wydawnictwie szeroko bibliografię, dotyczącą każdego autora.

Zbiorowa ta a tak rzetelnie i uczciwie zrobiona praca powinna się znaleźć w każdym domu polskim, bo przyda się ona nietylko niespecjalistom, pragnącym zapoznać się z dziejami piśmiennictwa ojczystego, nietylko uczącej się w szkołach młodzieży, ale i pedagogom oraz krytykom.

*Ignacy Matuszewski.*

**Bossuet i Fénelon.** Studjum. Napisał Maurycy Michał Paciorkiewicz. („Biblioteka dzieł chrześcijańskich“ pod redakcją ks. Z. Chełmickiego, z. 93). Warszawa, Gebethner i Wolff, 1908, w 8-cc, str. 179).

Nie trzeba być teologiem z zawodu, ani nawet głęboko wierzącym chrześcijaninem, ażeby przeczytać z wzrastającym zaciekawieniem książkę p. M. M. Paciorkiewicza. W tej paraleli dwu wybitnych kapłanów, kaznodziei, wychowawców i wielkich myślicieli wieku Ludwika XIV poruszono tyle doniosłych zagadnień wiary, nauki i sztuki, tyle faktów i wniosków wiąże się ze spostrzeżeniami naszego życia chwili obecnej, że można być tylko wdzięcznym autorowi i wydawcy za książkę, którą paścili w obieg. Książka robi wrażenie rzeczy, napisanej przez osobę duchowną, tyle w niej gorącej wiary, tyle czytania w dziełach teologicznych, tyle przejęcia się nimi. A jednakowoż pisze to wszystko autor świecki (jak o tem wnosić można z pewnego zwrotu na str. 140). Podniętę do zajęcia się tym tematem p. P. znalazł w wykładach prof. Wiktora Giraud, których słuchał w uniwersytecie we Fryburgu (szwajcarskim). Autor pisał już o tym samym przedmiocie w „Przeglądzie Powszechnym“ z r. 1906; obecnie zaś zestawil i uzupełnił swoje dawniejsze prace w niniejszem studjum. Należy oddać słuszną autorowi, iż przystąpił do pracy z bardzo poważnem przygotowaniem naukowem, a nie była to rzecz łatwa ze względu na ogrom literatury, piętrzącej się wokoło wybranego tematu. Autor, o ile można wnosić z cytów, przestudjował kilkadziesiąt dzieł i rozpraw specjalnych o Bossuecie i Fenelonie i ich wzajemnym stosunku, ale naturalnie jest to tylko część bogatej bibliografji, która zresztą pomnaża się z dnia na dzień świeżemi nabytkami: niemal każdy miesiąc przynosi coś nowego w tym względzie. W chwili, kiedy to piszę, mam właśnie pod ręką ostatnią nowość księgarską, dziełko Dr. M. Cagnac: *Fénelon, études critiques, Paris, 1910*, 12-0, 404. Jest to doskonała synteza tego, co dotychczas osiągnięto w tej dziedzinie, poparta i uzupełniona osobistemi badaniami autora nad tematem, z którego doktoryzował się właśnie przed laty dziesięciu i nad którym nie przestał pracować z zamilowaniem. Dziełko d-ra M. Cagnac stanowi doskonale *pendant* do znanej książki *Lanson'a* o Bossuecie (z r. 1891, w 8-cc, str. 522). Być może, iż powab książki p. P. zachęci niejednego z czytelników

polskich do poznania bliższego rzeczy ze źródeł francuskich; wówczas prace Lanson'a i Cagnac'a okażą się niezbędnymi, zarówno jak piękne studia Rébelliau i Janeta w kolekcji *Les grands écrivains français* (Hachette): pierwszy pisał o Bossuecie (1900), drugi o Fenelonie (1892).

Zastrzegamy się zaraz na wstępie przeciw stanowisku, które p. P. zajął w swej rozprawie: wydaje ono nam się zbyt jednostronnem; patrzy on na wszystko przez pryzmat interesów kościoła katolickiego... Trudno się na to zgodzić w rozprawie, która ostatecznie należy do dziedziny historii literatury i krytyki literackiej... Zresztą zgadzamy się najzupełniej z autorem w jego sympatji dla Bossueta, uznajemy wraz z nim przewagę tego trzeźwego, wysoce obiektywnego umysłu nad czysto subiektywnym, dyletanckim umysłem Fenelona, ale pragnęlibyśmy widzieć w wykładzie p. P. *więcej jeszcze* bezstronności (bezwątpienia, autor stara się być bezstronnym), a dałoby się to względnie łatwo urzeczywistnić: po pierwsze, zrzekając się chęci bronienia i osłaniania Bossueta w błędach i wadach podrzędnych w rzeczach obojętnych; po 2-e, nie ulegając pokusie tłumaczenia niektórych faktów życia Fenelona na jego niekorzyść... Lecz nawet w tej postaci, w jakiej się przedstawia praca p. P., jest ona cennym nabytkiem dla polskiej literatury naukowej, tak skromnej i szczupłej w rzeczach, dotyczących literatury obcych...

Sądzę, iż streszczając piękną książkę p. P. w jej głównych rysach i uzupełniając ją gdzieś tam, oddam czytelnikowi lepszą usługę, aniżeli gdybym zechciał polemizować z autorem o szczegóły mniejszej wagi...

Bardzo słusznie postąpił sobie autor, dając na wstępie, jako tło do swego obrazu, zarys rozwoju idei religijnych we Francji. Szczególny nacisk na tę kwestję kładł zawsze w swoich „krytykach“ i wykładach prof. F. Brunetière; cały zaś szereg monografji w tej materji zawdzięczamy p. Strowskiemu z Bordeaux. Na tem tle dopiero p. P. maluje portrety dwa wielkich pisarzy, Bossueta i Fenelona, biorąc za podstawę do tego kolejno ich życiorysy i dzieła. W obudwu częściach rozważa najprzód (i bardziej wyczerpująco) Bossueta, a następnie (i nieco pobieżniej) Fenelona. Ten układ może być dydaktycznym, ze względu na mniej przygotowanych czytelników, ale traci na nim wypukłość kontrastów, tak charakterystycznych w życiu, nastrojach i poglądach obu kapłanów. My tu przedstawimy rzecz właśnie w takiej transpozycji, oszczędzając w ten sposób czy-

telnikowi powtarzań, których nie mógł uniknąć przy swoim układzie autor.

Za punkt wyjścia do paraleli bierze p. P. różnice środowiska społecznego, z którego pochodzą Bossuet i Fenelon; ten ostatni z możnego (niegdyś) rodu arystokratycznego Salignac'ów de Lamothé-Fénelon, tamten (pierwszy) z zamożnej i inteligentnej burżuazji. Należało jednak położyć nacisk na to, że Fenelon przychodzi na świat i wychowuje się w epoce upadku dawnej świetności rodziny — jest poniekąd *dekadentem* swojego rodu, gdy Bossuet należy do generacji rodziny, prosperującej od wieku, oraz dążącej przez zdolność i zasługi do wyższych stanowisk w społeczeństwie. Pominął też p. P. różnicę epok, na które przypada data urodzenia B. i F. Bossuet jest mniej więcej rówieśnikiem tego dzielnego pokolenia, które wydało: Pascala, M-me de Sévigné, kaznodziei Bourdaloue i Fléchier... wreszcie Boileau i Racin'a (1623 do 1639), Fenelon zaś należy już do drugiej połowy wieku (1651), jako rówieśnik Fontenella, Saint-Pierr'a, Massillon'a, Lesage'a (1657—68), t. j. umysłów, zwiastujących już „wiek 18". Nie liczy się też p. P. z różnicą *rasowych*, dziedzicznych predyspozycji (jakkolwiek zasadę „dziedziczności“ uwzględnił i stosuje mniej szczęśliwie w kilku innych okolicznościach). Otóż z tego stanowiska niezmiernie ciekawą jest różnica między Bossuetem, który jest Burgundczykiem, i Fenelonem, pochodzącym z południowej Francji, z prowincji Guyenne. Mimowolnie nasuwa się zestawienie Fenelona z jego ziomkami, Montaignem i Monteskjuszem, umysły to zmienne, błyskotliwe, typy—dyletantyzmu, gienjalnego zresztą... Ojczyzna Bossueta—Burgundja wydała Buffona, który postawił, zdrowiem, niezmordowaną energją w pracy, pogodą umysłu, pragnącego opanować całość przyrody, zrozumieć jej rozwój, tak przypomina biskupa z Meaux, który właśnie dla historii ludzkości chciał uczynić to, o czem tamten marzył względem przyrody. Jeżeli chodzi o wytrwałność w pracy, w zwalczaniu przeszkód, o poświęcenie się dla idei, dla tego, co uważamy za prawdę, znowu następuje się porównanie Bossueta z encyklopedystą Diderot'em — również synem Burgundji... Nie zwrócił też p. P. uwagi na przedwczesny rozwój umysłowy obu pisarzy: Bossuet kończy swoje studja szkolne w 15 roku życia, Fenelon w 12 roku wstępuje do uniwersytetu w Cahors... Nie należało również pomijać stosunków majątkowych obu młodzieńców: Bossuet ma być zapewniony i pomoc w studjach teologicznych ze strony rodziny zamożnej, w dobrobycie; Fenelon, sierota, na opiece i łasce stryja, walczył z brakiem, zaznał niemało ślad upokorzeń

i tem się tłumaczy jego wrażliwość na nędzę bliźnich... Kiedy jest mowa o spokoju Bossueta, o równowadze, z której nic go wyprowadzić nie zdoła, dobrze było przytoczyć jego zachowanie się, jako dwadziestotrzyletniego młodzieńca podczas obrony tezy doktorskiej wobec prawdziwie niezwykłych okoliczności i krzywdy, którą mu wyznaczono podówczas... Doktorat, którego mu odmówili teologowie Sorbony, drażniący rzekomo w swojej „godności“, przysądził mu sąd po świetnej obronie sprawy przez doktoranta (Cagnac, str. 7). Było to właśnie w r. 1651, tym samym, w którym urodził się Fenelon. Już z tego widać, jak słuszną była uwaga, że B. i F. do różnych należą pokoleń. Tak różni we wszystkim niemal, w jednym zgadzali się ku naszemu zdumieniu: w swojej *nietolerancji* względem inowierców. Zachodzi tu tylko różnica, że nieskazitelnie prawy Bossuet wypowiada się otwarcie i postępuje jawnie, a „subtelny“ Fenelon zachowuje pozorną słodycz w nawracaniu dysydentów, a potajemnie posiłkuje się „ekspedycją karną dragonów“ i przekupstwem osobników wpływowych a chciwych...

Bardzo trafnie p. P. charakteryzuje i ocenia działalność wychowawczą obu kapłanów. Bossuet kształcił delfina, syna Ludwika XIV, Fenelonowi powierzono wychowanie wnuka królewskiego. Żaden z ich uczniów, jak wiadomo, nie wstąpił na tron. Trudno więc sądzić o owocach pracy wychowawczej B. i F. To tylko pewna, że F. zdołał zupełnie opanować swego wychowanka, z natury krnąbrnego i samowolnego, przywiązał go do siebie na całe życie. Bossuet zaś, pomimo wrodzonej dobroci i łagodności ucznia, pomimo całej sumienności, z jaką pracował nad sobą, ażeby sprostać zadaniu nauczania wszystkich przedmiotów swego ucznia, nie osiągnął nic zgola. Książę krwi pozostał nieukiem, obojętnym na wiedzę i dla swego nauczyciela. O sumienności B. świadczą pozostałe notaty i szkice kursów, które przygotowywał. Jako mniej znany szczegół, przytoczyć można okoliczność, że dla zrozumienia stosunku duszy do ciała, Bossuet, już jako wychowawca królewicza, słuchał amyślnie wykładów o „anatomji“, a jego uwagi o budowie i funkcjach mózgu w dziele „*Connaissance de Dieu et de soi-même*“, w rozdz. II „*Du corps VI. Le cerveau et les organes de sens*“, wprost zdumiewają nas swoją bystrością orientacji\*).

\*) Porówn. cytaty prof. Soury w pomnikowym dziele: *Le système nerveux central. Histoire critique... des théories et des doctrines. Paris, 1899, t. I, str. 406.*

Wielką zasługą Fenelona, którą chętnie przyznaje mu p. P., jest uwzględnienie w wychowaniu i kierownictwie duchownem potrzeb kobiety, zrozumienie jej psychiki, należyta ocena jej roli wychowawczej i wpływu na przyszłe pokolenie. Subtelnym odczuciem duszy kobiecej F. zbliża się poniekąd do Racin'a, obadwaj też posiadali w swojej naturze niewątpliwie coś kobiecego. Rozumiał F. potrzebę kształcenia kobiet i wygotował cały plan do tej pracy, plan wysoce postępowy, jak to słusznie podkreśla p. P.; Bossuet w tych zagadnieniach ustępował inteligencją arcybiskupowi w Cambri; dla niego kobieta nie przestała nigdy być zagadkową istotą, kusicielką, której wystrzegać się i którą poskramiać należy... Konserwatywnym legitymistą był też w swoich przekonaniach politycznych Bossuet; Fenelon przeciwnie bronił poglądów względnie liberalnych i postępowych, choć nie demokratycznych. Ta część rozprawy p. P. jest napisana bardzo trzeźwo i przedmiotowo. W kwestji mistycyzmu Fenelona autor zajął stanowisko ortodoksyjne, i to zbyt ciasne: iluż to głęboko wierzących katolików, nawet z pośród duchowieństwa, ujmowało się za Fenelonem, stawało w jego obronie? Nie chodzi tu zresztą o kwietyzm ze stanowiska teologii, lecz o kwietyzm, jako jedną z licznych form *mistycyzmu*, a więc o jeden z zasadniczych objawów duszy ludzkiej, nie tylko w rzeczach wiary, lecz w sztuce, nauce, i wogóle w życiu człowieka. Względną wartość pisarzy i kaznodziei, B. i F., p. P. ocenił właściwie. O stylu ich mówi zbyt ogólnikowo, jeżeli chodzi o ścisłą metodyczną charakterystykę pod tym względem; polecamy świeżą książkę Lanson'a: „L'art de la prose“, str. 98—118, (Paryż, 1909).

W książce, przeznaczonej dla polskiego czytelnika, można było oczekiwać zestawienia B. i F. ze Skargą. Autor zaniechał tego, powodując się może nadmierną skromnością: „znając Bossueta, powiada, nie znam dostatecznie Skargi“... Czytelnik polski, który by zechciał brak ten uzupełnić, ma przed sobą pracę Ignacego Chrzanowskiego p. t. „Kazania Skargi“.

W styczniu 1910 r.

*Karol Appel.*



JAN KLECZYŃSKI.

## VI DOROCZNA.

Szósta doroczna jest nadna.

Jest jeszcze bardziej szara i przeładowana nicością krajobrazów i portretów, niż poprzednia.

Wprawdzie i tutaj błyszczą pierwszorzędne... nazwiska, ale nie dały one dzieł, stojących na wyżynie ich talentów.

Jest więc Chełmoński z dwoma pejzażami, jest Malczewski z tryptykiem „Chrystus w Emaus“, jest Brandt z dużym obrazem z dzikich pól, jest Aksentowicz z kilkoma główkami i Fałat z wielu akwarelami—ale wszystko to w porównaniu z poprzednią działalnością tych mistrzów wydaje się mniej zajmującym.

Naprzykład Chełmońskiego „Na Ukrainie“, obraz, przedstawiający dziewczynę wiejską na tle mglistego zachodu, chociaż posiada prześliczne szczegóły—jak to stado we mgle, rysujące się przezręcznymi sylwetkami, naogół jednak robi wrażenie czegoś przegłazanego i nie tak żywego w barwach, jak dawniej. To samo wszakże nasuwa drugi pejzaż o subtelnych, siwych tonach oddali—choć ten drugi, dzięki oddalom właśnie, posiada coś z uroku dobrych „Chełmońskich“, coś z ich bezpośredniości i cichej zadamy.

Tryptyk Malczewskiego — to dzieło wyjątkowo mało przeładowane figurami, czyste w kompozycji, ale pomimo to nie tłumaczące się jasno z malarskiego punktu widzenia. W środku Chrystus w tęczowej aureoli łamie chleb nad szklanką z winem. Twarz jego wy-

raża mądrość—ale nie posiada siły, ani boskości. Kolor ubogi—tak dalece, że nasawa przypuszczenie, czy nie lepiej by się wyraziła myśl artysty tylko rysunkiem na kartonie i grą światłocienia. Z prawej i lewej strony środkowego obrazu siedzą—jeszcze w odblaskach aureoli Chrystusa — dwaj ubodzy, dzisiejsi, podobni sobie młodzieńcy czy może więźniowie, łamiący chleb. Oto wszystko.

Czy Chrystus ma rozaczać swoją opiekę nad współczesnymi bohaterami, nad temi postaciami katorżników, których tyle namalował artysta? czy to ma być utożsamianie męki odkupienia z dążeniami tych, co również siebie oddają w ofierze ludzkości?

Być może. Ale tego się można tylko domyślać. Nie jest to wypowiedziane barwą ani liniją, ani zdarzeniem namalowanem, ale prostem szaradowem zestawieniem obok siebie trzech obrazów o podobnej treści. Jest to raczej literatura, niż malarstwo. Kto widział „Prawdę“ Goyi, męczoną przez tłum, ten zrozumie, że jednak takie ideowe tematy, takie myśli można odtworzyć czysto malarskimi (rysunkowymi) środkami. Ale na to trzeba posiadać *instynkt dramatyczny*—podobny instynktowi wielkich pisarzy scenicznych. Trzeba stworzyć w wyobraźni odpowiednie wydarzenie, *żywą* scenę, syntetyzującą dany pomysł—trzeba raczej być takim malarzem, który dany pomysł od razu *zobaczy* w jakiejś dramatycznej scenie, któremu idee literackie, abstrakcyjne wcale nie przyjdą do głowy, który myśli obrazami tak, jak ideolog — logiką, twórczością logiczną. Malarz winien posiadać instynkt obrazowości tak, jak Wyspiański posiadał instynkt sceniczności (patrz książkę Adama Grzymały-Siedleckiego: „Cechy i elementy twórczości Wyspiańskiego“).

Malczewski w swoich najsilniejszych dziełach był takim twórcą. Któż nie pamięta jego „Błędnego koła“, gdzie siedzący na drabinie chłopak malarski widzi, jak wokół niego wirują spętani kajdanami katorżnicy w uścisku półnagich kobiet? Tam był obraz—był dramat, wyrażający ideę olbrzymią — wszechświatową. Albo jego „Śmierć“ najpotężniejszy chyba obraz w ostatnich wiekach—śmierć, kładąca blade dłonie na znękaną czoło umierającego pośród dojrzałych pól zboża człowieka? Albo „Tobjasz“, którego Anioł uzdrawia, a ziemia i słońce patrzają na ten cud rozpromienione?

Bywały zresztą wśród obrazów Malczewskiego dzieła o scenach dziwnych, jak ci katorżnicy wobec drapieżnych chimer, ale i tam dziwactwo to (zresztą wspaniałe!) było dramatyczne — dawało obraz, na którym coś się działo, którego postacie stały w jakims

wzajemnym stosunku akcji dramatycznej, wyrażonej wymownym ruchem, spojrzeniem etc.

Ale „Chrystus w Emaus“, podobnie jak te liczne portrety (własne i cudze) z faunami po bokach — to proste rebusowe zestawienia, bez dramatycznego związku.

Czasem jednak nawet te zestawienia bywały czemś wyrazistem, nawiązną wyrazistością średniowiecza — jak np. przecudowna znana grupa skrzypka i kobiety z ptaszkiem w ręku. Tam obraz spowijały jakieś śpiewne, śpiewające linje — cała grupa zdawała się płynąć na falach muzyki.

Nic z tego w „Chrystasie w Emaus“. Z obrazu bije chłód ideowy i martwota linji i barw.

Aksentowicza portrety kobiece są subtelne w rysunku, delikatne w barwie, ślicznie zharmonizowane. Gdyby wisiały razem, wydzielone z otchłani otaczających je wielkich i małych miernot, można by je ocenić należycie. Ale w tym barbarzyńskim chaosie obrazów, porozwieszanych na chybi trafi, giną zupełnie.

Zresztą gmach Zachęty jest wogóle zadziwiająco ciemny. Są sale, w których przy pochmurnem niebie zupełnie niepodobna dojrzeć ani koloru, ani nawet treści obrazu. Kto miał to wyjątkowe szczęście, że obraz jego powieszono w takiej sali, albo np. pod samym oknem w bocznych salach, ten niech zrezygnuje z tego, żeby ktokolwiek doznał jakiego wrażenia z jego pracy. Ci, którzy stawiali ten „Pałac sztuki“ (!), myśleli chyba o lamusie na graty, kilku salom zaledwie dając jakie takie światło (górne).

Smatny też widok przedstawia ta ciżba stłoczonych dzieł, pchających się jedno na drugie w ciemnościach. Jedne krzyczą rozmianami, inne ogłaszają jaskrawą swoją „słoneczność“, inne w tępej zadumie patrzą cicho, a zazdrośnie na brutalne łokcie sąsiadów, jeszcze inne uśmiechają się ironicznie, z rezygnacją znosząc swój los po kątach, lub czekając wytrwale, jak żołnierze na mustrze, aż spocznie na nich łaskawe oko oficera-nabywcy, co ozdobi swój pyszałkowaty salon — pięknem nazwiskiem.

A nad wszystkim unosi się żrąca, uporeczywa myśl, że to nie wystawa sztuki, ale sklep z rozmaitymi, a bardzo podobnymi — szaryżną swoją — obrazami — sklep ciasny, nudny, mający na pociechę jedyną — starą firmę. To też sporo dzieł zakupiono w tym roku.

Czego najmniej na wystawie — to indywidualnych dążeń. Szczególniej uderzająca nieśmiałość panuje w kolorycie. Tworzyć coś z tysiąca barw, któremi drga natura — zdawałoby się, rozkoszą powinno być dla malarza. Ciekawem jest w sztuce to, jak żyje dusza,

fantazja, wyobraźnia artysty—jakie sny barwiste ją dręczą—jak reaguje na cuda natury, co ją porusza wobec mórz, łąk, drzew, obłoków, ludzi.

Mało takich dzieł na wystawie. Każdy woli dokładnie, nudnie, po reportersku opisywać, jak wyglądał kawałek pola, twarz ładka i t. p.—i żeby to jeszcze było dokładnem! Nie — to najczęściej wyjątki z recept jakiejś szkoły, jakiegoś „kierunku“, „ujmuje się naturę“ według cudzych odczuć—takich, które były tak silne, że stworzyły nową szkołę, nową technikę. Własnych prób — — —

Zaraz. Spójrzjmy w jeden z „kątów“ wystawy. Widać tam cztery prace artysty, który czegoś chce. Barwy ostre, silne, prawie impertynenckie. Nic z szablonu.

To cztery obrazy Romualda Witkowskiego.

Dziecko o dużych, wielkich oczach. Za niem drzewka, jakby wycinanki łoświckie o barwach dziecinnie nieprawdopodobnych. Cały światopogląd dziecka, wyrażony z ogromną prostotą — taką, do której droga prowadzi przez wyobraźnię. Cała dusza dziecka w tych naiwnych jaskrawościach, zharmonizowanych przez artystę.

Tak odczuwa duszę dziecięcą urodzony malarz, który uwolnił się od ciężaru realistycznych pokuszeń. Maluje dekoracyjnie, rysuje syntetycznie. Wyraża się bezwzględnie, bierze z natury to, co mu potrzebne. Maluje swoje sny o snach dziecka. Stara się mówić prawdę i tylko prawdę — bo czuje, że to, czem jego dusza żyje, jest pięknem. Gdyby tego nie czuł, nie tworzyłby wcale. Tylko taki artysta może tworzyć, który wierzy w siebie, w to, że jego prawdziwe przeżycia coś znaczą, że *jego prawda należy do sztuki, nie zaś do innych dziedzin życia*. Taki nie potrzebuje i nawet nie może nikogo naśladować.

Jeden tylko z obrazów Witkowskiego wydaje się mniej samodzielnym — niż obrazy dziecięce — ale też mniej zharmonizowanym i bogatym w barwy, niż one (kobieta o brunatnych tonach).

Z kolorystycznego punktu widzenia ciekawe próby należy zanotować u Kazimierza Wasilkowskiego, który z portretu damy chciał stworzyć jakby ciepły oddech herbacianej róży, w dole obrazu umieszczonej; u Kazimierza Stabrowskiego w portrecie pełnym barwnych, subtelných zestawień; u p. Plewińskiej, która dała piękny obrazek, bardzo barwny, wnętrza chłopskiej chaty, ozdobionej ornamentyką ludową i postacią wieśniaczki, siedzącej w swej kwiecistej szacie. Jest to ilustracja do baśni ludowej. Też artystki widzimy witraż „Matka Boska prządka“ dobrze zharmonizowany, dobrze ujęty w płaszczyzny.

Wreszcie pokusił się o syntezę barw zielonawych p. Trzeciński w portrecie kobiecym, nie bez wdzięku ustawionym.

Portretów mnóstwo. Najpiękniejszym z nich, nie wyłączając wyżej wymienionych, jest portret własny Vlastimila Hoffmana. Jest w tym portrecie silna, świeża poezja—i trudno mi osądzić, czy płynie ona z pięknego stalowo-błękitnego kolorytu tła, czy z mocnego rysunku, czy z tej szlachetnej, dumnie a spokojnie wzniesionej głowy. Portrety Lenca posiadają zwykle sobie zalety, portrety Koźmowskiej miękkość i dyskrecję koloru. Portret Lewandowskiego, artysty, którego dzieła zwracały już uwagę w „Odlamie“, silny, syntetycznie rysowany.

Rzeźby Czarnowskiego podobno mają sławę w Paryżu. Dwie kobiety mięko, realistycznie modelowane—to dobre studja. Olbrzymi bronz, przedstawiający człowieka nagiego, grożącego potężnym kamieniem („Z drogi!“) jest figurą więcej retoryczną, niż żywą. Nie bardzo wierzy się w jego groźny giest, ani w zmarszczenie brwi. Figura imponuje rozmiarami i silną muskulaturą, ale ta muskulatura nie ma żadnej oryginalności w ujęciu. Jest to muskulatura akademicka. Nie ma świeżości bezpośredniego realizmu, nie wznosi się zaś na wyżynę ani charakteru specjalnego, ani stylu. Jest to uniesienie teoretyczne, rozumnie przeprowadzone, ręką dojrzałego technika, ale niema w tem dziele jakiegoś własnego życia, własnego dreszczu.

Ostrowskiego portret kobiecy jest delikatny w rysunku i wyrazie. Ale „Mickiewicz“ posiada twarz jakby semicką, choć nie pozbawioną pięknych szczegółów. Głowa efektownie wylania się ze złomów marmuru, ale nie posiada tak potężnego skupienia, jakieby godne było Mickiewicza.

Dażo jest jeszcze mniej lub więcej dobrych dzieł na wystawie—np. witraż Uziębły, akwaforty Rubczaka, dwa bardzo staranne, delikatne w tonach, silnie odczute pejzaże Skotnickiego, dekoracyjny, śmielszy i prawdziwy w barwie pejzaż Kowalewskiego.

Ale w pamięci pozostaje tylko Hoffman i Witkowski i przemknę czasem wspomnienie ciepłarnianych kwiatów — glówek Aksentowicza. \*)

---

\*) Parę uwag Ap. Kędzierskiego o niektórych obrazach „Dorocznej“ zamieścimy jeszcze w zeszycie lutowym. (Przyp. Red.).

## KONKURS POETYCKI „SFINKSA“

### IM. JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

Sąd konkursowy, złożony z pp. Br. Chlebowskiego, Ign. Chrzanowskiego, A. Drogoszewskiego, Ign. Matuszewskiego, Wł. St. Reymonta, J. Weysenhoffa i Wł. Bakońskiego, rozważywszy na szeregu posiedzeń sześćdziesiąt osiem utworów, nadesłanych na konkurs poetycki „Sfinksa“ im. Juliusza Słowackiego, wyróżnił z pośród nich dziewięć poematów, z zastrzeżeniem, że niektóre nie odpowiadają warunkom konkursu.

Na posiedzeniu rozstrzygającym z utworów tych obecni w liczbie sześciu sędziowie postanowili jednogłośnie nagrodę konkursową w kwocie rb. 150 przyznać poematowi p. t. „*Teśknota hetmana*“, opatrzonemu godłem „De profundis animae“.

Po otworzeniu koperty okazało się, że Autorką nagrodzonego poematu jest *Jadwiga Marcinowska*.

Pierwsze wyróżnienie postanowiono przyznać poematowi „Luciferus“ (godło „Avator“), którego Autorką, jak się okazało po otworzeniu koperty, jest Julja Kreczyńska.

Wyróżniono nadto siedem utworów, które wymieniamy w alfabetycznym porządku tytułów. Zgodnie z warunkami konkursu, ogłaszamy przytem nazwiska ich Autorów, oprócz jednego, który zastrzegł, że koperta otworzona być może jedynie w razie nagrodzenia poematu:

„Kwiat paproci“ — Walerja Szalay.

„My“ — Zygmunt Michałowski.

„Podróż w Pireneje z Paryża“ — Edward Ligocki.

„Rybak“ — koperty z nazwiskiem, zgodnie z zastrzeżeniem Autora, nie otworzono.

„Wczasy Kosowskie“ — Wacław Wolski.

„Wiatr halny“ — Tadeusz Miciński.

„W lesie“ — Samson Szyldberg.

Warszawa, 23/I 1910 r.

## KSIAŻKI NADESŁANE.

### Powieści i nowele.

Zygmunt Bartkiewicz „Psie dasze“, Nowele i obrazy. Str. 231. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1910.

Ory Jelska „Hanka“. Str. 282. Tom XXXI „Nowości Literackich“. Nakład St. Sadowskiego. Warszawa, 1910.

Wł. Orkan „Nad Urwiskiem“. Wydanie drugie z dodatkiem „Listów ze wsi“. Str. 237. Spółka nakładowa „Książka“. Kraków. Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka; Lwów, H. Altenberg, 1910.

Andrzej Strug „W twardej służbie“. Str. 170. Spółka Nakładowa „Książka“. Kraków. Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka. Lwów, H. Altenberg, 1910.

Adam Szymański „Z Jakuckiego Olimpu“. Baśń. Str. 149. Kraków, 1910.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer „Zatrącenie“. Romans. Część I i II. Str. 162 i 164. Tomy 620 i 621 „Biblioteki Dzieł Wyborowych“.

Jerzy Żuławski „Kuszenie Szatana“. Opowiadania. Str. 251. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1910.

Jerzy Żuławski „Bajka o Człowieku szczęśliwym“. Nowe opowiadania. Str. 239. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Spółka. 1910.

### Poezja.

Marja Konopnicka „Pan Balcer w Brazylii“. Str. 396. Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i Sp., 1910.

Marja Markowska „Melodje śmierci“. Str. 69 Spółka Nakładowa „Książka“. Kraków. Warszawa, G. Centnerszwer i Sp., 1910.

Teresa Prażmowska (Wołowska) „Z domów niewoli“. „Poklon Ziemi“. Wybór poezji. Wydawnictwo jubileuszowe 1870—1910. Str. 99. Warszawa, 1910.

Edward Słoński „Z pod szronu“. Wiersze. Str. 64. Warszawa, 1910.

#### Dramat.

Stefan Krzywoszewski „Aktorki“. Komedja w 4-ch aktach, Warszawa, 1909.

#### Studja Literackie.

Władysław Jabłonowski „Dookoła Sińska“. (Studja o życiu i twórczości narodu rosyjskiego). Str. 316. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp., 1910.

Dr. Manfred Kridl „Mickiewicz i Lamennais“. Studjum porównawcze. Str. 220. Warszawa, E. Wende, 1909.

#### Studja historyczne.

Szymon Askenazy „Nowe Wczasy“. Str. 475. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1910.

J. Grabiec „Dzieje Narodu Polskiego“. Str. 381. Spółka Nakładowa „Książka“ Kraków. Warszawa, G. Centnerszwer i Sp. 1910.

Maciej Loret „Kościół Katolicki a Katarzyna II, 1772—1784“ Tom XII „Monografji w zakresie Dziejów Nowożytnych“. Wydawca: Szymon Askenazy. Str. 321. Kraków i Warszawa, 1910.

#### Studja naukowe.

Feliks Bogacki „Zagadnienia etyki“. Str. 106. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, G. Centnerszwer, 1909.

Benedykt Bornstein „Zasadniczy problemat teorii poznania Kanta“. Str. 234. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, G. Centnerszwer i Sp. 1910.

Tytas Filipowicz „Djalogi o Życiu i Śmierci“. Str. 65. Lwów. H. Altenberg. Warszawa, G. Centnerszwer i Sp., 1910.

Prentice Mulford „Przeciw Śmierci“. Przekład i słowo wstępne St. Michalskiego. Str. 167. Warszawa, 1910.



## Pamiętniki.

Ludwik Jenike „Ze wspomnień“. Część I. Str. 147. Tom 622 „Biblioteki Dzieł Wyborowych“.

N. J. Mamajew „Rossjanin w Polsce w latach 1838 — 1842“. Przekład z rosyjskiego. Str. 152. Tom 619 „Biblioteki Dzieł Wyborowych“.

„Dla Siebie i dla Szkoły“. Pamiętnik wydany staraniem pierwszych abiturjentów szkoły Handlowej Miejskiej w Kielcach. Str. 588. Cena rb. 1 kop. 60. Warszawa, 1909.

Wybór Pisarzów polskich dla domu i szkoły. Warszawa Gebethner i Wolff, 1909:

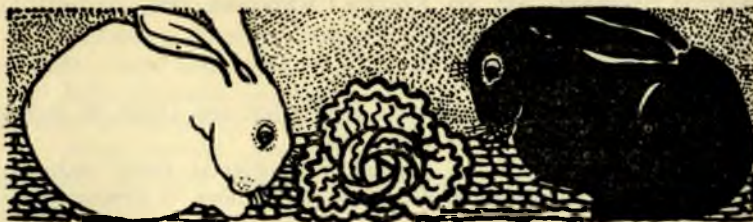
Nr. 17. Franciszek Zabłocki „Sarmatyzm“. Komedja w pięciu aktach. Ze wstępem i objaśnieniami H. Gallego.

Nr. 18. Juljusz Słowacki „Beniowski“. Poema. Ze wstępem i objaśnieniami Aurelego Drogoszewskiego.

Nr. 19. Wacław Potocki „Wojna Chocimska“ (w skróceniu). Ze wstępem i objaśnieniami Marji Dynowskiej.

Nr. 20. Seweryn Goszczyński „Zamek Kaniowski“. Powieść. Ze wstępem i objaśnieniami G. Korbatta.

Nr. 21. Mieczysław Romanowski „Dziewczę z Sącza“ Powieść poetycka. Ze wstępem i objaśnieniami H. Gallego.



# „ZIEMIA LUBELSKA“

PISMO CODZIENNE

POLITYCZNO-SPOŁECZNE I LITERACKIE.

„Ziemia Lubelska“ stoi niezachwianie na straży interesów polskiego społeczeństwa, oświetla krytycznie zjawiska codzienne, pobudza do czynu przy wyrównaniu wiekowych zaległości kulturalnych i niespłaconych rachunków społecznych i kroczy ciągle naprzód po drodze postępu i prawdy.

Podwalinę moralną i dźwignię „Ziemi Lubelskiej“ stanowią: wiara w siły i przyszłość narodu, rozwój najlepszych pierwiastków jego ducha i szerokie pojęcie demokratyzacji.

Hasłem „Ziemi Lubelskiej“ — „kraj i lud“, czynnem — „służba wierna i wytrwała na posterunku w myśl wielkich i niezapomnianych ideałów“.

„Ziemia Lubelska“ jest jednym z najpoczytniejszych i najwięcej rozpowszechnionych pism prowincjonalnych, które ze względu na to, iż wydawane jest w guberni tak ożywionej pod względem rolniczym, handlowym i przemysłowym jak Lubelska a nadto ze względu na blizkie i ścisłe stosunki z Warszawą, uważane być musi za pismo najodpowiedniejsze do pomieszczenia ogłoszeń.

„Ziemia Lubelska“ pomieszcza artykuły treści: społecznej, ekonomicznej, rolniczej, przyrodniczej, etnograficznej.

Powieści, nowele, poezje. Przeglądy literatury i sztuki. Telegramy oraz wiadomości urzędowe, miejskie, z okolicy, kraju, cesarstwa, ze świata. Sprawozdania i informacje handlowe, przemysłowe, targowe oraz ogłoszenia.

## WARUNKI PRENUMERATY:

Z przesyłką: rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 k. 50, miesięcznie kop. 50.

## WARUNKI OGŁOSZEŃ:

Na stronie 1-j za wiersz drobnem pismem lub jego miejsce każdorazowo 20 kop. Na stronie 3-ej 15 kop. Nekrologi, reklamy i ogłoszenia jednorazowe za wiersz petitowy lub jego miejsce 15 kop. Ogłoszenia zwyczajne na stronie 4-ej więcej niż raz jeden drukowane, za wiersz petitowy lub jego miejsce kop. 10.

# „KULTURA POLSKA“

miesięcznik pod redakcją

*Aleksandra Świętochowskiego,*

odzwierciedlający najważniejsze objawy kultury polskiej w życiu bieżącym.

## WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie rb. 3 kop. 25 (z przesyłką), dla Członków Tow. Kultury Polskiej rb. 2 kop. 25.

**Adres: Warszawa, Krucza 9.**

---

Wyszedł z druku Nr. 66/67

# „WOLNEGO SŁOWA“

i zawiera następujące prace L. Belmonta:

Jak nas uczono rozumu (Wspomnienia gimnazjalne L. Belmonta).

1. Polemika dwóch pań.
2. Słówko o „Nowych Torach“.
3. Ważne omówienie.
4. Moja pierwsza koza.
5. Jestem niewinny.
6. W sekrecie przed p. Iwanowską.
7. Psie figle.
8. Faust Kostecki.
9. Wieniec dla Modrzejewskiej.
10. Poprawka do nekrologu.
11. Gorzka pigułka prawdy.
12. Uwaga karawaniarza.
13. Ślizganie się łabędzi.
14. Republika rzymska.
15. Kazirodna Myrrha.
16. Nie pamiętajcie złego.
17. Nemezyda uczniowskiego wiersza.



W Administracji „Sfinksa“ (Hortensja 4) i w Księgarniach

są do nabycia:

PISMA WŁ. BUKOWIŃSKIEGO:

„Z marzeń i życia“ . . . . .	rb 1 kop.	20
„Nowy zeszyt“ . . . . .	— „	75
„Na greckiej fali“ (poemat) . . . . .	— „	50
„Poeta melodji i głębin i poetka Idei“ (rzecz o Konopnickiej i Asnyku) . . . . .	— „	75

TYLKO CO WYSZEDŁ:

POEMAT WŁ. BUKOWIŃSKIEGO

E @ H A

wydanie wykwiłtne.

Cena kop. 80.

IGN. MATUSZEWSKIEGO

„KRÓL-DUCH“ czy „KRÓLOWIE-DUCHY?“

(przyczynek do wyjaśnienia niektórych punktów  
epopei Słowackiego). Kop. 50.

Inne wydawnictwa „SFINKSA“

lub dzieła w większej ilości posiadane:

Cyprjan Norwid. Odczyty o Słowackim . . . . .	rb. — k.	60
Henryk Heine: „Pieśni współczesne“, przekład Wł. Na- wrockiego . . . . .	— „	45
Bernard Kellermann „Ingeborga“ powieść (przekład Br. Neufeldówny) . . . . .	— „	75
Jan Kleczyński: „Rzeźba współczesna“ . . . . .	— „	60
Portret barwny Aleksandra Świętochowskiego (według pa- stelu K. Mordasewicza) . . . . .	— „	60
8 portrecików (Mickiewicz, Słowacki, Norwid, Asnyk, Konopnicka, Wyspiański, Żeromski, Kasprówicz). Cena za wszystkie razem . . . . .	— „	80
Prof. M. Kareje: „Podręcznik historii wieków średnich“ (przekład M. Bukowińskiej) . . . . .	1 „	20
Dr. Fryderyk Kirchner: „Katechizm historii filozofji“ (przeł. dr. K. Krauz) . . . . .	2 „	—
J. M. Baldwin: „Życie społeczne i moralne“ . . . . .	2 „	—
J. Simmel: „Filozofja pieniądza“ (przek. Leo Belmonta) . . . . .	2 „	—
A. V. Dicey: „Wstęp do nauki o prawie konstytucyjnym“ . . . . .	2 „	—
Kazimierz Krauz: „Socjologiczne prawo retrospekcji“ . . . . .	— „	30
Edward Abramowski: „Dusza i ciało“ . . . . .	1 „	50

Prenumeratory „SFINKSA“, nabywający wszystkie te książki bezpośre-  
dnie w Administracji naszej, otrzymują 25% ustępstwa. Prenumerato-  
rom rocznym, zamawiającym „SFINKSA“ bezpośrednio w jego Admini-  
stracji, przysługuje prawo otrzymania wydawnictw naszych za rb. 1 bez-  
płatnie, a powyżej rubla — za odpowiednią dopłatą. Za przesyłkę pocz-  
tową dolicza się do każdego rubla kop. 15.

# „S F I N K S“

MIESIĘCZNIK LITERACKO - ARTYSTYCZNY I NAUKOWY

pod redakcją

**Władysława Bukowińskiego**

przy najbliższym współdziale

**Ign. Chrzanowskiego i Ign. Matuszewskiego**

i przy współpracownictwie najwybitniejszych polskich sił  
pisarskich i artystycznych.

„SFINKS“ zamieszcza: studja, rozprawy i szkice literackie, artystyczne i naukowe; powieści, poematy, dramaty i wiersze drobniejsze; przeglądy i sprawozdania literackie i artystyczne; sylwetki pisarzy i artystów polskich i obcych; reprodukcje artystyczne dzieł sztuki, rysunki i winiety artystów wybitnych.

„SFINKS“ stara się być możliwie obiektywnym wyrazem i odbiciem współczesnej fali twórczego życia polskiego z różnemi jej odcieniami i zabarwieniami.

Każdy zeszyt „SFINKSA“ zawiera około 10 arkuszy druku (160 str.) wyborowej treści literackiej, podanej w wytwornej szacie zewnętrznej, przyozdobionej i urozmaiconej reprodukcjami dzieł sztuki.

Prenumerata „SFINKSA“ wynosi rb. 8 rocznie, rb. 4 półrocznie i rb. 2 kwartalnie w Warszawie, a rb. 9 rocznie, rb. 4 kop. 50 półrocznie i rb. 2 kop. 50 kwartalnie z przesyłką pocztową w Królestwie i Cesarstwie za wydanie tańsze, oraz rb. 10 rocznie i rb. 5 półrocznie w Warszawie, a rb. 12 rocznie i rb. 6 półrocznie pocztą za wydanie wykwiłtne na wytwornym papierze żeberkowym większego formatu.

Prenumerata „SFINKSA“ zagranicą wynosi (z przesyłką rekomendowaną) rb. 11 rocznie za wydanie tańsze i rb. 13 za droższe; w tym samym stosunku półrocznie i kwartalnie.

Ogłoszenia w „SFINKSIE“ kosztują: za całą stronę rb. 24, za pół strony rb. 15,  $\frac{1}{4}$  str. rb. 8. Ogłoszenia przed tekstem i na okładce o 50% drożej.

**Rękopisów otrzymanych Redakcja nie odsyła, listów i przesyłek niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje, odpowiada listownie po otrzymaniu marki na odpowiedź.**

Administracja „SFINKSA“, przy ul. Hortensja Nr. 4, tel. 110-99 w Warszawie, otwarta jest codziennie, oprócz niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 $\frac{1}{2}$  i od 4 $\frac{1}{2}$  do 6.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki i soboty od godz. 6-ej do 7-ej wieczorem.

---

Redaktor i Wydawca: WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

Druk A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego, Erywańska Nr. 2-4.